

Harlan Coben

ZAGINIONA

Z angielskiego przełożył
Zbigniew A. Królicki

Sandrze Whitaker
najrówniejszej „kuzynce” na świecie

CZĘŚĆ PIERWSZA

**Trzymaj się.
To zaboli bardziej niż cokolwiek dotąd.**

Wiliam Fitzsimmons, *I Don't Feel It Anymore*

1

– Nie znasz jej sekretu – powiedział mi Win.

– A powinienem?

Win wzruszył ramionami.

– Czy to coś złego? – zapytałem.

– Bardzo – odparł Win.

– No to może nie chcę go znać.

• • •

Dwa dni przed tym, jak poznałem ten sekret, który skrywała przez dziesięć lat – pozornie prywatną sprawę, która nie tylko zniszczyła nas oboje, ale na zawsze zmieniła świat – Terese Collins zadzwoniła do mnie o piątej rano, przenosząc mnie z jednego półerotycznego snu w drugi.

– Przyjedź do Paryża – powiedziała po prostu.

Nie wiem, od ilu lat nie słyszałem jej głosu. Chyba od siedmiu. Były szumy na linii, a ona nie traciła czasu na powitania czy wstępy. Usiadłem na łóżku.

– Terese? gdzie jesteś? – zapytałem.

– W zacisznym hotelu o nazwie d’Aubusson, na lewym brzegu Sekwany. Spodoba ci się tu. O siódmej wieczorem masz samolot linii Air France.

Oczami duszy zobaczyłem szereg obrazów: jej będące obrazą moralności bikini, tamtą prywatną wyspę, rozgrzaną słońcem plażę, spojrzenie mogące stopić skałę, znów to prowokacyjne bikini.

Bikini warte było dwukrotnego wspomnienia.

– Nie mogę – powiedziałem.

– Paryż – zachęcała.

– Wiem.

Prawie dziesięć lat temu uciekliśmy na wyspę jako dwie zagubione dusze. Myślałem, że już nigdy się nie zobaczymy. A jednak. Kilka lat później pomogła uratować życie mojemu syna. A potem puff – znikła bez śladu, aż do teraz.

– Pomyśl o tym – ciągnęła. – Miasto zakochanych. Moglibyśmy kochać się przez całą noc.

Jakoś zdołałem przełknąć ślinę.

- Tak, pewnie, ale co robilibyśmy w dzień?
- Jeśli dobrze pamiętam, ty zapewne potrzebowałbyś odpoczynku.
- I witaminy E. – Uśmiechnąłem się mimo woli. – Nie mogę Terese. Jestem z kimś.
- Z tą wdową z jedenastego września?

Zastanowiłem się, skąd o tym wie.

- Taaak.
- To nie miałyby z nią nic wspólnego.
- Przykro mi, ale ja myślę, że tak.
- Jesteś zakochany? – spytała.
- A miałyby to jakieś znaczenie, gdybym powiedział, że jestem?
- Niezupełnie.

Przełożyłem słuchawkę do drugiej ręki.

- Co się stało Terese?
- Nic złego. Chcę spędzić z tobą romantyczny, zmysłowy, fantastyczny weekend w

Paryżu.

Znów przełknąłem ślinę.

- Nie odzywasz się prze ile... siedem lat?
- Prawie osiem.
- Dzwoniłem. Wiele razy.
- Wiem.
- Zostawiałem wiadomości. Pisałem listy. Próbowałem Cię znaleźć.
- Wiem – powtórzyła.

Zapadła cisza. Nie lubię ciszy.

- Terese?
- Kiedy mnie potrzebowałaś – odezwała się wreszcie – naprawdę potrzebowałaś, byłam przy tobie, prawda?
- Tak.
- Przyjedź do Paryża, Myronie.
- Tak po prostu?
- Tak.
- Gdzie się podziewałaś przez cały ten czas?
- Opowiem Ci wszystko, kiedy tutaj dotrzesz.
- Nie mogę. Jestem z kimś.

Znów ta przeklęta cisza.

- Terese?
- Pamiętasz kiedy się poznaliśmy?

Stało się to tuż po największej katastrofie w moim życiu. Podejrzewam, że tak samo było z nią. Oboje zostaliśmy wypchnięci przez życzliwych przyjaciół na wentę dobroczynną i gdy tylko się zobaczyliśmy, było tak, jakby nasze nieszczęścia przyciągały się niczym magnesy. Niespecjalnie wierzę w to, że oczy są oknami duszy. Znałem zbyt wielu psycholi potrafiących zwodzić ludzi, żeby wierzyć w takie pseudonaukowe stwierdzenia. Jednak smutek w oczach

Terese był tak widoczny. Emanował z całej jej istoty i tamtego wieczoru, na ruinach mojego życia, właśnie tego potrzebowałem.

Jeden z przyjaciół Terese miał wyspekę na Morzu Karaibskim, niedaleko Aruby. Polecieliśmy tam jeszcze tej samej nocy, nikomu nie mówiąc, dokąd się udajemy. Spędziliśmy razem trzy tygodnie, kochając się, niewiele mówiąc, znikając i zatapiając się w sobie, gdyż nic innego nam nie pozostało.

– Oczywiście, że pamiętam – powiedziałem.

– Oboje byliśmy zdruzgotani. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Jednak oboje wiedzieliśmy.

– Tak.

– Cokolwiek cię załamało, zdołałeś się z tym uporać. To naturalne. Dochodzimy do siebie. Odbudowujemy swoje życie, kiedy legnie w gruzach.

– A ty?

– Ja nie odbudowałam swojego. Nie sądzę, żebym chciała to zrobić. Byłam zdruzgotana i może tak było najlepiej.

– Nie wiem czy nadążam.

Mówiła coraz ciszej.

– Nie sądziłam... poprawda, nadal nie sądzę, że chciałabym zobaczyć, jak wyglądałby ten mój odbudowany świat. Nie sądzę, że spodobałby mi się rezultat.

– Terese?

Nie odpowiedziała.

– Chcę ci pomóc.

– Może nie jesteś w stanie. Może to nie ma sensu.

Znów cisza.

– Zapomnij, że dzwoniłam, Myronie. Uważaj na siebie.

I rozłączyła się.

2

– Ach – powiedział Win – apetyczna Terese Collins. Doskonały, światowej klasy tyłeczek.

Siedzieliśmy na rozklekotanych składanych trybunach Sali gimnastycznej Kasselton High School. W powietrzu unosiły się znajome zapachy potu i środków czystości. Wszystkie dźwięki były zniekształcone, jak w każdej sali gimnastycznej na całym kontynencie, a dziwne echa tworzyły dźwiękowy odpowiednik zastony prysznica.

Uwielbiam takie sale gimnastyczne. Dorastałem w nich. Wiele najszcześniejszych chwil mojego życia spędziłem w podobnych dusznych pomieszczeniach z piłką od kosza w rękach. Uwielbiam odgłos kozłowania. Uwielbiam wastewkę potu pokrywającą twarze zawodników podczas rozgrzewki. Uwielbiam szorstką skórę piłki pod czubkami palców, ten moment niemal religijnego skupienia, z jakim wpatrujesz się w brzeg kosza, rzucasz piłkę, a ta wiruje w powietrzu i nie ma niczego poza nią.

– Cieszę się, że pamiętasz – powiedziałem.

– Doskonały, światowej klasy tyłeczek.

– Taak, załapałem za pierwszym razem.

Win dzielił ze mną pokój na studiach, a teraz jest moim współnikiem i – tak samo jak Esperanza Diaz – moim najlepszym przyjacielem. Naprawdę nazywa się Windsor Horne Lockwood Trzeci i dokładnie tak wygląda: rzadziejące blond loczki z nieziemsko równym przedziałkiem, rumiana cera, twarz rzymskiego patrycjusza, opalenizna golfisty i oczy niebieskie jak lód. Miał na sobie potwornie drogie spodnie khaki, których kanty rywalizowały z przedziałkiem, niebieski blezerek od Lilly Pulitzer z różowo-zieloną podszewką oraz dopasowaną kolorem chusteczkę w butonierce, sterzącą jak tryskający wodą kwiatek cyrkowego klauna.

Strój wymoczka.

– Kiedy Terese występowała w telewizji – rzekł Win, a jego snobistyczny akcent absolwenta prywatnej szkoły sprawił, że zabrzmiało to tak, jakby wyjaśniał coś najzupełniej oczywistego dziecku opóźnionemu w rozwoju – nie można było go docenić. Siedziała za biurkiem.

– Uhm.

– Potem jednak zobaczyłem ją w tym bikini... - Uważnym czytelnikom wyjaśnię, że chodziło o to prowokacyjne bikini, o którym wspomniałem wcześniej. – No cóż, to cudowna zaleta. Marnowała się jako spikerka. Jeśli się nad tym zastanowić, to prawdziwa tragedia.

– Jaka katastrofa „Hindenburga”.

– Zabawna uwaga – skwitował Win. – I jakże na czasie.

Zawsze miał wyniosłą minę. Ludzie patrzyli na niego i widzieli snoistycznego, wyalienowanego bogacza. W znacznej części było to prawdą. Jednak ta część, w której się mylili... tę mogli przyptać ciężkim kalectwem.

– No dalej – zachęcał Win. – Dokończ swoją opowieść.

– To już wszystko.

Win ściągnął brwi.

– Zatem kiedy wylatujesz do Paryża?

– Nie wylatuję.

Na boisku do koszykówki zaczęła się druga kwarta. Grali chłopcy z piątej klasy. Moja dziewczyna – to dość niezręczne określenie, ale nie jestem pewien, czy któreś z takich jak „dama mego serca”, „druga połowa” lub „kochanka” pasuje – Ali Wilder ma dwoje dzieci, z których młodsze gra w drużynie. Ma na imię Jack i nie jest zbyt dobry. Nie oceniam go i nie przesądzam jego przyszłych osiągnięć – Michael Jordan nie od razu dostał się do szkolnej drużyny koszykówki – tylko mówię, jak jest. Jack jest duży, jak na swój wiek, krzepki i wysoki, a z tym często idzie w parze brak szybkości i koordynacji ruchowej. Na parkiecie przypomina konia pociągowego.

Jednak Jack uwielbia tę grę, a to wiele dla mnie znaczy. To fajny dzieciak, bystry w najlepszym znaczeniu tego słowa i potrzebujący ciepła, jak każdy chłopiec, który tak tragicznie i przedwcześnie stacił ojca.

Ali nie mogła przyjść przed zakończeniem pierwszej połowy, a ja przynajmniej staram się podnosić go na duchu.

Win wciąż miał ściągnięte brwi.

– Nie wiem czy dobrze rozumiem: odmówiłeś spędzenia weekendu z apetyczną panną Collins i jej światowej klasy tyłeczkiem w luksusowym paryskim hotelu?

Rozmowa z Winem o związkach międzyludzkich to nieporozumienie.

– Zgadza się.

– Dlaczego? – Win odwrócił się do mnie. Wyglądał na szczerze zdziwionego. Zaraz jednak się uspokoił. – Och, poczekaj.

– Co?

– Przytyła, tak?

Cały Win.

– Nie mam pojęcia.

– A zatem dlaczego?

– Wiesz dlaczego. Jestem z kimś, pamiętasz?

Win popatrzył na mnie tak, jakbym załatwiał się na środku boiska.

– No co? – zapytałem.

Usiadł prosto.

– Stara baba z ciebie.

Sygnal wezwał zawodników na parkiet. Jack założył gogle i z cudownie dobrodusznym półuśmiechem poczłapał w kierunku stołu sędziowskiego. Piątoklasiści z Livingston grali ze swoimi najgroźniejszymi rywalami z Kasselton. Starałem się nie uśmiechać

drwiąco na widok pasji – nie tyle grających dzieciaków, ile ich rodziców na trybunie. Nie chcę uogólniać, ale matki zazwyczaj można podzielić na dwie grupy: gaduły, które traktują mecz jako imprezę towarzyską, oraz męczennice, które umierają za każdym razem, gdy ich latorośl dotknie piłki.

Ojcowie często bywają bardziej kłopotliwi. Niektórzy potrafią trzymać niepokój na wodzy, mamrocząc pod nosem i gryząc paznokcie. Inni głośno krzyczą. Objeżdżają sędziów, trenerów i dzieciaki.

Jeden z ojców, siedzący dwa rzędy przed nami, miał to, co Win i ja nazwaliśmy „sportowym syndromem Tourette’a” – najwyraźniej nie mógł się powstrzymać od wymyślenia głośno wszystkim wokół przez cały mecz.

Ja patrzę na to z nieco innej perspektywy, trzeźwiej niż większość kibiców. Byłem rzadkim przypadkiem bardzo utalentowanego zawodnika, co zaskoczyło całą moją rodzinę, ponieważ przede mną największym sportowym osiągnięciem Bolitarów była wygrana wuja Saula w tryktraka podczas rejsu statkiem w 1974 roku. Ukończyłem szkołę średnią w Livingston, wytypowany przez Parade do reprezentacji USA. Byłem gwiazdą drużyny Duke, która ze mną jako kapitanem dwukrotnie zdobyła mistrzostwo NCAA. W jesiennej rundzie miałem grać w Boston Celtitcs.

I nagle ba-bach, wszystko przepadło.

– Zmiana! – krzyknął ktoś.

Jack poprawił gogle i wybiegł na boisko.

Trener przeciwnej drużyny wskazał na niego i krzyknął:

– Hej Connor! Masz nowego. Jest duży i powolny. Wymijaj go.

– To wyrównana gra – jęknął tatusiek z syndromem Tourette’a. – Dlaczego wystawili go akurat teraz?

Duży i powolny? Czy ja dobrze usłyszałem?

Spojrzałem na trenera Kasselton. Miał tlenione, nastroszone żelem włosy i czarną, równo przystrzyżoną kozią bródkę, która nadawała mu wygląd podstarzałego basisty z boys bandu. Był wysoki – ja mam metr dziewięćdziesiąt dwa, a ten facet był z pięć centymetrów wyższy i jakieś dziesięć do piętnastu kilogramów cięższy.

– Jest duży i powolny? – powtórzyłem. – Dasz wiarę, że ten trener właśnie to krzyknął?

Win wzruszył ramionami.

Ja też próbowałem to zignorować. To ogień walki. Zapomnijmy.

Przy remisowych dwudziestu czterech doszło do katastrofy. Tuż po przerwie technicznej drużyna Jacka wprowadziła piłkę pod kosz przeciwnika. Zespół Kasselton przeszedł do obrony. Jack był na wolnej pozycji. Dostał podanie, lecz naciskany przez obronę, na moment się pogubił. Zdaża się.

Szukał pomocy. Spojrzał na ławę Kasselton, która była bliżej, a wielki Szczotkogłowy Trener wrzasnął: „Strzelaj! Strzelaj!” – i wskazał mu kosz.

A Jack, który po prostu był dobrym chłopcem i ufał dorosłym, zrobił to.

Piłka wpadła do kosza. Niewłaściwego. Dwa punkty dla Kasselton.

Rodzice z Kasselton przyjęli to gromkimi owacjami, a nawet śmiechem. Rodzice z Livingston załamywali ręce i jęczeli, przygnebieni pomyłką piątoklasisty. A wtedy trener Kasselton, ten facet z nastroszonymi włosami i kozią bródką basisty, przybił piątkę swojemu zastępcy i wskazał Jacka palcem.

– Hej, dzieciaku, zrób to jeszcze raz!

Jack może i był największym chłopcem na boisku, ale teraz wyglądał tak, jakby bardzo starał się być najmniejszy. Dobroduszny uśmiech znikł. Wargi mu drżały. Mrugał nerwowo. Widać było, że cierpi, a ja cierpiałem razem z nim.

Ojciec z Kasselton nie posiadał się z radości. Ze śmiechem przyłożył dłonie do ust.

– Podawajcie do tego dużego z przeciwnej drużyny! – ryknął jak przez megafon. – To nasza tajna broń!

Win klepnął go w ramię.

Facet odwrócił się do Wina i zobaczył jego wymoczkowaty strój, blond włoski i porcelanową buźkę. Już miał uśmiechnąć się szyderczo i rzucić jakąś pogardliwą uwagę, ale coś – zapewne instykt przetrwania, jaki mają nawet gady – kazało mu się rozmyślić. Napotkał lodowate spojrzenie oczu wina i spuścił wzrok.

– Taak, przepraszam, to było niepotrzebne.

Ledwo go słyszałem. Znieruchomiałem. Siedziałem na trybunach i patrzyłem na tego cwaniaczka trenera z nastroszonymi włosami. Czułem, jak krew uderza mi do głowy.

Dźwięk dzwonka ogłosił koniec pierwszej połowy. Trener wciąż się śmiał i rozbawiony kręcił głową. Jeden z jego pomocników podszedł i uściśnął mu dłoń. To samo zrobiło kilkoro rodziców i widzów.

– Muszę iść – rzekł Win.

Nic nie powiedziałem.

– Mam zostać w pobliżu? Na wszelki wypadek?

– Nie.

Win kiwnął głową i odszedł. Wciąż nie odrywałem oczu od trenera Kasselton. Wstałem i zacząłem schodzić z rozklekotanej trybuny. Drewniane stopnie dudniły pod moimi nogami. Trener ruszył do drzwi. Poszedłem za nim. Zmierzał do łazienki, uśmiechając się jak idiota, którym niewątpliwie był. Czekałem na niego przy drzwiach.

– Świetnie – powiedziałem, gdy wyszedł.

Na koszulce miał wyhaftowany napis „trener Bobby”. Przystanął i wytrzeszczył oczy.

– Słucham?

– Zachęcanie dziesięciolatka, żeby rzucił do niewłaściwego kosza – wyjaśniłem. – I ten zabawny okrzyk: „Hej, dzieciaku, zrób to jeszcze raz!”, kiedy go upokorzyłeś. Świetna robota, Trenerze Bobby.

Zmrużył oczy. Był rosy, opasty, miał grube przedramiona, szerokie łapska i czółko neandertalczyka. Znałem ten typ. Wszyscy takich znamy.

– To część gry.

– Wyśmiewanie dziesięciolatka to część gry?

– Mącenie w głowie. Zmuszanie przeciwnika, by popełnił błąd.

Nic nie powiedziałem. Zmierzył mnie wzrokiem i doszedł do wniosku, że owszem, mógłby mnie załatwić. Duzi faceci, tacy jak Trener Bobby, są pewni, że mogą załatwić właściwie każdego. A ja tylko na niego patrzyłem.

– Ma pan jakiś problem?

– To są dziesięcioletnie dzieci.

– Racja, pewnie, dzieciaki. A pan co, jest pan jednym z tych upierdliwych przeczulonych tatusiów, którzy uważają, że na boisku wszyscy powinni być równi? Niczyje uczucia nie powinny być zranione, nikt nie powinien wygrać ani przegrać... Hej może nie powinniśmy w ogóle liczyć punktów, co?

Podszedł do nas asystent trenera. Miał taką samą koszulkę, tylko z napisem „Asystent Trenera Pat”.

– Bobby? Zaraz zacznie się druga połowa.

Podszedłem krok bliżej.

– Po prostu niech pan da mu spokój.

Zgodnie z moimi przewidywaniami, Trener Bobby odpałił z drwiącym uśmiechem:

– Bo co?

– To wrażliwy chłopiec.

– Ojejku. Jeśli jest taki wrażliwy, to może nie powinien grać?

– A pan nie może nie powinien być trenerem?

Wtedy Asystent Trenera Pat zrobił krok naprzód. Popatrzył na mnie i na jego twarzy pojawił się wszystkowiedzący uśmieszek, który znałem aż za dobrze.

– No, no, no...

– Co? – spytał Trener Bobby.

– Czy wiesz, kim jest ten facet?

– Kim?

– To Myron Bolitar.

Było widać, jak Trener Bobby obraca moje nazwisko w głowie, jakby miał szybkę w czole, za którą wiewiórka biega coraz szybciej w swojej klatce. Kiedy synapsy przestały iskrzyć, jego uśmiech rozciągnął kozią bródkę wraz z kącikami ust.

– Ten wielki „supergwiazdor” – palcami nakreślił w powietrzu cudzystów – który nie poradził sobie w zawodowej? Światowej sławy zawodnik, który odpadł w pierwszej rundzie?

– Ten sam – potwierdził Asystent Trenera Pat.

– Teraz rozumiem.

– Hej, Trenerze Bobby? – powiedziałem.

– Co?

– Po prostu zostaw dzieciaka w spokoju.

Zmarszczył czoło.

– Nie chcesz ze mną zadzierać – uznał.

– Masz rację. Nie chcę. Po prostu zostaw dzieciaka w spokoju.

– Nie ma mowy koleś. – Uśmiechnął się i podszedł bliżej. – Masz z tym jakiś problem?

– Mam i to duży.

– No to może przedyskutujemy go po meczu? Na osobności?

Krew zaczęła mi żywiej krążyć w żyłach.

– Czyżbyś wyzywał mnie na pojedynek?

– Taa. No chyba, rzecz jasna, że tchórzysz. Tchórzysz?

– Nie tchórzę.

Czasem wychodzą mi cięte riposty. Tak trzymać.

– Muszę wracać na mecz. Potem załatwimy to, ty i ja. Kapujesz?

– Kapuję.

Kolejna cięta riposta. Świetnie mi idzie.

Trener Bobby podsunął mi palec pod nos. Zastanawiałem się, czy mu go nie odgryźć

– to zawsze zmusza do zastanowienia.

– Jesteś głupi, Bolitar. Słyszysz mnie? Głupi.

– Głuchy?

– Głupi.

– Och, to dobrze, bo gdybym był głuchy, to nie mógłbym cię zrozumieć. A jeśli się dobrze zastanowić, to gdybym był głupi, też bym nie rozumiał.

Sygnał ogłosił koniec przerwy.

– Chodź Bobby – powiedział Asystent Trenera Pat.

– Głupi – powtórzył jeszcze raz.

Przyłożyłem dłoń do ucha, jakbym niedosłyszał.

– Co?! – krzyknąłem, ale on już się oddalił.

Patrzyłem, jak idzie. Szedł tym pewnym siebie, rozkołysanym krokiem, sztywno wyprostowany, trochę za bardzo wymachując rękami. Już miałem krzyknąć coś głupiego, gdy ktoś położył rękę na moim ramieniu. Odwróciłem się. To była Ali, matka Jacka.

– O co chodzi? – zapytała.

Twarz Ali była miła i szczerą, a jej wielkie zielone oczy miały dla mnie nieodparty urok. Chciałem porwać ją w ramiona i obsypać pocałunkami, ale ktoś mógłby to opacznie zinterpretować.

– O nic – mruknąłem.

– Jak minęła pierwsza połowa?

– Zdaje się, że przegrywamy dwoma punktami.

– Jack zdobył jakiś?

– Nie sądzę, nie.

Ali przez moment wpatrywała się w moją twarz i zobaczyła w niej coś, co się jej nie spodobało. Odwróciłem się i poszedłem na trybunę. Usiadłem. Ali usiadła obok mnie. Minęły dwie minuty meczu.

– No więc co się stało?

– Nic.

Wierciłem się na twardych deskach.

– Kłamczuch – powiedziała Ali.

– Skupiłem uwagę na grze.

– Kłamczuch.

Spojrzałem na nią, na tę śliczną szczerą twarz, na piegi, których w tym wieku nie powinna mieć, a które tylko dodawały jej uroku, i też coś zobaczyłem.

– Ty także wyglądasz trochę nieswojo.

Pomyślałem, że nie tylko dzisiaj, lecz przez kilka minionych tygodni trochę się między nami nie układało. Ali była roztargniona i podenerwowana, ale nie chciała o tym rozmawiać. Ja byłem bardzo zapracowany, więc nie nalegałem.

Nie odrywała oczu od boiska.

– Czy Jack dobrze grał?

– Dobrze – powiedziałem. A potem dodałem: – O której masz jutro samolot?

– O trzeciej.

– Odwiozę cię na lotnisko.

Córka Ali, Erin, dostała się na stanowy uniwersytet w Arizonie. Ali, Erin i Jack lecieli tam na tydzień, żeby pomóc jej się urządzić.

– Nie musisz. Już zamówiłam samochód.

– Z przyjemnością was zawiozę.

– Nie trzeba.

To stwierdzenie kończyło wszelką dyskusję na ten temat. Próbowałem uspokoić się i obserwować mecz. Tętno wciąż miałem przyspieszone.

– Dlaczego wciąż patrzysz na trenera tamtej drużyny?

– Jakiego trenera?

– Tego z fryzurą kiepskiego showmana z kablówki i bródką Robin Hooda.

– Szukam inspiracji do mojego nowego image'u.

Prawie się uśmiechnęła.

– Czy Jack dużo grał w pierwszej połowie.

– Tyle co zwykle.

Mecz się zakończył i Kasselton wygrało trzema punktami. Tłum wiwatował. Trener Jacka, pod każdym względem porządny gość, wolał nie wystawiać go w drugiej połowie. Ali była tym trochę zaniepokojona, ponieważ trener zazwyczaj dawał pograć wszystkim dzieciakom, ale postanowiła nie pytać.

Drużyny rozeszły się do przeciwległych narożników, żeby pożegnać się po meczu. Ali i ja czekaliśmy przed salą gimnastyczną, na korytarzu. Nie trwało to długo. Trener Bobby ruszył ku mnie tym swoim rozkołysanym krokiem, tylko że teraz zaciskał pięści. Miał ze sobą trzech kumpli, w tym Asystenta Trenera Pata. Wszyscy byli rośli i otyli, i nawet w połowie nie tak silni, jak im się zdawało. Trener Bobby zatrzymał się mniej więcej pół metra od niżej podpisanego. Jego trzech kompani stanęli półkolem, skrzyżowali ręce na piersiach i gapili się na mnie.

Przez moment nikt się nie odzywał. Tylko patrzyli na mnie groźnie.

– Pewnie mam się teraz posikać ze starchu?

Trener Bobby znów zaczął wygrażać mi palcem.

– Znasz bar Landmark w Livingston?

– Pewnie – odparłem.

– Dziś wieczór o dziesiątej. Parking na tyłach.

– O tej porze muszę już być w domu – odrzekłem. – I nie chodzę na takie randki.

Najpierw kolacja. I może bukiet kwiatów.

– Jeśli się nie zjawisz... – przysunął palec do mojej twarzy – znajdę jakiś inny sposób, żeby uzyskać satysfakcję. Kapujesz?

Nie kapowałem, ale odmaszerowałem, zanim zdążyłem poprosić, żeby mi to wyjaśnić. Jego kumple poszli za nim. Pomachałem im palcami uniesionej dłoni. Kiedy jeden z nich pozwolił sobie popatrzeć na mnie odrobinę za długo, posłałem mu całusa. Odwrócił się jak spoliczkowany.

Posłanie buziaka – mój ulubiony sposób na wkurzenie homofoba.

Odwróciłem się do Ali, zobaczyłem jej minę i pomyślałem: oho.

– Co to było, do diabła?

– Coś się stało podczas meczu, zanim to przysłaś.

– Co?

Opowiedziałem jej.

– I naskoczyłeś na tego trenera?

– Tak.

– Dlaczego?

– Jak to dlaczego?

– Tylko pogorszyłeś sytuację. To palant. Dzieci to wiedzą.

– Jack był bliski łez.

– Ja się tym zajmę. Nie potrzebuję męskich popisów.

– Nie popisywałem się. Chciałem, żeby przestał czepiać się Jacka.

– Nic dziwnego, że Jack nie grał w drugiej połowie. Jego trener pewnie zobaczył twoje idiotyczne zachowanie i był dostatecznie mądry, żeby nie dolewać oliwy do ognia. Czujesz się teraz lepiej?

– Nie, jeszcze nie, ale myślę, że owszem, poczuję się lepiej, kiedy obję mu twarz.

– Nawet o tym nie myśl.

– Słyszałaś co powiedział.

Ali pokręciła głową.

– Nie wierzę własnym uszom. Co z tobą jest, do cholery?

– Ująłem się za Jackiem.

– To nie twoja sprawa. Nie masz do tego prawa. Nie jesteś...

Urwała.

– Powiedz to, Ali.

Zamknęła oczy.

– Masz rację. Nie jestem jego ojcem.

– Nie to chciałam powiedzieć.

Kłamała, ale nie wytknąłem jej tego.

– Może nie byłaby to moja sprawa, gdyby chodziło tylko o Jacka, ale nie. Poszedłbym do faceta, nawet gdyby powiedział to o innym dzieciaku.

– Dlaczego?

– Ponieważ źle postąpił.

– A kim ty jesteś, żeby to tak nazywać?

– Jak nazywać? Cos jest złe. Albo dobre. On postąpił źle.

– Jest aroganckim osłem. Niektórzy ludzie tacy są. Jack to rozumie albo zrozumie z czasem. Napotykanie osłów to część dorastania. Nie rozumiesz tego?

Nie odpowiedziałem.

– A jeśli mój syn został tak głęboko zraniony – wycedziła przez zaciśnięte zęby – to za kogo się uważasz, żeby mi o tym nie mówić? Pytałam, o czym wy dwaj rozmawialiście podczas przerwy, pamiętasz?

– Tak.

– Powiedziałaś, że o niczym ważnym. Co sobie myślałaś, chciałaś uspokoić małą kobietkę?

– Nie, oczywiście, że nie.

Ali pokręciła głową i milczała.

– Co takiego? – zapytałem.

– Pozwoliłam ci za bardzo się do niego zbliżyć – stwierdziła.

Moje serce zanurkowało jak samolot.

– Do licha – prychnęła.

Czekałem.

– Jak na wspaniałego faceta, który zwykle jest tak cholernie spostrzegawczy, czasem niczego nie rozumiesz.

– Może nie powinienem na niego naskakiwać, w porządku? Gdybyś jednak była tam, kiedy wołał do Jacka, żeby zrobił to jeszcze raz, i gdybys widziała minę Jacka...

– Nie mówię o tym.

Zamilkłem i zastanowiłem się.

– Zatem masz rację. Niczego nie rozumię.

Mam metr dziewięćdziesiąt dwa, a Ali jest o trzydzieści centymetrów ode mnie niższa. Stała blisko i patrzyła w górę.

– Nie jadę do Arizony, żeby pomóc Erin się urządzać. A przynajmniej nie tylko po to. Tam mieszkają moi rodzice. I jego rodzice także.

Wiedziałem o kim mówi – o zmarłym mężu – którego ducha nauczyłem się akceptować, czasem nawet ochoczo. Ten duch nigdy jej nie opuszcza. Nie wiem czy kiedykolwiek sobie pójdzie, chociaż czasami tego pragnę, co oczywiście jest okropne z mojej strony.

– Oni... mówię o moich i jego rodzicach... chcą, żebyśmy się tam przeprowadzili. Żebyśmy mogli być blisko siebie. Jeśli się nad tym zastanowić, to ma sens.

Kiwnąłem głową, ponieważ nie wiedziałem co powiedzieć.

– Jack, Erin i, do licha, ja także, potrzebujemy tego.

– Czego potrzebujecie?

– Rodziny. Jego rodzice chcą być częścią życia Jacka. Nie mogą już dłużej sami znosić tamtejszych chłódów. Rozumiesz to?

– Oczywiście, że rozumiem.

Te słowa dziwnie zabrzmiały w moich uszach, jakby wypowiedział je ktoś inny.

– Moi rodzice znaleźli mieszkanie i chcą, żebyśmy je obejrzeni – ciągnęła Ali. – To apartament w tym smay budynku, w którym mieszkają.

– Takie mieszkania to dobra rzecz – powiedziałem bez sensu. – Niskie koszty. Płacisz tylko miesięczny czynsz, no nie?

Teraz to ona milczała.

– Zatem, żeby mieć jasność, co to oznacza dla nas? – spytałem.

– Chcesz się przeprowadzić do Scottsdale?

Zawahałem się.

Położyła dłoń na moim ramieniu.

– Spójrz na mnie.

Zrobiłem to, a wtedy powiedziała coś, czego się nie spodziewałem.

– To z nami to nie było na zawsze, Myronie. Oboje o tym wiemy.

Obok nas przebiegła grupka dzieci. Jedno z nich wpadło na mnie.

– Przepraszam – mruknął.

Sędzia liniowy zagwizdał, zapowiadając początek nowego meczu.

– Mamo?

Jack, wspaniały dzieciak, wyłonił się zza rogu. Oboje uśmiechnęliśmy się do niego. Nie odpowiedział uśmiechem. Zazwyczaj, chćby grał nie wiem jak okropnie, przybiegał w podskokach jak rozradowany szczeniak, obdarzając nas uśmiechami i przybijając piątki. Nie dziś.

– Hej mały – rzuciłem, nie wiedząc co powiedzieć. Często słyszę, jak ludzie w podobnych sytuacjach mówią „dobry mecz”, ale dzieciaki wiedzą, że to protekcyjne kłamstwo, i to jeszcze pogarsza sprawę.

Jack pobiegł, objął mnie w pól, przycisnął twarz do mojej piersi i zaczął płakać. Serce znów zaczęło mi pękać. Stałem, gładząc go po głowie. Ali przyglądała się mojej twarzy. Nie podobało mi się to, co widziałem w jej oczach.

– Ciężki dzień – powiedziałem. – Wszyscy je miewamy. Nie daj się, dobra? Robiłeś co mogłeś, a to najważniejsze. – A potem dodałem coś, czego chłopiec nie był w stanie zrozumieć, chociaż było stuprocentowo prawdziwe: – Te mecze tak naprawdę wcale nie są ważne.

Ali położyła dłonie na ramionach chłopca. Puścił mnie, odwrócił się do niej i znów się przytulił. Staliśmy tam tak przez minutę, aż się uspokoił. Wtedy klasnąłem i spytałem z wymuszonym uśmiechem:

– Czy ktoś ma ochotę na lody?

Jack szybko doszedł do siebie.

– Ja!

– Nie dzisiaj – ucięła Ali. – Musimy się spakować i przygotować.

Jack ściągnął brwi.

– Może innym razem.

Myślałem, że Jack powie „och, mamó”, ale może i on usłyszał coś w jej głosie. Przechylił głowę i bez słowa odwrócił się do mnie. Przybiliśmy żółwika – tak się witaliśmy i żegnaliśmy, stukając się pięściami – po czym Jack ruszył do drzwi.

Ali wskazała oczami na prawo. Spojrzałem tam i zobaczyłem Trenera Bobby’ego.

– nie próbuj się z nim bić – ostrzegła.

– Rzucił mi wyzwanie – przypomniałem.

– Mądrzejszy ustępuje.

– Może w filmach. W miejscach pełnych dobrych duszków, wielkanocnych króliczków i słicznych wróżek. Jednak w prawdziwym życiu ten, kto ustępuje, jest uważany za mięczaka.

– Więc zrób to dla mnie, dobrze? Dla Jacka. Nie idź dziś wieczorem do tego baru. Obiecuj mi.

– Powiedział, że jeśli się tam nie pokażę, poszuka satysfakcji w inny sposób.

– To arogancki osioł. Obiecuj mi.

Zmusiła mnie, żebym spojrzał jej w oczy.

– Dobrze, nie pójdę tam.

Odwróciła się, żeby odejść. Bez pocałunku na pożegnanie, nawet cmoknięcia w policzek.

– Ali?

– Co?

Korytarz nagle wydał mi się bardzo pusty.

– Zrywasz ze mną?

– Chcesz mieszkać w Scottsdale?

– Mam ci odpowiedzieć natychmiast?

– Nie. Jednaj ja już znam odpowiedź. Ty też.

3

Nie wiem ile czasu minęło. Zapewne kilka minut. Potem poszedłem do samochodu. Niebo było szare. Mżyło. Przystanąłem na moment, zamknąłem oczy i uniosłem twarz ku niebu. Myślałem o Ali. Myślałem o Terese w luksusowym hotelu w Paryżu.

Spuściłem głowę, zrobiłem dwa kroki i zobaczyłem Trenera Booby'ego oraz jego kumpli w fordzie expedition.

Tylko westchnąłem.

Byli tam wszyscy czterej: Asystent Trenera Pat za kierownicą, Trener Booby obok niego, a dwa pozostałe grubasy z tyłu. Wyjąłem telefon komórkowy i wcisnąłem jedynekę w opcji szybkiego wybierania. Win odebrał po pierwszym sygnale.

– Wystów się – rzucił.

Zawsze w ten sposób odbiera telefony, nawet kiedy widzi na wyświetlaczu, że dzwonię ja. To denerwujące.

– Lepiej tu wróc – powiedziałem.

– Och. – miał uradowany głos chłopczyka w wigilijny poranek. – Super.

– Ile ci to zajmie?

– Jestem niedaleko, na ulicy. Podejrzywałem, że coś takiego może się zdarzyć.

– Tylko nikogo nie zastrzel – dodałem.

– Tak, mamusiu.

Mój samochód stał z tyłu parkingu. Ford powoli jechał za mną. Deszcz się wzmógł. Zastanawiałem się jaki mają plan – niewątpliwie zamierzali zrobić coś debilnie męskiego – i postanowiłem czekać na rozwój wydarzeń.

Pojawił się jaguar Wina i stanął w oddali. Ja jeżdżę fordem taurusem, czyli Lep na Laski. Win nienawidził mojego samochodu. Za żadne skarby do niego nie wsiądzie. Wyjąłem kluczyki i wcisnąłem przycisk pilota. Samochód zapiszczał i drzwi się otworzyły. Wsiadłem. Wtedy ford ruszył do ataku. Podjechał i stanął tuż za mną, blokując mi wyjazd. Trener Bobby wyskoczył, gładząc swoją kozią bródkę. Dwaj jego kumple poszli za nim.

Westchnąłem i patrzyłem w lusterku jak podchodzą.

– Mogę coś dla was zrobić? – zapytałem.

– Słyszałem jak obieżdża cie ta twoja dziewczyna – powiedział.

– Nieładnie podsłuchiwać Trenerze Bobby.

– Domyśliłem się, że możesz zmienić zdanie i nie przyjść. Pomyślałem, że możemy załatwić to teraz. Tutaj.

Trener Bobby przysunął swoją twarz do mojej.

– Chyba, że tchórzysz.

– Jadłeś tuńczyka na lunch? – zapytałem.

Jaguar Wina podjechał i stanął obok forda. Trener Bobby cofnął się o krok i zmrużył oczy. Win wysiadł. Tamci czterej popatrzyli na niego i ściągnęli brwi.

– Kto to jest do diabła?

Win uśmiechnął się i podniósł rękę, jakby właśnie przedstawiono go jako gościa programu telewizyjnego i chciał podziękować widowni za aplauz.

– Miło tu być – powiedział. – Bardzo dziękuję.

– To mój przyjaciel. Jest tu, by wyrównać szanse.

– On? – roześmiał się Bobby. Jego chórek mu zawtórował. – Och tak, na pewno.

Wysiadłem z samochodu. Win przysunął się do tych trzech.

– Skopię ci tyłek – oznajmił Trener Bobby.

Wzruszyłem ramionami.

– Możesz próbować.

– Tu jest za dużo ludzi. Zaraz za tym boiskiem jest leśna polana. – Wskazał palcem. – Tam nikt nie będzie nam przeszkadzał.

– A skąd, jeśli wolno spytać, wiesz o tej polanie? – zapytał Win.

– Chodziłem tu do szkoły średniej. Skopałem tam wiele tyłków. – I nadymając się dodał: – Byłem też kapitanem drużyny rugby.

– Ooo... – powiedział Win głosem wypranym z emocji. – Czy mogę nosić twoją kurtkę na potańcówce?

Trener Bobby wycelował w niego gruby paluch.

– Będziesz nią ocierał krew, jeśli się nie zamkniesz.

Win bardzo się starał nie okazywać uciechy.

Przypomniałem sobie, co powiedziałem Ali.

– Obaj jesteśmy dorośli – powiedziałem. Przy każdym słowie miałem wrażenie, że pluję tłuczonym szkłem. – Powinnismy rozwiązywać problemy, nie uciekając się do walki na pięści, nie sądzisz?

Spojrzałem na stojącego za nim Wina. Marszczył czoło.

– Naprawdę użyłeś określenia „walka na pięści”?

Trener Bobby przysunął się do mnie. Stał bardzo blisko.

– Tchórzysz?

Znowu to samo.

Ja jednak byłem mądrzejszy, a mądrzejszy zawsze ustępuje. Pewnie, racja.

– Tak, tchórzę. Zadowolony?

– Słyszycie chłopaki? On tchórzy.

Skrzywiłem się, ale wytrzymałem. Albo złamałem się, jak kto woli. Tak, mądrzejszy facet to ja.

Chyba jeszcze nigdy nie widziałem Wina tak zawiedzionego.

– Zechcecie zabrać swój samochód, żebym mógł odjechać? – zapytałem.

– Dobra – mruknął Trener Bobby – ale ostrzegałem cię.

– Przed czym?

Znów przysunął się za blisko.

– Nie chcesz się bić, dobrze. W takim razie rozpocznie się sezon polowań na twojego chłopaka.

Krew zaszumiła mi w uszach.

– O czym ty mówisz?

– O tym niezdarnym chłopaku, który wrzucił piłkę do niewłaściwego kosza. Przez resztę sezonu będzie celem. Będziemy mieli okazję mu dołożyć i zrobimy to. Gdy zobaczymy szansę, by namieszać mu w głowie, wykorzystamy ją.

Chyba rozdziawiłem usta. Popatrzyłem na Wina, upewniając się, że dobrze słyszę. Już nie wyglądał na załamanego, zacierał ręce.

Odwróciłem się do Trenera Bobby'ego.

– Poważnie?

– Jak atak serca.

W myślach powtórzyłem obietnicę złożoną Ali, szukając luki. Po kontuzji na boisku koszykówki, która zakończyła moją karierę, musiałem dowieść świata, że nic mi nie jest i basta. Poszedłem więc na studia prawnicze na Harvard. Myron Bolitar, w całej swej krasie – wybitny sportowiec i za bardzo wykształcony choć dobroduszny prawnik. Miałem dyplom prawnika, a to oznaczało, że umiem znajdować luki.

Co dokładnie obiecałem? Przypomniałem sobie słowa Ali: „Nie idź dziś wieczorem do tego baru. Obiecuj mi”.

No cóż, to nie był bar prawda? Tylko leśna polana za szkolnym boiskiem. Jasne, może zapomniałem o duchu, ale trzymałem się litery. A ona była tu kluczem.

– Zrobmy to – powiedziałem.

W szóstkę ruszyliśmy w kierunku lasu. Win niemal w podskokach. Po przejściu sześciu metrów przez las zobaczyłem polanę. Ziemia była zasypana niedpałkami i puszkami po piwie. Szkoła średnia. To nigdy się nie zmienia.

Trener Bobby zajął pozycję pośrodku polany. Uniósł rękę i skinął na mnie. Przyłączyłem się do niego.

– Panowie – powiedział Win – proszę o chwilę waszego czasu, zanim oni zaczną.

Wszyscy popatrzyli na niego. Win stał pod dużym klonem z Asystentem Trenera Patem i dwoma goryłami.

– Źle bym się czuł – ciągnął Win – gdybym nie udzielił wam pewnej bardzo ważnej rady.

– O czym, do diabła, gadasz? – warknął Trener Bobby.

– Nie mówię do ciebie. To rada dla trzech twoich kumpli. – Win powiódł wzrokiem po ich twarzach. – W pewnej chwili odczujecie pokusę, żeby wtrącić się i pomóc Trenerowi Bobby'emu. To byłby błąd. Pierwszy, który zrobi choć krok w ich kierunku, będzie hospitalizowany. Zważcie na to, że nie powiedziałem „powstrzymany”, „skrzywdzony” czy nawet „zraniony”. Hospitalizowany.

Tamci gapili się na niego.

– Koniec rady. – Odwrócił się do Trenera Bobby'ego i do mnie. – Teraz możecie rozpocząć zaplanowaną bójkę.

Trener Bobby spojrział na mnie.

– Skąd on się urwał?

Jednak ja już wpadłem w trans i nie byłem w nastroju do pogawędek. Szalałem z wściekłości. Nie jest to dobre, kiedy masz walczyć. Musisz stłumić to uczucie, spowolnić szalejący puls i nie dopuścić do tego, aby sparaliżował cie przyptyw adrenaliny.

Bobby spojrział na mnie i poraz pierwszy w jego oczach zobaczyłem cień wątpliwości. Przypomniałem sobie, jak się śmiał, jak wskazał niewłaściwy kosz i co powiedział: „Hej, dzieciaku, zrób to jeszcze raz!”.

Nabrałem powietrza.

Trener Bobby przyjął postawę bokerską. Ja także, chociaż moja nie była taka sztywna. Stałem na ugiętych i lekko rozstawionych nogach. Bobby był osiłkiem i miejscowym twardzielem, który przywykł do tego, że ludzie się go boją. Nie miał ze mną szans.

Kilka faktów dotyczących walki na pięści. Pierwszy: nigdy nie wiadomo, jak walka się skończy. To kardynalna reguła. Każdemu może wyjść szczęśliwy cios. Jednak prawdę mówiąc, trener Bobby po prostu nie miał szans. Nie mówię tego, ponieważ jestem chępliwym czy lubię się powtarzać. Obojętnie, co rodzice z tych chwiejnych trybun sądzili o swoich prywatnych trenerach i intensywnych zajęciach sportowych w trzicoligowych drużynach, sportowiec powstaje przede wszystkim w łonie matki. Oczywiście potrzebne są chęci, szkolenia i ćwiczenie, ale tak naprawdę istotne są wrodzone umiejętności.

Talent jest ważniejszy od praktyki.

Zostałem obdarzony niewiarygodnie dobrym refleksem i koordynacją ruchową. Nie przechwalam się. To jak kolor włosów, wzrost lub słuch. I nawet nie wspominam o latach ćwiczeń mających poprawić moją muskulaturę i nauczyć mnie sztuki walki. One też zrobiły swoje.

Trener Bobby postąpił zgodnie z moimi przewidywaniami. Zrobił krok na przód i wyprowadził zamasytą sierpową. Nie jest to skuteczny cios przeciwko doświadczonemu przeciwnikowi. Szybko można się nauczyć, że kiedy ma to znaczenie, najkrótszym odcinkiem między dwoma punktami jest linia prosta. Posiadając tę wiedzę, ma się przewagę przy wymianie ciosów.

Lekko odsunąłem się w lewo. Niewiele. Tylko tyle, żeby móc sparować cios lewą ręką i pozostać blisko celu. Bobby odstąpił, a ja to wykorzystałem. Czas zwolnił. Mogłem uderzyć w kilka wrażliwych miejsc.

Wybrałem gardło.

Zgiąłem prawą rękę i przedramieniem udeżyłem go w grdykę.

Trener Bobby zarządził. Walka skończona. Wiedziałem o tym. A przynajmniej powinienem wiedzieć. Powinienem się cofnąć i pozwolić, żeby, charcząc, osunął się na ziemię.

Jednak wciąż słyszałem jego drwiący głos:

„Hej, dzieciaku, zrób to jeszcze raz... Przez resztę sezonu będzie celem... Będziemy mieli okazję i zrobimy to... Tchórzysz”.

Powinienem pozwolić mu upaść. Powinienem zapytać, czy ma dość, i w ten sposób to zakończyć. Jednak rozsadał mnie gniew. I nie mogłem się powstrzymać. Zgiąłem lewą rękę w łokciu i zacząłem wyprowadzać cios. Zamierzałem uderzyć go łokciem w twarz.

Uświadomiłem sobie, że byłoby to mordercze uderzenie. Jedno z takich, które łamią kości twarzy. Takie, które wymaga interwencji chirurga i wielu miesięcy bolesnych zabiegów.

W ostatniej chwili odzyskałem rozsądek. Nie powstrzymałem ciosu, ale trochę go osłabiłem. Zamiast uderzyć w jego twarz, mój łokieć tylko zawadził o nos Bobby'ego. Trysnęła krew. Rozległ się dźwięk przypominający trzask łamanych suchych gałązek.

Bobby runął na ziemię.

– Bobby!

To krzyknął asystent Trenera Pat. Odwróciłem się do niego, próbując powstrzymać go gestem otwartej dłoni.

– Nie! – krzyknąłem.

Jednak było za późno. Pat zrobił krok naprzód i zamachnął się pięścią.

Win prawie się nie poruszył. Tylko jego stopa z trzaskiem trafiła w lewe kolano Asystenta Trenera Pata. Noga nieszczęśnika zgięła się w stawie pod dziwnym, nienaturalnym kątem. Pat wrzasnął i jak długi runął na ziemię.

Win uśmiechnął się i uniósł brwi, patrząc na dwóch pozostałych.

– Następny?

Obaj ledwie śmieli oddychać.

Natychmiast uszła ze mnie wściekłość. Trener Bobby podniósł się na klęczki, ściskając nos, jakby tulił zranione zwierzątko. Spojrzałem na niego. Zdumiało mnie to, jak bardzo pokonany męczyzna przypomina małego chłopca.

– Pozwól, żebym ci pomógł – powiedziałem.

Krew z nosa ciekła mu przez palce.

– Odejdź ode mnie!

– Trzeba to zacisnąć. Zatrzymać krwawienie.

– Powiedziałem, trzymaj się z daleka!

Miałem powiedzieć coś na swoją obronę, ale ktoś położył dłoń na moim ramieniu. Win. Pokręcił głową, jakby mówił „to na nic”. Miał rację.

Bez słowa wyszliśmy z lasu.

Kiedy godzinę później wróciłem do domu, czekały na mnie dwie wiadomości głosowe. Obie krótkie i rzeczowe. Pierwsza nie była zaskoczeniem. W małych miasteczkach złe wieści szybko się rozchodzą.

– Nie wierzę, że złateś obietnicę – powiedziała Ali.

No tak.

Westchnąłem. Przemoc niczego nie rozwiązuje. Win skrzywiłby się, gdybym to powiedział, ale prawda wyglądała tak, że ilekroć uciekałem się do przemocy, co zdażało się dość często, nigdy się na tym nie kończyło. Przemoc rozchodzi się jak kręgi na wodzie. Powraca echem, które nigdy nie cichnie.

Druga wiadomość na automatycznej sekretarce pochodziła od Terese: „Proszę przyleść”.

Teraz już nie próbowała ukryć desperacji.

Dwie minuty później zadzwonił mój telefon. Zobaczyłem na wyświetlaczu, że to Win.

- Mamy mały problem – oznajmił.
- Jaki?
- Asystent Trenera Pat, ten wymagający pomocy chirurga ortopedy.
- Co z nim?
- To funkcjonariusz policji z Kasselton. Ściśle mówiąc, kapitan, chociaż nie będę nosił jego kurtki na potańcówce.
- Och – westchnąłem.
- Najwyraźniej zamierzają nas aresztować.
- To oni zaczęli – przypomniałem.
- Och tak, i jestem pewien, że każdy w tym mieście przedłoży nasze słowo nad słowa kapitana policji oraz trzech wieloletnich mieszkańców.
- Miał rację.
- Jednak pomyślałem – ciągnął – że moglibyśmy spędzić kilka tygodni w Tajlandii, podczas, gdy mój prawnik się tym zajmie.
- Niezły pomysł.
- Znam pewnie klub dla dżentelmenów przy Patpong Street w Bangkoku. Moglibyśmy tam rozpocząć naszą podróż.
- Nie sądzę.
- Co za purytanin. Tak czy inaczej, ty też powinieneś się zmyć.
- Taki mam zamiar.
- Rozłączyliśmy się. Zadzwoń do Air France.
- Zostało jeszcze jakieś miejsce na wieczorny lot do Paryża?
- Pana nazwisko?
- Myron Bolitar.
- Już ma pan rezerwację i bilet. Chce pan przy oknie czy przy przejściu?

4

Skorzystałem z premii za częste przeloty i dopłaciłem do wyższej klasy. Nie potrzebuję darmowej gorzałki ani lepszego posiłku, ale miejsce na nogi dużo dla mnie znaczy. W samolocie zawsze dostaję miejsce między dwoma spaślakami ledwie mieszczącymi się w fotelach, a przede mną niechybnie siedzi drobniutka starsza pani, która ledwie sięga stopami podłogi, ale musi odchylić oparcie najbardziej, jak się da, czerpiąc niemal zmysłową przyjemność, gdy słyszy, jak ociera się ono o moje kolana, wyciągnięta tak, że przez cały lot muszę liczyć płatki łupieżu w jej włosach.

Nie miałem numeru telefonu Terese, ale zapamiętałem hotel d'Aubusson. Zadzwoiłem i zostawiłem wiadomość, że jestem w drodze. Wsiadłem do samolotu i wepchnąłem do uszu słuchawki iPod. Szybko zapadłem w samolotowy półsen, myśląc o Ali, pierwszej kobiecie z dziećmi, z którą byłem, w dodatku wdowie, o tym, jak odwróciła się i powiedziała: „To z nami nie jest na zawsze, Myronie...”.

Czy miała rację?

Próbowałem wyobrazić sobie życie bez niej.

Czy kochałem Ali Wilder? Tak.

W moim życiu kochałem trzy kobiety. Pierwszą była Emily Downing, moja dziewczyna z Duke. Rzuciła mnie dla mojego rywala z Karoliny Północnej. Drugą ukochaną i dotychczas jedyną bratnią duszą, była Jessica Culver, pisarka. Jessica także zgmiotła moje serce jak styropianowy kubek. A może w końcu to ja złamałem jej serce? Teraz trudno było powiedzieć. Kochałem ją ze wszystkich sił, ale to nie wystarczyło. Teraz jest mężatką. Żoną faceta, który nazywa się Stone. Stone. Nie żartuję.

Trzecią była, no cóż, Ali Wilder. Ja byłem pierwszym mężczyzną, z którym się umawiała od śmierci męża jedenastego września w Wieży Północnej. Nasza miłość była silna, ale także spokojniejsza, dojrzała, i może miłość wcale nie powinna taka być. Wiedziałem, że rozstanie będzie bolesne, ale nie druzgoczące. Zastanawiałem się, czy to również przychodzi wraz z dojrzałością, czy może po wielu latach sercowych zawodów w końcu zaczynasz się bronić.

A może Ali miała rację? To nic było na zawsze. Tak po prostu.

Jest takie żydowskie przysłowie: „Człowiek planuje, Bóg z tego żartuje”. Jestem tego najlepszym przykładem. Miałem wytyczoną drogę życiową. Od dziecka byłem gwiazdą zespołu koszykówki i miałem zostać zawodnikiem NBA w drużynie Boston Celtics. Jednak podczas pierwszego meczu przed otwarciem sezonu Wielki Burt Wesson wpadł na mnie i uszkodził mi kolano. Dzielnie próbowałem wrócić na boisko, ale jest ogromna różnica między dzielnością a skutecznością. Moja kariera była zakończona, zanim upadłem na parkiet boiska.

Ponadto miałem być rodzinnym facetem jak mężczyzna, którego najbardziej podziwiałem: Al Bolitar, mój ojciec. Poślubił swoją dziewczynę, a moją matkę, Ellen, przenieśli się do Livingston na przedmieściach New Jersey, wychowali potomstwo, ciężko pracowali i urządzali grille na podwórku za domem. Takie miało być moje życie — pomocna małżonka, wspaniałe dzieci, popołudniami wysiadanie na chwiejnych trybunach i

kibicowanie mojemu potomstwu, może pies, rdzewiejąca obręcz do kosza na podjeździe, zakupy w Home Depot i ModelTs Sporting Goods w soboty. Łapiecie ideę?

Tymczasem jestem tutaj, dobrze po czterdziestce, wciąż nieżonaty i bez rodziny.

— Czy chce pan coś do picia? — zapytała stewardesa.

Rzadko pije, ale poprosiłem o szkocką z wodą sodową. To drink Wina. Potrzebowałem czegoś, co trochę mnie odurzy i pozwoli zasnąć. Znów zamknąłem oczy. Znów zacząłem blokować myśli. Blokowanie myśli to dobra rzecz.

Zatem, gdzie tu miejsce dla Teresę Collins, kobiety, na spotkanie z którą lecie przez ocean?

Nigdy nie myślałem o Teresę w kategoriach miłości. Przynajmniej nie takiej. Myślałem o jej jędrnej skórze i zapachu masła kakaowego. O emanującym z niej smutku. O tym, jak kochaliśmy się na tamtej wyspie, dwa ludzkie wraki. Kiedy Win przyłynął wreszcie jachtem, żeby zabrać mnie do domu, spędzone tam chwile mnie wzmocniły. Ją nie. Pożegnaliśmy się, lecz to jeszcze nie był koniec. Teresę pomogła mi, kiedy najbardziej tego potrzebowałem, przed ośmioma laty, a potem znów znikła ze swoim cierpieniem. Teraz wróciła.

Teresę znikła na osiem lat nie tylko dla mnie, ale i z życia publicznego. W latach dziewięćdziesiątych była znaną osobowością telewizyjną, najlepszą spikerką CNN, a potem nagle bach! i jej nie było.

Samolot wylądował i podkołował do bramki. Wziąłem mój bagaż podręczny — nie trzeba dużo brać, kiedy jedzie się tylko na kilka nocy — zastanawiając się, co mnie czeka. Wysiadłem z samolotu jako trzeci, a moje długie nogi szybko zapewniły mi pierwsze miejsce w kolejce do odprawy celnej i paszportowej. Miałem nadzieję, że przejdę przez nią szybko, ale właśnie wylądowały jeszcze trzy inne samoloty i zrobił się zator.

Kolejka wiła się przez ogrodzone sznurami przejście niczym w Disneylandzie. Posuwała się szybko. Funkcjonariusze przeważnie przepuszczali podróżnych machnięciem ręki, pobieżnie przeglądając każdy paszport. Gdy nadeszła moja kolej, pracownica biura imigracyjnego spojrzała na mój paszport, potem na moją twarz, znów na paszport i na mnie. Nie odrywała ode mnie wzroku. Uśmiechnąłem się, nie włączając całego słynnego wdzięku Bolitara. Nie chciałem, żeby ta biedna kobieta zaczęła się rozbierać na oczach wszystkich. Odwróciła się gwałtownie, jakbym rzucił jakąś niegrzeczną uwagę. Skinęła na swojego towarzysza. Kiedy znów się do mnie odwróciła, doszedłem do wniosku, że powinienem przejść na wyższy poziom. Uśmiechnąłem się szerzej. Przełączyć wdzięk z niskiego na oszałamiający.

— Proszę przejść na bok — powiedziała. Wciąż uśmiechałem się jak idiota.

— Po co?

— Mój kolega zajmie się pańską sprawą.

— Jestem jakąś sprawą? — spytałem.

— Proszę stanąć z boku.

Wstrzymałem kolejkę i stojący za mną ludzie nie byli z tego zadowoleni. Stanąłem z boku. Inny nieumundurowany agent powiedział:

— Proszę za mną.

Nie podobało mi się to, ale jaki miałem wybór? Zastanawiałem się, dlaczego ja? Może we Francji jest jakieś prawo zakazujące takiego wdzięku osobistego jak mój, ponieważ — kolejna błyskotliwa uwaga — powinno być.

Agent zaprowadził mnie do pokoiku bez okien. Ściany były beżowe i nagie. Na drzwiach dwa haczyki z wiszącymi na nich wieszakami. Krzesła z formowanego plastiku. Funkcjonariusz wziął mój bagaż i położył na stole. Zaczął go przeglądać.

— Proszę opróżnić kieszenie. Położyć wszystko na tej tacy. Zdjąć buty.

Zrobiłem to. Portfel, blackberry, drobne, buty.

— Muszę pana obszukać.

Był bardzo dokładny. Już miałem zażartować, że za bardzo się przykłada do tej roboty, albo powiedzieć, że byłoby miło, gdyby zafundował mi przynajmniej rejs łodzią po Bateau Mouche, zanim zacznie mnie obmacywać, ale zacząłem się zastanawiać nad francuskim poczuciem humoru. Czy tutaj nie uwielbiają Jerry'ego Lewisa? Może lepszy byłby jakiś żart sytuacyjny.

- Proszę usiąść.

Usiadłem. Wyszedł, zabierając tacę z moimi drobiazgami. Przez pół godziny siedziałem sam — dojrzewając, jak mówią. Nic podobało mi się to.

Wreszcie do pokoju weszli dwaj mężczyźni. Pierwszy był młodszy, chyba przed trzydziestką, przystojny i jasnowłosy, z tym trzydniowym zarostem, jaki noszą ładni chłopcy, żeby wyglądać bardziej męsko. Nosił dżinsy i wysokie buty oraz zapinaną na guziki koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci. Oparł się o ścianę, skrzyżował ręce na piersi i żuł wykałaczkę.

Drugi mężczyzna był po pięćdziesiątce, miał za duże okulary w drucianych oprawkach i mocno przerzedzone ciemnosiwie włosy. Wchodząc, wycierał ręce w papierowy ręcznik. Jego kamizelka wyglądała jak coś, co w Members Only sprzedawano w 1986 roku.

Tyle o Francuzach i ich modzie.

Rozmowę zaczął starszy:

- Jaki jest cel pana wizyty we Francji?

Spojrzałem na niego, potem na amatora wykałaczek i znów na niego.

— A pan jest...

— Kapitan Berieand. A to oficer Lefebvre. Skinąłem głową Lefebvre'owi. Jeszcze energiczniej zaczął żuć wykałaczkę.

— Cel pańskiej wizyty? — powtórzył pytanie Berieand. — Interesy czy przyjemność?

— Przyjemność.

— Gdzie się pan zatrzyma?

— W Paryżu.

— Gdzie w Paryżu?

— W hotelu d'Aubusson.

Nie zapisał tego. Obaj nie mieli ołówków ani skrawka papieru.

— Będzie pan sam? — spytał Berieand.

— Nie.

Berieand nadal wycierał ręce w papierowy ręcznik. Przestał i jednym palcem poprawił zsuwające mu się z nosa okulary. Kiedy nie dodałem nic więcej, wzruszył ramionami.

— Tak? — rzucił pytająco,

— Mam się z kimś spotkać.

— Nazwisko tej osoby?

— Czy to konieczne?

— Nie, panie Bolitar, jestem wścibski i pytam bez konkretnego powodu.

Francuzi lubią być sarkastyczni.

— Nazwisko?

— Teresę Collins.

— Kim pan jest z zawodu?

- Agentem.

Berieand wyglądał na zaskoczonego. Najwidoczniej Lefebvre nie znał angielskiego.

- Reprezentuję aktorów, sportowców, pisarzy, show-manów... --- wyjaśniłem.
Berleand kiwnął głową usatysfakcjonowany. Drzwi się otworzyły. Wrócił funkcjonariusz z moimi rzeczami i wręczył tacę Berleandowi. Ten postawił ją na stole obok mojego bagażu. Potem znów zaczął wycierać ręce.

— Pan i pani Collins nie podróżowaliście razem, prawda?

— Nie. Ona już jest w Paryżu.

--- Rozumiem. Jak długo zamierza pan zostać we Francji? —

--- Jeszcze nie wiem. Dwie lub trzy noce. Berleand spojrzął na Lefebvre'a. Ten skinął głową, odkleił się od ściany i ruszył do drzwi. Berleand za nim.

— Przepraszamy za utrudnienia — rzekł. — Mam nadzieję, że pobyt będzie dla pana przyjemny.

5

Teresę Collins czekała na mnie w holu.

Uściskała mnie, ale nie za mocno. Oparła się na mnie, ale także nie tak bardzo, w żadnym razie nie całym ciężarem ciała. Oboje z rezerwą witaliśmy się po raz pierwszy od ośmiu lat. Jednak kiedy się ściskaliśmy, zamknąłem oczy i wydało mi się, że czuję zapach masła kakaowego.

Przez głowę przelatowały mi obrazy z wyspy na Morzu Karaibskim, ale przeważnie były to — bądźmy szczerzy — migawkowe wspomnienia tego, co naprawdę nas łączyło: wspaniałego seksu. Tego rozpaczliwego drapania i szarpania, które pozwala zrozumieć — i to nie w sposób sadomasochi-styczny - - jak ból, czyli emocjonalne cierpienie i przyjemność nic tylko stapiają się, ale także wzmacniają wzajemnie. Nie interesowały nas słowa, uczucia, fałszywe pocieszenia, trzymanie się za ręce czy choćby nawet ostrożne uściski — jakby to wszystko było zbyt czułe, jakby delikatna pieśczoła mogła rozbić tę kruchą bańkę, która chwilowo chroniła nas oboje.

Teresę się odsunęła. Nadal była oszałamiająco piękna. Postarzała się, lecz niektórym kobietom — może większości z nich w czasach zbyt częstych operacji plastycznych — wiek służy.

— Co się stało? — zapytałem.

— Takie są twoje pierwsze słowa po tych wszystkich latach? — Wzruszyłem ramionami. — Moje brzmiały: „Przyleć do Paryża” — przypomniała Teresę.

— Chwilowo wyłączyłem mój urok osobisty — odparłem. — Przynajmniej do czasu, aż powiesz mi, co się stało.

— Pewnie jesteś wykończony.

— Nic mi nie jest.

— Mam tu dla nas pokój. Z dwoma łózkami. Osobnymi, żebyśmy mieli możliwość spać osobno.

Nic nic powiedziałem.

— Człowieku — uśmiechnęła się z przymusem — dobrze cię widzieć.

Ja też tak uważałem. Może to nie była miłość, lecz na pewno silne, prawdziwe i wyjątkowe uczucie. Ali powiedziała, że z nami to nie na zawsze. Z Teresę, no cóż, może nic na co dzień, ale choć trudne do zdefiniowania, było to coś, co można na kilka lat odłożyć na półkę i zapomnieć, przyjmując za pewnik. I może właśnie tak powinno być.

— Wiedziałaś, że przylecę.

— Tak. I wiesz, że tak samo byłoby, gdybyś to ty zadzwonił po mnie.

Wiedziałem.

— Wspaniale wyglądasz — powiedziałem.

— Chodź. Zjedzmy coś.

Portier wziął ode mnie walizkę i obrzucił Teresę ukradkowym, pełnym podziwu spojrzeniem, zanim posiał mi uniwersalny uśmiech typu „między nami mężczyznami”, który mówił „ty szczęściarzu”.

Rue Dauphine jest wąska. Biała furgonetka nieprawidłowo zaparkowała obok taksówki, zajmująca niemal całą ulicę. Kierowca taksówki wykrzykiwał coś, co uznałem za francuskie obelgi, a być może po prostu w agresywny sposób pytał o drogę.

Skręciliśmy w prawo. Była dziewiąta rano. O tej porze w centrum Nowego Jorku zapewne panuje ożywiony ruch, lecz paryscy spacerowicze dopiero wstawali z łóżek. Doszliśmy do Sekwany przy Pont Neuf. W oddali po prawej widziałem wieżę katedry Notre Dame. Teresę szła wzdłuż rzeki, obok zielonych straganów słynących ze sprzedaży antykwarycznych książek, lecz najwyraźniej przestawionych na sprzedaż tandetnych pamiątek. Na drugim brzegu rzeki wznosiła się olbrzymia forteca z pięknym mansardowym dachem, śmiała i posepna, żeby zacytować Springsteena.

— Czy byłabyś zakłopotana — zapytałem, gdy zbliżaliśmy się do Notre Danie — gdybym się zgarbił, zaczął powłóczyć lewą nogą i zawołał: „Sanktuarium!”.

-- Ktoś mógłby wziąć cię za turystę — ostrzegła Teresę.

— Celną uwagę. Może powinienem kupić berecik z moim imieniem wyszytym z przodu?

— Tak, wtedy wtopiłbyś się w tłum.

Teresę nadal chodziła jak modelka, wyprostowana i z wysoko uniesioną głową. Jeszcze jedna cecha łącząca kobiety mojego życia, którą właśnie sobie uświadomiłem; wszystkie pięknie się poruszały. Moim zdaniem pewny siebie chód jest zmysłowy. Ten zdecydowany krok, jakim niektóre kobiety wchodzą do pokoju, jakby już był ich własnością. To, jak kobieta się porusza, bardzo dużo mówi.

Usiedliśmy w kafejce na świeżym powietrzu przy Saint Michel. Niebo wciąż było szare, lecz słońce próbowało nad nim zapanować. Teresę usiadła i przez długą chwilę studiowała moją twarz.

-- Hm, czy coś utkwilo mi między zębami? — zapytałem.

Uśmiechnęła się mimo woli.

— Boże, ale mi ciebie brakowało.

Te słowa zawisły w powietrzu. Nie wiedziałem, czy mówiła to ona, czy to miasto. Paryż już taki jest. Dużo napisano o jego pięknie i walorach, co oczywiście jest prawdą. Każda budowla jest tu małym cudem architektury, ucztą dla oczu. Paryż jest jak piękna kobieta, która wie o tym, że jest piękna, lubi taką być i — ergo — nie musi za bardzo się wysilać. Jest wspaniała i oboje o tym wiecie.

Co więcej, Paryż sprawia, że czujesz się — brak mi lepszego słowa — żywy. Cofam to. Paryż sprawia, że chce się żyć. Chce się coś robić, być i cieszyć się tym, że się tu jest. Chce się czuć, po prostu coś czuć, obojętnie co. Wszystkie zmysły ma się wyostrzone. Paryż sprawia, że i chce się płakać, śmiać się, zakochać, napisać wiersz, uprawiać miłość i skomponować symfonię.

Teresę wyciągnęła rękę nad stołem i ujęła moją dłoń.

— Mogłaś zadzwonić — powiedziałem. — Mogłaś dać mi znać, że u ciebie wszystko w porządku.

— Wiem.

— Nie przeprowadziłem się. Moje biuro nadal jest przy Park Avenue. Wciąż dzielę mieszkanie z Winem.

— I kupiłeś dom rodziców w Livingston — dodała. Nie wyrwało jej się to. Teresę wiedziała o tym domu.

Wiedziała o Ali. Chciała, żebym wiedział, że interesuje się tym, co robię.

— Po prostu znikłaś.

— Wiem.

— Próbowałem cię odnaleźć.

— To także wiem.

— Możesz przestać mówić „wiem”?

— Dobrze.

— Cóż więc się stało?

Zabrała rękę. Umknęła spojrzeniem ku Sekwanie. Obok nas przeszła jakaś młoda para. Klócili się po francusku. Kobieta była wściekła. Podniosła zgniecioną puszkę po napoju i rzuciła nią w głowę przyjaciela.

— Nie zrozumiałbyś — powiedziała Teresę.

— To gorsze od „wiem”. Uśmiechnęła się smutno.

— Jestem uszkodzonym towarem. Pociągnęłabym cię za sobą na dno. Za bardzo mi na tobie zależy, żebym mogła na to pozwolić.

Rozumiałem. Choć nie do końca.

— Bez urazy, ale to brzmi tak, jakbyś coś sobie wmawiała.

— Nie.

— Zatem, gdzie się podziewałaś, Teresę?

— Ukrywałam się.

— Przed czym? Pokręciła głową.

— Dlaczego więc tu jestem? I proszę, nie mów mi, że to dlatego, iż za mną tęskniłaś.

— Nie. To znaczy, tęskniłam. Nie masz pojęcia, jak bardzo. Jednak rnasz rację, nie dlatego zadzwoniłam.

— Tak?

Pojawił się kelner w czarnym fartuchu i białej koszuli. Terese płynną francuszczyzną zamówiła dla nas obojga. Ja nie znam ani słowa w tym języku, więc równie dobrze mogła mi zamówić wyspkę skórną z chlebem.

— Tydzień temu zadzwonił do mnie mój były mąż — powiedziała.

Nawet nie wiedziałem, że była zamężna.

— Nie rozmawiałam z Rickiem przez dziewięć lat.

— Dziewięć lat — powtórzyłem. — To mniej więcej wtedy się poznaliśmy.

Popatrzyła na mnie.

— Nie bądź oszołomiona moimi matematycznymi zdolnościami. Matematyka to jeden z moich ukrytych talentów. Staram się nie chełpić.

— Zastanawiasz się, czy Rick i ja byliśmy jeszcze małżeństwem, kiedy uciekliśmy na tę wyspę?

— Niezupełnie.

— Zawsze jesteś tak cholernie powściągliwy?

— Nie — powiedziałem, znów myśląc o szalonych dniach na tamtej wyspie. — Nie jestem.

— O czym mogę zaświadczyć?

— To mój kolejny ukryty talent. I staram się nie chełpić.

— I dobrze. Jednak pozwól mi rozwiać twoje wątpliwości. Rick i ja nie byliśmy już razem, kiedy cię poznałam.

— Czego więc chciał były mąż Rick?

— Powiedział, że jest w Paryżu. I żebym szybko się z nim spotkała.

— W Paryżu? — powtórzyłem.

— Nie, w wesołym miasteczku w Jackson w stanie New Jersey. Oczywiście, że w Paryżu.

Zamknęła oczy. Czekałam.

— Przepraszam. To było nieuprzejme.

— Nie, lubię gdy jesteś kąśliwa. Co jeszcze powiedział twój były?

— Kazał mi zatrzymać się w hotelu d'Aubusson.

— I?

— I to wszystko.

Usiadłem wygodniej na krześle.

— To cała wasza rozmowa? „Cześć, Teresę, tu Rick, twój były mąż, z którym nie rozmawiałaś przez prawie dziesięć lat. Natychmiast przyjeźdź do Paryża, zatrzymaj się w hote Su d'Aubusson i, och, to pilne?”.

— Mniej więcej.

— Nie zapytałaś go, dlaczego to takie pilne?

— Specjalnie udajesz tępego? Oczywiście, że zapytałam.

— I?

— Nie chciał mi powiedzieć. Twierdził, że musi spotkać się ze mną osobiście.

— A ty rzuciłaś wszystko i przyjechałaś?

— Tak.

— Po tylu latach po prostu... - — Urwałem. — Zaczekaj. Powiedziałaś mi, że się ukrywałaś.

— Tak.

— Przed Rickiem także?

— Przed wszystkimi.

— Gdzie?

— W Angoli.

W Angoli? Na razie zostawiłem ten temat.

— To jak on cię znalazł?

Przyszedł kelner. Przyniósł nam dwie filiżanki kawy oraz coś, co wyglądało na kanapkę z szynką i serem.

— Nazywają to croque monsieurs — wyjaśniła. Wiedziałem. Szynka i ser, ale fikuśnie nazwane.

— Rick pracował ze mną w CNN — ciągnęła. — Jest chyba najlepszym reporterem śledczym na świecie, ale nie lubi występować w telewizji, więc trzyma się za kulisami. Domyślam się, że mnie wytropił.

Teresę była bladejsza, niż na rozgrzanej słońcem wyspie, jej niebieskie oczy mniej się iskrzyły, lecz wciąż miała złote obwódki wokół źrenic. Zawsze wołałem brunetki, lecz urzekły mnie jej jasne loki.

— W porządku — powiedziałem. — Mów dalej.

— Zrobiłam, o co prosił. Przyjechałam tu cztery dni temu. I nie mam od niego żadnej wiadomości.

— Dzwoniłaś do niego?

— Nie mam numeru jego telefonu. Rick był bardzo lakoniczny. Powiedział mi, że skontaktuje się ze mną, kiedy tu przylecę. Do tej pory tego nie zrobił.

— I dlatego zadzwoniłaś do mnie?

— Tak. Jesteś dobry w znajdowaniu ludzi.

— Jeśli jestem tak dobry w znajdowaniu ludzi, to dlaczego nie znalazłem ciebie?

— Ponieważ niezbyt energicznie szukałeś.

To mogło być prawdą.

Nachyliła się do mnie.

— Byłam tam, pamiętasz?

— Tak.

Nie dodała oczywistego stwierdzenia. Pomogła mi wtedy, kiedy życie kogoś bardzo dla mnie ważnego wisiało na włosku. Bez niej nie zdołałbym go uratować.

— Nawet nie wiesz, czy twój były zaginął — zauważyłem.

Teresę nie odpowiedziała.

— Może po prostu chciał się odegrać? Albo ma wypaczone poczucie humoru. A może to, o co mu chodziło, nie było aż tak ważne. Może zmienił zdanie?

Tylko na mnie popatrzyła.

— A jeśli zaginął, to nie jestem pewien, czy zdołam ci pomóc. Tak, owszem, mogę robić różne rzeczy w domu. Jednak jesteśmy w obcym kraju. Nie znam języka. Nie ma tu Wina, który mógłby mi pomóc, ani Esperanzy czy Wielkiej Cyndi.

— Ja tu jestem. Znam francuski.

Spojrzałem na nią. Miała łzy w oczach. Nigdy nie widziałem jej załamanej, ale też nigdy nie widziałem jej w takim stanie. Pokręciłem głową.

— Czego mi nie mówisz?

Zamknęła oczy. Czekałem.

— Jego głos — powiedziała.

— Co z nim?

— Rick i ja zaczęliśmy się spotykać, kiedy byłem na pierwszym roku studiów. Byliśmy małżeństwem przez dziesięć lat. Niemal codziennie pracowaliśmy razem.

— W porządku.

— Wiem o nim wszystko, znam jego humory, wiesz o czym mówię?

— Chyba tak.

— Bywaliśmy razem w strefach wojen. Odkryliśmy izby tortur na Środkowym Wschodzie. W Sierra Leone widzieliśmy rzeczy, jakich żaden człowiek nie powinien zobaczyć. Rick wiedział, jak zachować dystans. Zawsze był spokojny, zawsze panował nad emocjami. Nienawidził afektacji towarzyszącej przekazywaniu wiadomości w telewizji. Tak więc usłyszałam, jak brzmi jego głos w rozmaitych sytuacjach. Znowu zamknęła oczy.

Jednak jego głos nigdy nie brzmiał tak jak wtedy. Wyciągnąłem rękę nad stolikiem, ale nie ujęła jej. — Jak? — zapytałem.

— Było w nim drżenie, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałam. Pomyślałam... pomyślałam, że chyba płacze. Był śmiertelnie przerażony. Ten mężczyzna, który nigdy się nie bał. Powiedział, że chce, żebym była przygotowana.

— Przygotowana na co?

Teraz miała łzy w oczach. Złączyła dłonie jak do modlitwy i oparła czubki palców o grzbiet nosa.

— Powiedział, że to, co zamierza mi powiedzieć, zmieni całe moje życie.

Odchyliłem się do tyłu, ściągając brwi.

— Użył dokładnie takich słów? „Zmieni całe twoje życie?”

— Tak.

Teresę też nie była afektowana. Nie miałem pojęcia, co o tym sądzić.

— A gdzie mieszka Rick? — zapytałem.

— Nie wiem.

— Może mieszkać w Paryżu?

— Może. Kiwnąłem głową.

— Ożenił się ponownie?

— Tego też nie wiem. Jak już mówiłam, od dawna nie rozmawialiśmy.

To nie będzie łatwe.

— Nie wiesz, czy nadal pracuje dla CNN?

— Wątpię w to.

— Może mogłabyś dać mi listę jego przyjaciół i krewnych, coś, od czego mógłbym zacząć?

— Dobrze.

Drżącą dłonią wzięła filiżankę z kawą i podniosła do ust.

— Teresę?

Trzymała filiżankę w powietrzu, jakby chciała się nią osłonie.

— Co takiego mógł wiedzieć twój były mąż, co mogłoby zmienić całe twoje życie?

Odwróciła wzrok.

Wzdłuż Sekwany jeździły czerwone piętrowe autobusy wypełnione turystami. Wszystkie były ozdobione reklamą domu towarowego, ukazującą atrakcyjną kobietę z wieżą Eiffla na głowie. Wyglądało to śmiesznie i nieprzyjemnie. Wieża wydawała się ciężka i gotowa spaść kobiecie z głowy, przytrzymywana tylko wąską wstążką. Łabędzia szyja modelki była wygięta tak, jakby zaraz miały trzasnąć jej kręgi. Kto uznał, że to dobry sposób na reklamowanie mody?

Pieszycy przybywało. Dziewczyna, która rzuciła zgniecioną puszką, teraz tuliła się do swojej ofiary. Ach, ci Francuzi. Policjant kierujący ruchem machał do kierowcy białej furgonetki, żeby przestał tamować ruch. Odwróciłem się i czekałem na odpowiedź Teresę. Odstawiła filiżankę.

— Nie mam pojęcia.

Jednak lekko się przy tym zająknęła. Czytelny znak, gbyśmy grali w karty. Nie kłamała, byłem tego pewny, jednak nie powiedziała mi wszystkiego.

— I na pewno twój były mąż nie chce się w ten sposób odegrać?

— Na pewno.

Zamilkła, odwróciła wzrok, spróbowała się uspokoić. Wiedziałem, że nadszedł czas na zdecydowany ruch.

— Co ci się przytrafiło, Teresę? — zapytałem. Wiedziała, co mam na myśli. Nie spojrzała mi w oczy,

lecz na jej ustach pojawił się nikły uśmiech.

— Ty też nigdy mi nie powiedziałeś — przypomniała.

— Nasza niepisana reguła na wyspie.

— Tak.

— Tylko że teraz nie jesteśmy na wyspie.

Cisza. Miała rację. Nigdy jej nie powiedziałem, co przywiodło mnie na tamtą wyspę — co mnie załamało. Może więc powinienem zrobić to pierwszy.

— Miałem kogoś chronić — powiedziałem. — Schrząniłem to. Ona zginęła przeze mnie, i na domiar złego, bardzo źle na to zareagowałem.

Przemoc, pomyślałem. Niecichnące echo.

— Ona — powtórzyła Teresę. — Kobieta, którą miałeś chronić?

— Tak.

— Byłeś na jej grobie. Pamiętam.

Nic nie powiedziałem.

Teraz jej kolej. Siedziałem i czekałem, aż będzie gotowa. Pamiętałem, co Win mówił o jej sekrecie, że to coś bardzo złego. Denerwowałem się. Wodziłem wzrokiem wokół i nagle zauważyłem coś, co mnie zaintrygowało.

Ta biała furgonetka.

Po pewnym czasie przyzwyczajasz się do takiego sposobu życia. Do czujności. Rozglądasz się, zaczynasz dostrzegać pewne prawidłowości i się zastanawiać. Tę furgonetkę zobaczyłem po raz trzeci. A przynajmniej tak mi się wydawało. Stała przed hotelem, kiedy wychodziliśmy, i co więcej, kiedy widziałem ją ostatnio, policjant z drogówki kazał jej odjechać.

Mimo to wciąż tam stała.

Odwróciłem się do Teresę. Zauważyła moją minę.

— Co się stało?

— Ta biała furgonetka chyba za nami jeździ.

Nie dodałem „nie patrz” ani niczego takiego. Nie musiałem.

— Co powinniśmy zrobić? — zapytała.

Zastanowiłem się. Kawałki łamigłówek zaczęły się układać. Miałem jeszcze nadzieję, że się mylę. Przez moment wyobrażałem sobie, że za kilka sekund wszystko to się zakończy. Były mężulek Rick prowadzi furgonetkę, szpiegując nas. Podejdę, otworzę drzwi i wyciągnę go zza kierownicy.

Wstałem i spojrzałem prosto w boczne okienko furgonetki. Jeśli miałem rację, nie było sensu bawić się w podchody. Mimo odbijającego się w szybie słońca dostrzegłem nieogoloną gębę i — co ważniejsze — wykałaczkę.

Lefebvre z lotniska.

Nie próbował się ukryć. Drzwi otworzyły się i wysiadł. Z fotela pasażera wytoczył się ten starszy agent, Berleand. Poprawił okulary i uśmiechnął się niemal przepaszająco.

Poczułem się jak idiota. Ci tajniacy na lotnisku. To powinno mnie ostrzec. Funkcjonariusze urzędu imigracyjnego nie chodzą po cywilnemu. I te nieistotne pytania. Zasłona dymna. Powinienem to przejrzeć.

Lefebvre i Berleand sięgnęli do kieszeni. Myślałem, że wyjmą broń, ale obaj wyjęli czerwone opaski z napisem „Police”. Założyli je. Spojrzałem w lewo i zobaczyłem zbliżających się mundurowych.

Nie ruszałem się. Trzymałem ręce tak, żeby mogli je widzieć. Nie wiedziałem, co się dzieje, ale nie była to odpowiednia chwila na wykonywanie gwałtownych ruchów.

Przyglądałem się Berleandowi. Podszedł do naszego stolika i spojrzał na Terese.

— Zechcą państwo pójść z nami? — powiedział do nas.

— O co chodzi? — zapytałem.

— Porozmawiamy o tym na posterunku.

— Czy jesteśmy aresztowani?

— Nie.

— Więc nigdzie nie idziemy, dopóki nie dowiemy się, o co chodzi.

Berleand się uśmiechnął. Popatrzył na Lefebvre'a. Ten również uśmiechnął się przez wykałaczkę.

— O co chodzi? — powtórzyłem.

— Myśli pan, że to jest Ameryka, panie Bolitar?

— Nie, ale myślę, że to nowoczesne i demokratyczne państwo z pewnymi nienaruszalnymi prawami. A może się mylę?

— We Francji nie mamy praw Mirandy*. Nic musimy postawić panu zarzutów, żeby pana zatrzymać. I w istocie mogę zatrzymać was oboje na czterdzieści osiem godzin, jeśli będę miał taki kaprys.

Berleand podszedł bliżej, znów poprawił okulary i wytarł dłonie o spodnie.

— Teraz zapytam jeszcze raz: zechcą państwo pójść z nami?

— Z przyjemnością — powiedziałem.

* Prawa Mirandy — w prawie amerykańskim prawo do bycia poinformowanym o skutkach prawnych współpracy z policją podczas aresztowania.

6

Rozdzielili nas już na ulicy.

Lefebvre odprowadził Teresę do furgonetki. Zacząłem protestować, ale Berleand posłał mi znudzone spojrzenie mówiące, że moje słowa są w najlepszym razie zbyteczne. Zabrał mnie do radiowozu. Prowadził umundurowany policjant. Berleand usiadł ze mną z tyłu.

— Jak długo będziemy jechali? — zapytałem. Berleand spojrzał na zegarek.

— Około trzydziestu sekund.

Chyba się przeliczył. Widziałem już ten budynek — tę „śmiałą i posępną” fortecę z piaskowca na drugim brzegu rzeki. Mansardowe dachy pokryte były szarą dachówką, tak samo jak stożkowate wieżyczki rozrzucone na obrzeżu. Mogliśmy równie dobrze pójść pieszo. Zmrużyłem oczy.

— Rozpoznaje pan? — spytał Berleand.

Nic dziwnego, że budowla przykuła mój wzrok. Dwaj uzbrojeni wartownicy odsunęli się na bok, gdy nasz radiowóz przejeżdżał przez okazałą bramę wjazdową. Wyglądała jak otwarta paszcza pożerająca nas żywcem. Za nią znajdował się rozległy dziedziniec. Teraz ze wszystkich stron otaczały nas wysokie mury. Tak, istna forteca. Czuję się tu jak jeniec wojenny w osiemnastym wieku.

- No?

Rozpoznałem ten budynek przede wszystkim dlatego, że czytałem o nim w książkach Georges'a Simenona, a także, no cóż, ponieważ w kręgach związanych z wymiarem sprawiedliwości jest legendarny.

Znalazłem się na dziedzińcu gmachu przy quai des Or-lévres 36 — czyli słynnej głównej siedziby francuskiej policji. Jak Scotland Yard. Albo Quantico.

— No taaak — powiedziałem przeciągle, patrząc przez okno — cokolwiek to jest, jest duże. Berleand rozłożył ręce.

— Nie zajmujemy się tu wykroczeniami drogowymi. Oto Francuzi. Główna kwatera ich policji jest okazałą, przytłaczającą, olbrzymią fortecą, w dodatku niezaprzeczalnie piękną.

— Robi wrażenie, prawda?

— Nawet wasze posterunki policji to cuda architektury — stwierdziłem.

— A zobaczy pan, jak jest w środku.

Szybko przekonałem się, że Berleand znów był sarkastyczny. Wnętrze budynku nieprzyjemnie kontrastowało z fasadą. Mury były wznoszone przez wieki, natomiast wnętrze miało urok i osobowość publicznej toalety przy obwodnicy New Jersey. Brudnobiałe ściany może kiedyś były białe, ale z wiekiem pożółkły. Nie było na nich żadnych obrazów ani plakatów, za to tyle rys, że zastanawiałem się, czy ktoś biegał po nich w butach. Na podłodze leżało linoleum, które uznano by za nienadające się na wykładzinę już w 1957 roku.

Nigdzie nie widziałem windy. Poszliśmy szerokimi schodami, będącymi francuską wersją Zielonej Mili. Wspinaczka zajęła nam sporo czasu.

— Tędy.

Na suficie krzyżowały się przewody, tworząc plątaninę z koszmarne snu strażaka. Poszedłem korytarzem z Berleandem. Minęliśmy stojącą na podłodze kuchenkę mikrofalową. Pod ścianami ustawiono drukarki, monitory i komputery.

— Przeprowadzacie się?

— Nie.

Zaprowadził mnie do celi mierzącej mniej więcej dwa metry na dwa. Tam, gdzie zwykle są kraty, była szyba. Dwie przymocowane do ścian prycze tworzyły w kącie rozwarte V. Materace były cienkie i niebieskie, i podejrzenie podobne do mat zapaśniczych, które pamiętałem z sali gimnastycznej w pierwszej klasie ogólniaka. Na pryczy leżał wytarty ciemnopomarańczowy koc, chyba upłynniony przez kiepskie linie lotnicze po długiej i ciężkiej służbie.

Berleand rozłożył ręce jak szef sali zapraszający mnie do Cafe Maxim.

— Gdzie jest Teresę?

Berleand wzruszył ramionami.

— Chcę adwokata — powiedziałem.

— A ja chcę wykąpać się w wannie z hydromasażem z Catherine Deneuve — skontrował.

— Mówi pan, że nie mam prawa do obecności prawnika podczas przesłuchania?

— Zgadza się. Może pan porozmawiać z nim przedtem, ale on podczas przesłuchania nie będzie obecny. I będę z panem szczerzy: to sugeruje winę. I sprawia, że robię się zgryźliwy. Dlatego odradzam. Tymczasem niech pan się rozgości.

Zostawił mnie samego. Próbowałem rozważyć to wszystko, żeby nie wykonać żadnego pochopnego ruchu. Maty zapaśnicze były lepkie i wolałem nie wiedzieć od czego. W celi unosił się kwaskowaty odór — ta okropna mieszanina potu, strachu i innych płynów. Smród wdarł się do mojego nosa i tam pozostał. Minęła godzina. Usłyszałem dźwięk pracującej kuchenki mikrofalowej. Strażnik przyniósł mi jedzenie. Minęła kolejna godzina.

Kiedy Berleand wrócił, opierałem się o nieco czystsze miejsce, jakie znalazłem na szklanej ścianie.

— Ufam, że ma pan tu wszelkie wygody.

— Jedzenie. W paryskim więzieniu oczekiwałem lepszego wyżywienia.

— Osobiście rozmawiam z kucharzem.

Berleand otworzył szklane drzwi. Poszedłem za nim korytarzem. Spodziewałem się, że zaprowadzi mnie do pokoju przesłuchań, ale nie. Zatrzymaliśmy się przed drzwiami, obok których wisiła niewielka tabliczka z napisem „Groupe Berleand”. Spojrzałem na niego.

— Ma pan na imię Groupe?

— To ma być śmieszne?

Weszliśmy. Domyśliłem się, że *groupe* to zapewne „grupa” i sądząc po tym, co znajdowało się w środku, chyba miałem rację. Sześć biurek upchnięto w pomieszczeniu, które nie byłoby obszerne, gdyby znajdowało się w nim tylko jedno. Widocznie byliśmy na ostatnim piętrze, gdyż większa część sufitu była skosem mansardowego dachu. Wchodząc, musiałem się schylić.

Przy czterech z sześciu biurek siedzieli mężczyźni, których uznałem za członków Grupy Berleanda. Mieli stare monitory komputerowe, zajmujące niemal połowę każdego biurka. Zdjęcia rodzinne, plakaty ulubionych drużyn sportowych, reklama coli, kalendarz z wystrzałowymi babkami — panująca tu atmosfera mniej przypominała główną kwatery policji, a bardziej zaplecze warsztatu samochodowego w Hoboken.

— Groupe Berleand — powiedziałem. — Zatem pan jest szefem?

— Jestem kapitanem Brygady Kryminalnej. To mój zespół. Siadaj pan.

— Co, tutaj?

— Jasne. To biurko Lefebvre'a. Na jego krześle.

— Nie w pokoju przesłuchań?

— Wciąż się panu wydaje, że jest pan w Ameryce. Wszystkie przesłuchania prowadzimy tutaj.

Pozostali policjanci nie zwracali na nas uwagi. Dwaj pili kawę i gawędzili. Inny pisał coś przy biurku. Usiadłem. Na biurku stało opakowanie z chusteczkami. Berleand wziął jedną i znów zaczął wycierać ręce.

— Niech mi pan opowie o pańskim związku z Teresą Collins — poprosił.

— Dlaczego?

— Ponieważ lubię słuchać najnowszych ploteczek. — Pod udawanym rozbawieniem usłyszałem stalową nutę. — Niech mi pan opowie o waszym związku.

— Nie widziałem jej przez osiem lat.

— A jednak jesteście tu we dwoje.

— Tak.

— Dlaczego?

— Zadzwoiła i zaprosiła mnie na kilkudniowy pobyt w waszej stolicy.

— A pan po prostu rzucił wszystko i przyleciał? W odpowiedzi tylko uniosłem brwi. Berleand się uśmiechnął.

— Niemal zniszczyłem kolejny stereotyp Francuza, co?

— Pan mnie niepokoi, Berleand.

— A więc przyleciał pan na romantyczne rendez-vous?

— Nie.

— A po co?

— Nie wiedziałem, dlaczego chciała, żebym przyleciał. Po prostu wyczułem, że ma kłopoty.

— I chciał pan pomóc?

— Tak.

— Czy wiedział pan, jakiej pomocy potrzebuje?

— Zanim tu przybyłem? Nie.

— A teraz?

— Teraz wiem.

— Zechciałby mi pan powiedzieć?

— A mam inne wyjście?

— W zasadzie nie.

— Jej były mąż zaginął. Zadzwoił do niej, powiedział, że musi omówić z nią jakąś pilną sprawę, a potem zniknął.

Berleand wyglądał na zaskoczonego moją odpowiedzią albo tym, że okazałem się tak chętny do współpracy. Miałem co do tego pewne podejrzenia.

— A więc pani Collins zadzwoniła do pana żeby co, pomógł pan go znaleźć?

— Właśnie.

— Dlaczego do pana? —

— Uważa, że jestem w tym dobry.

— Wydawało mi się, że mówił pan, iż jest agentem reprezentującym showmanów. W jaki sposób czyni to pana dobrym w znajdowaniu ludzi?

— Mój interes wymaga zajmowania się sprawami osobistymi klientów. Często muszę robić dla nich różne dziwne rzeczy.

— Rozumiem — mruknął Berleand.

Wszedł Lefebvre. Wciąż miał w zębach wykałaczkę. Pogładził swój skąpy zarost, stanął po mojej prawej i przygwoździł mnie wzrokiem. Panie i panowie, oto Zły Gliniarz.

Posłałem Berleandowi spojrzenie mówiące: „czy to naprawdę konieczne?”. Wzruszył ramionami.

— Pan troszczy się o panią Collins, prawda?

— Tak.

Lefebvre, wczuwając się w swoją rolę, przeszył mnie jeszcze groźniejszym spojrzeniem. Powoli wyjął z ust wykałaczkę i rzekł:

— Łamliwy gnój!

— Słucham?

— Ty — rzucił gniewnie z okropnym akcentem. — Jesteś łamliwy gnój!

— A ty — odpaliłem — jesteś łamliwy nawóz.

Berleand tylko na mnie popatrzył.

— Łamliwy — powtórzyłem. — Kłamliwy. Łapiesz? Berleand zrobił udręczoną minę. Trudno go było winić.

— Kocha pan Teresę Collins? — zapytał. Zostałem w pociągu prawdy.

— Nie wiem.

— Jednak jest panu bliska?

— Nie widziałem jej przez kilka lat.

— To niczego nie zmienia, prawda?

— Nie — odparłem. — Chyba nie zmienia.

— Zna pan Ricka Collinsa?

Z jakiegoś powodu usłyszawszy, jak to mówi, zdziwiłem się, że Teresę przyjęła nazwisko męża. Oczywiście, poznali się na studiach. Wtedy pewnie wydawało się to oczywiste.

— Nie.

— Nigdy go pan nie spotkał?

— Nigdy.

— Co może mi pan o nim powiedzieć?

— Zupełnie nic.

Lefebvre położył dłoń na moim ramieniu i lekko ścisnął.

— Łamliwy gnój. Popatrzyłem na niego.

— Proszę, powiedz mi, że to nie ta sama wykałaczką, co na lotnisku. Bo jeśli tak, to mamy tu poważne naruszenie higieny.

— Czy pani Collins ma rację? — zapytał Berleand.

Odwróciłem się do niego.

— Co do czego?

— Jest pan dobry w znajdowaniu ludzi? Wzruszyłem ramionami.

— Chyba wiem, gdzie jest Rick Collins.

Berleand spojrzał na Lefebvre'a. Ten się wyprostował.

— Ach tak? Gdzie on jest?

— W pobliskiej kostnicy — powiedziałem. — Ktoś go zamordował.

7

Berleand wyprowadził mnie z biura Groupe Berleand i skręcił w prawo.

— Dokąd idziemy? — zapytałem.

Otarł dłonie o spodnie.

— Po prostu chodź za mną.

Weszliśmy na klatkę schodową opadającą cztery piętra w dół. Szyb był zabezpieczony stalową siatką.

— Po co ta siatka? — zapytałem.

— Dwa lata temu przywieźliśmy tu osobę podejrzaną o terroryzm. Ściśle mówiąc, kobietę. Prowadzona tym korytarzem złapała jednego ze strażników i próbowała razem z nim rzucić się w dół.

Spojrzałem. Długi lot.

— Zginęli?

— Nie, drugi policjant złapał ich za nogi. Teraz jednak mamy tu siatkę.

Berleand wszedł po schodach na coś, co wyglądało na poddasze.

— Uważaj na głowę — ostrzegł.

— Podejrzana o terroryzm?

— Tak.

— Zajmujecie się terroryzmem?

— Terroryzmem, zabójstwami, trudno to już rozgraniczyć. Zajmujemy się wszystkim po trochu.

Wszedł na strych. Teraz musiałem mocno się pochylić. Na sznurze wisały ubrania.

— Suszycie tu swoje pranie?

— Nie.

— No to czyje to rzeczy?

— Ofiar. Tutaj je wieszamy.

— Żartujesz, prawda?

— Nie.

Przystanąłem i przyjrzałem się ubraniom. Granatowa koszula była podarta i zakrwawiona.

— Te należały do Ricka Collinsa?

— Idź za mną.

Otworzył okno i wyszedł przez nie na dach. Odwrócił się i patrzył na mnie.

— Żartujesz, prawda? — powtórzyłem.

— To jeden z najładniejszych widoków w Paryżu.

— Z dachu budynku pod numerem trzydzieści sześć quai des Orfevres?

Stałem na dachówkach — i niech mnie, miał rację, mówiąc o pięknym widoku. Berleand zapalił papierosa, zaciągnął się tak głęboko, jakby chciał za jednym razem wypalić całego papierosa, po czym wypuścił dym nosem.

— Często prowadzisz tu przesłuchania?

— Szczerze mówiąc, to jest pierwsze.

— Można tu zagrozić podejrzanemu zepchnięciem. Berleand wzruszył ramionami.

— Nie mój styl.

— To po co tu przyszliśmy?

— Nie wolno nam palić w budynku, a ja rozpaczliwie potrzebowałem dymka.

Znów mocno się zaciągnął.

— Z początku sobie z tym radziłem, wiesz? Z paleniem tylko na zewnątrz. Biegałem po schodach do góry i na dół, traktując to jak gimnastykę. Teraz jednak mam krótki oddech od papierosów.

— Jedno wyklucza drugie.

— Właśnie.

— Mógłbyś spróbować rzucić.

— Wtedy nie miałbym powodu biegać po schodach, więc przestałbym się gimnastykować. Nadążasz?

— Tyle o ile, Berleand.

Usiadł i spojrzał na miasto. Skinął na mnie, żebym zrobił to samo. Tak więc siedziałem tam, na dachu jednej z najświetniejszych komend policji na świecie, oglądając zapierający dech w piersiach widok Notre Dame.

— I spójrz tam.

Kciukiem wskazał za siebie. Popatrzyłem na Sekwanę i wznoszącą się za nią wieżę Eiffla. Wiedziałem, że to typowo turystyczne zachowanie, podziwianie wieży Eiffla, ale przez moment się na nią gapiłem.

— Zdumiewające, no nie? — westchnął.

— Kiedy następnym razem zostanę aresztowany, będę musiał zabrać aparat.

Roześmiał się.

— Twoja angielszczyzna jest naprawdę dobra — pochwaliłem.

— Uczymy się od najmłodszych lat. Ponadto za młodu spędziłem semestr w Amherst College i przez dwa lata pracowałem w ramach programu wymiany w Quantico. Och, a ponadto mam na DVD całą kolekcję Simpsonów w oryginale.

— To wystarczy.

Znowu zaciągnął się papierosem.

— Jak został zamordowany? — zapytałem.

— Czy nie powinienem powiedzieć czegoś w stylu: „Aha, a skąd wiesz, że został zamordowany?”.

Wzruszyłem ramionami.

— Jak powiedziałaś, nie zajmujecie się tutaj wykroczeniami drogowymi.

— Co możesz powiedzieć o Ricku Collinsie?

— Nic.

— A o Teresę Collins?

— A co chcesz wiedzieć?

— Jest piękna — rzekł.

— To chciałeś wiedzieć?

— Trochę poszperałem. Mamy tu CNN, oczywiście. Pamiętam ją.

— I?

— I jakieś dziesięć lat temu była na szczycie. Nagle odchodzi i Google nie podaje o niej żadnej wzmianki. Sprawdziłem. Nie podpisała żadnej innej umowy o pracę. Nie znalazłem jej miejsca zamieszkania, nic.

Milczałem.

— Gdzie była?

— Dlaczego sam jej nie zapytasz?

— Ponieważ teraz pytam ciebie.

- Mówiłem. Nie widziałem jej osiem lat.
- I nie miałeś pojęcia, gdzie jest?
- Nie miałem.
Uśmiechnął się i pogroził mi palcem.
- Co?
- Powiedziałeś „nie miałem”. Czas przeszły. To oznacza, że teraz wiesz, gdzie była.
- Ta twoja doskonała angielszczyzna — mruknąłem. — Wiedziałem, że jeszcze da mi popalić.
- A więc?
- W Angoli — powiedziałem. — A przynajmniej tak mi powiedziała.
Skinął głową. Zawył syrena radiowozu lub karetki. Francuzi mają inne syreny niż my — bardziej natarczywe, okropne, przypominające owoc miłości taniego alarmu samochodowego z brzęczykiem błędnej odpowiedzi w *Familiadzie*. Pozwoliliśmy jej rozbić ciszę i czekaliśmy, aż ucichnie w oddali.
- Wykonałeś kilka telefonów, tak? — powiedziałem.
- Kilka.
- I?
- Nie powiedział nic więcej.
- Wiesz, że ja go nie zabiłem. Nawet nie było mnie w tym kraju.
- Wiem.
- Jednak...?
- Mogę zaproponować inny scenariusz?
- Strzelaj.
- Teresę Collins zamordowała swojego byłego męża — rzekł Berleand. — Musiała jakoś pozbyć się ciała, więc potrzebowała kogoś zaufanego, kto pomógłby jej uporządkować bałagan. Zadzwoiła po ciebie.
Ściągnąłem brwi.
- A kiedy podniosłem słuchawkę, powiedziała: „Właśnie zabiłam w Paryżu mojego byłego męża, proszę pomóż mi”?
- Cóż, mogła tylko poprosić, żebyś tu przyjechał. A cel twojego przyjazdu wyjaśnić ci na miejscu.
Uśmiechnąłem się. Ta zabawa trwała wystarczająco długo.
- Wiesz, że tego nie powiedziała.
- Skąd miałbym wiedzieć?
- Ponieważ podsłuchiwałeś — odparłem.
Berleand nie spojrzął mi w twarz. Nadal palił papierosa i podziwiał widok.
- Kiedy zatrzymaliście mnie na lotnisku — ciągnąłem — podrzuciliście mi pluskwę. Pewnie w butach. Albo w telefonie komórkowym.
To było jedyne sensowne wyjaśnienie. Znaleźli ciało, może sprawdzili komórkę Ricka Collinsa, dowiedzieli się, że jego była żona jest w mieście, założyli podsłuch na jej telefon, dowiedzieli się, że mnie wezwała, po czym zatrzymali mnie na lotnisku, żeby założyć mi podsłuch i zacząć obserwować.
Właśnie dlatego byłem taki otwarty w rozmowie z Berleandem, on i tak znał wszystkie odpowiedzi. Miałem nadzieję, że zdobędę jego zaufanie.
- W twoim telefonie komórkowym — odparł. — Zastąpiliśmy akumulator urządzeniem podsłuchowym z takim samym zasilaniem. To nowa technologia, ostatni krzyk techniki.
- Zatem wiecie, że Teresę uważała byłego męża za zaginionego.

Pokiwał głową.

- Wiemy, że tak ci powiedziała.
- Daj spokój, Berleand. Słyszałeś jej głos. Była naprawdę zaniepokojona.
- Sprawiała takie wrażenie — przyznał.
- A zatem? Zgasił niedopałek.
- Dało się również wyczuć, że coś ukrywa — powiedział. — Okłamuje cię. Ty to wiesz i ja to wiem. Miałem nadzieję, że może wyciągniesz z niej prawdę, ale zauważyłeś furgonetkę. — Zastanowił się. — I wtedy zrozumiałeś, że masz podsłuch.
- A więc obaj jesteście bardzo sprytni — stwierdziłem.
- Albo nie tak sprytni, jak sądzicie.
- Zawiadomiliście jego najbliższego krewnego?
- Próbujemy.

Chciałem być subtelny, ale doszedłem do wniosku, że już nie musimy przed sobą udawać.

- Kto jest jego najbliższym krewnym?
- Jego żona.
- Macie jej nazwisko?
- Proszę, nic przeginaj — jęknął Berleand.

Wyjął następnego papierosa, włożył go do ust i pozwolił zwisnąć, gdy zapalał go ręką, która robiła to już wiele razy.

— Na miejscu zbrodni znaleźliśmy krew — powiedział. — Oczywiście większość należała do ofiary. Jednak wstępne badania wykazały, że jest tam domieszka krwi co najmniej jeszcze jednej osoby. Dlatego pobraliśmy próbkę krwi od Teresę Collins, żeby wykonać pełne badanie DNA.

- Ona tego nie zrobiła.

Berleand. Nic nie powiedział.

- Jest coś, o czyni mi nie mówisz — naciskałem.
- Jest wiele rzeczy, których ci nie mówię. Niestety, nie jesteś członkiem Groupe Berleand.
- Nie możesz mnie zaprzysiąc albo co?

Znow zrobił tę udręczoną minę.

- To nie może być przypadek. To, że został zamordowany zaraz po tym, jak przyleciała tu jego była żona.
- Słyszałeś, co mi powiedziała. Jej były były przestraszony. Zapewne wpakował się w jakieś tarapaty i dlatego do niej zadzwonił.

Przerwał nam świergot komórki. Berleand otworzył ją, przycisnął do ucha i słuchał. Zapewne był doskonałym pokerzystą, ten mój nowy przyjaciel, lecz coś sprawiło, że jego twarz spochmurniała i taka już pozostała. Warknął coś po francusku, wyraźnie wzburzony lub zaskoczony. Potem zamilkł. Po chwili z trzaskiem zamknął aparat, zdusił papierosa i wstał.

- Jakiś problem? — zapytałem.
- Popatrz jeszcze raz. — Berleand obiema rękami otrzepał spodnie. — Nie wpuszczamy tu wielu turystów.

Tak zrobiłem. Ktoś mógłby uznać to za dziwne, tę główną komendę policji z tak wspaniałym widokiem. Postanowiłem wykorzystać ten moment, by popatrzeć i zapamiętać sobie, dlaczego morderstwo to taka okropna rzecz.

- Dokąd idziemy? — zapytałem.
- Laboratorium przysłało wstępne wyniki badania DNA krwi.
- Już?

Odrobinę zbyt teatralnie wzruszył ramionami.

— My, Francuzi, to nie tylko wino, kobiety i śpiew.

— Szkoda. Cóż więc stwierdzono?

— Myślę — zaczął, nurkując przez okno — że powinniśmy pogadać z Teresą Collins.

8

Znaleźliśmy ją w tej samej celi, w której przebywałem pół godziny wcześniej.

Oczy miała czerwone i podpuchnięte. Kiedy Berleand otworzył drzwi, przestała udawać silną. Złapała się mnie, a ja ją objąłem. Łkała mi na piersi. Pozwoliłem jej na to. Berleand stał w pobliżu. Napotkałem jego spojrzenie. Znow wzdrynął ramionami.

— Wypuścimy was oboje, jeśli zgodzicie się oddać wasze paszporty — oznajmił.

Teresę odsunęła się, patrząc na mnie. Oboje skinęliśmy głowami.

— Mam jeszcze kilka pytań, zanim odejdziecie — powiedział Berleand. — Mogę je zadać?

— Zdaję sobie sprawę z tego, że jestem podejrzana — powiedziała Teresę. — Była żona w tym samym mieście po tylu latach, rozmowy przez komórki, wszystko. To nieważne. Chcą tylko przygwoździć tego, kto zabił Ricka. Dlatego niech pan pyta, o co pan chce, inspektorze.

— Doceniam pani hart ducha i chęć współpracy.

Teraz wydawało się, że jest bardzo ostrożny, niemal zbyt rozważny. Coś, co usłyszał na dachu, wytrąciło go z równowagi. Zastanawiałem się, co to było.

— Czy wie pani, że pani były mąż ponownie się ożenił? — zapytał Berleand.

Teresę pokręciła głową.

— Nie wiedziałam. Kiedy?

— Co kiedy?

— Kiedy się ożenił?

— Nie wiem.

— Mogę poznać nazwisko jego żony?

— Karen Tower.

Teresę o mało się nie uśmiechnęła.

— Zna ją pani?

— Znam.

Berleand kiwnął głową i znow zaczął wycierać dłonie. Spodziewałem się, że zaraz zapyta, skąd Teresę zna Karen Tower, ale tego nie zrobił.

— Mamy kilka wstępnych wyników badania krwi.

— Już? — Teresę wyglądała na zaskoczoną. — Dopiero co pobrano mi próbkę, najwyżej godzinę temu.

— Nie pani krwi, nie. Te jeszcze trochę potrwają. Wyniki badania krwi, którą znaleźliśmy na miejscu zbrodni.

— Och.

— I jest coś dziwnego.

Obaj czekaliśmy. Teresę przetknęła ślinę, jakby szykując się na przyjęcie ciosu.

— Większość krwi... tak naprawdę prawie cała... należała do ofiary, Ricka Collinsa — powiedział Berleand. Mówił miarowym głosem, jakby próbował przebrnąć przez to, co miał nam powiedzieć. — Nie ma w tym niczego dziwnego.

Nadal milczeliśmy.

— Jednak na dywanie niedaleko ciała znaleźliśmy ślad krwi kogoś innego. Nie mamy pewności, jak się tam znalazła. Nasza początkowa teoria była najbardziej prawdopodobna: walczyli Rick Collins stawiał opór i zranił swego zabójcę.

- A teraz? — zapytałem.
- Po pierwsze, znaleźliśmy blond włosy ze śladami krwi. Długie. Takie, jakie mają kobiety.
- Kobiety też zabijają.
- Tak, oczywiście. Umilkł.
- Ale? — naciskałem.
- Ale nadal wydaje się nieprawdopodobne, by mogła to być krew zabójcy.
- Dlaczego?
- Ponieważ, według wyników badania DNA, ta krew i blond włosy należą do córki Ricka Collinsa.

Teresę nie krzyknęła. Jęknęła tylko. Ugięły się pod nią kolana. Dосkoczyłem i złapałem ją, zanim upadła. Spojrzałem pytająco na Berleanda. Nie był zdziwiony. Obserwował ją, oceniając jej reakcję.

- Nie ma pani dzieci, prawda, pani Collins?
Krew odpłynęła jej z twarzy.
- Możesz dać nam chwilkę? — zapytałem.
- Nie trzeba, nic mi nie jest — powiedziała Teresę. Doszła do siebie i gniewnie spojrzała na Berleanda. — Nie mam dzieci. Jednak pan już to wie, nieprawdaż?
Berleand nie odpowiedział.
- Drań — syknęła.
Chciałem spytać, co się dzieje, ale może lepiej było zamknąć się i słuchać.
- Jeszcze nie znaleźliśmy Karen Tower — powiedział Berleand. — Zapewne jego córka była także jej dzieckiem?
- Zapewne — powiedziała Teresę.
- A pani, oczywiście, nie wiedziała o jej istnieniu?
- Zgadza się.
- Od jak dawna pani i pan Collins byliście rozwiedzeni?
- Od dziewięciu lat. Miałem tego dość.
- Co się tu dzieje, do diabła? Berleand mnie zignorował.
- Tak więc, nawet jeśli pani były małżonek niemal natychmiast ożenił się ponownie, to ich córka nie mogłaby mieć więcej niż osiem lat?
Wszyscy milczeliśmy.
- Zatem — ciągnął Berleand — wiemy już, że młoda córka Ricka była obecna na miejscu zbrodni i została ranna. Jak sądzicie, gdzie ona może teraz być?

. . .

Postanowiliśmy wrócić do hotelu pieszo.

Przeszliśmy przez Pont Neuf. Woda była mętna i zielona. Dzwoniły kościelne dzwony. Ludzie przystawali na środku mostu i robili zdjęcia. Jakiś mężczyzna poprosił mnie, żebym sfotografował jego i kobietę, która zapewne była jego dziewczyną. Przytulili się, ja policzyłem do trzech i pstryknąłem zdjęcie, a wtedy spytali, czy mógłbym zrobić jeszcze jedno. Znowu policzyłem do trzech i zrobiłem je, a wtedy podziękowali mi i odeszli.

Teresę nie odezwała się słowem.

- Jesteś głodna? — zapytałem.
- Musimy porozmawiać.
- Dobrze.

Nie zatrzymując się, przeszliśmy przez Pont Neuf, Rue Dauphine i hotelowy hol *Concierge* za biurkiem powitał nas bardzo przyjaznym „Witamy z powrotem!”, a ona przemknęła obok niego z bladym uśmiechem.

Kiedy zamknęły się za nami drzwi windy, odwróciła się do mnie i powiedziała:

— Chciałeś poznać mój sekret. Co sprowadziło mnie na wyspę i dlaczego przez te wszystkie lata wciąż uciekałam.

— Jeśli chcesz mi powiedzieć — rzekłem tonem, który nawet w moich uszach zabrzmiał protekcjonalnie. — Jeśli mogę ci pomóc.

— Nie możesz. Mimo to powinieneś wiedzieć. Wyszliśmy na trzecim piętrze. Otworzyła drzwi pokoju, przepuściła mnie i zamknęła je za sobą. Pokój nie był zbyt duży, a według amerykańskich standardów mały, ze spiralnymi schodami prowadzącymi zapewne na antresolę. Wyglądał tak, jak miał wyglądać — jak w szesnastowiecznym paryskim domu, aczkolwiek z panoramicznym telewizorem i wbudowanym odtwarzaczem DVD. Teresę podeszła do okna, tak że była ode mnie tak daleko, jak to tylko możliwe.

— Zamierzam coś ci powiedzieć, dobrze? Najpierw jednak chcę, żebyś coś mi obiecał.

— Co?

— Obiecaj mi, że nie będziesz próbował mnie pocieszyć — poprosiła.

— Nie rozumiem.

— Znam cię. Usłyszysz tę opowieść i zechcesz mnie wesprzeć. Zechcesz mnie przytulić, uściskać lub powiedzieć coś właściwego. Ponieważ taki już jesteś. Nie rób tego. Cokolwiek zrobisz, będzie to błąd.

— Dobrze — powiedziałem.

— Obiecaj mi,

— Obiecuję.

Wtuliła się jeszcze głębiej w kąt. Do licha z potem chciałem objąć ją teraz.

— Nie musisz tego robić — powiedziałem.

— Tak, muszę. Tylko nie wiem jak. Nie odezwałem się.

— Poznałam Ricka na pierwszym roku Wesleyan. Przyjechałam z Shady Hills w Indianie i byłam idealnie typowa... królowa balu maturalnego umawiająca się z rozgrywającym, mająca niemal zagwarantowany sukces w życiu, słodka jak miód. Byłam tą irytującą ładną dziewczyną, która zakuwała i wciąż się bała, że obleje, a potem pierwsza kończyła egzamin i zaczynała pisać w zeszycie uwagi uzupełniające. Pamiętasz te wielkie długopisy, wyglądające jak opakowanie miętowych dropsów?

Uśmiechnąłem się mimo woli.

— Tak.

— Byłam również tą ładną dziewczyną, która chciała, by wszyscy dostrzegli, że nie jest tylko ładna. Ale jedynym powodem, dla którego chcieli to dostrzec, była moja uroda. Znasz to?

Znałem. Dla niektórych może zabrzmieć to nieskromnie. Nie było takie. Było uczciwe. Jak Paryż, Teresę była świadoma swojej urody i nie udawała, że jest inaczej.

— Dlatego farbowałam moje blond włosy na ciemno, żeby wyglądać bardziej inteligentnie, i poszłam do tego małego i liberalnego college'u na pomocnym wschodzie. Jak wiele innych dziewcząt, przyjechałam tam w pasie cnoty, do którego tylko mój rozgrywający miał klucz. Mieliśmy być wyjątkiem od reguły, nasz związek na odległość miał przetrwać.

Ja też pamiętałem takie dziewczyny z czasów moich studiów na Duke.

— Jak sądzisz, jak długo przetrwał? — zapytała.

— Dwa miesiące?

— Raczej jeden. Spotkałam Ricka. Był jak wichur. Mądry, zabawny i seksowny w sposób, jakiego nigdy nie widziałam. Był studenckim radykałem, z kręconymi włosami, przesywającymi niebieskimi oczami i brodą, która drapała, kiedy go całowałam... Umilkła.

— Nie mogę uwierzyć, że nie żyje. To zabrzmiało banalnie, ale Rick był niezwykły. Naprawdę miły. Wierzył w sprawiedliwość i humanitaryzm. I ktoś go zabił. Ktoś z rozmysłem zakończył jego życie.

Milczałam.

— Zwlekam — powiedziała.

— Nie ma pośpiechu.

— Owszem, jest. Chcę to mieć za sobą. Jeśli zwolnię, załamie się i nigdy tego ze mnie nie wyciągniesz. Berieand zapewne już to wie. Dlatego mnie puścił. Tak więc pozwól, że podam ci skróconą wersję. Rick i ja skończyliśmy studia, pobraliśmy się i pracowaliśmy jako reporterzy. W końcu wylądowaliśmy w CNN, ja przed kamerą, a Rick za nią. Częściowo już ci to mówiłam. Zamierzaliśmy za jakiś czas założyć rodzinę. A przynajmniej ja chciałam. Myślałam, że Rick nie był tego pewien albo przeczuwał, co się stanie.

Teresę podeszła do okna, lekko odchyliła zasłonę i wyjrzała. Zrobiłem krok w jej kierunku. Nie wiem po co. Po prostu musiałem to zrobić.

— Mieliśmy problem z płodnością. Mówiono mi, że to się zdarza. Wiele par go ma. Jednak kiedy go masz, wydaje ci się, że każda napotkana kobieta jest w ciąży. Ponadto problem z płodnością należy do tych, które z czasem się pogłębiają. Każda z moich znajomych była matką, a każda matka była szczęśliwa i spełniona, i to wszystko wydawało się takie naturalne. Zaczęłam unikać przyjaciół. Ucierpiało moje małżeństwo. Seks stał się tylko narzędziem prokreacji. Człowiek robi się taki monotematyczny. Pamiętam, jak robiłam reportaż o samotnych matkach w Harlemie, tych szesnastoletnich dziewczynach tak wcześnie zachodzących w ciążę, i zaczęłam ich nienawidzić, ponieważ odczuwałam to jako kosmiczną niesprawiedliwość.

Stała plecami do mnie. Usiadłem na rogu łóżka. Chciałem widzieć jej twarz, a przynajmniej jej fragment. Z tego miejsca widoczna była tylko niewielka jej część, może jedna czwarta.

— Wciąż to odwlekam — westchnęła.

— Jestem tutaj.

— Może nie odwlekam. Może muszę opowiedzieć to w taki sposób.

— W porządku.

— Chodziliśmy do lekarzy. Próbowaliśmy wszystkiego. To było po prostu okropne. Dostawałam pergonal, hormony i Bóg wie co jeszcze. Zajęło nam to trzy lata, ale w końcu poczęłam i wszyscy nazywali to cudem medycyny. Z początku bałam się poruszać. Przy każdym skurczu, każdym ukłuciu bólu myślałam, że poronię. Jednak po jakimś czasie spodobało mi się bycie w ciąży. Czy to nie brzmi antyfeministycznie? Zawsze uważałam kobiety bez końca mówiące o swojej ciąży za irytujące, tymczasem byłam równie nieznośna jak one. Uwielbiałam związane z tym przywileje. Kwitłam. Nie miałam porannych mdłości. Nigdy więcej nie miałam zajść w ciążę, ten jeden raz miał być jedynym moim cudem, więc się tym napawałam. Czas płynął i zanim się obejrzałam, miałam trzyipółkilogramową córkę. Daliśmy jej na imię Miriam, po mojej zmarłej matce.

Zimny wiatr owiał moje serce. Już wiedziałem, jak to się skończy.

— Miałaby teraz siedemnaście lat — powiedziała Teresę głosem, który zdawał się dochodzić z oddali.

Są takie chwile w życiu, kiedy wydaje nam się, że wszystko w nas jest ciche, nieruchome i kruche, Trwaliśmy tak, Teresę, ja i nikt więcej.

— Nie sądzę, abym przez ostatnie dziesięć lat choć przez jeden dzień nie próbowała sobie wyobrazić, jak wyglądałaby teraz. Siedemnastoletnia. Byłaby w ostatniej klasie szkoły średniej. W końcu przestałaby być buntowniczą nastolatką. Miałaby za sobą okres dojrzewania i byłaby piękna. Znów byłybyśmy przyjaciółkami. Szykowałaby się na studia.

Łzy stanęły mi w oczach. Oczy Teresę były suche. Zacząłem wstawać. Gwałtownie odwróciła głowę w moją stronę. Nie, nie miała w oczach łez. Coś gorszego. Głęboki smutek, taki, przy którym łzy wydają się czymś słabym, nieistotnym. Powstrzymała mnie, unosząc dłoń, jakbym był wampirem, przed którym zastania się krucyfiksem.

— To była moja wina — wyznała.

Zacząłem kręcić głową, ale ona zacisnęła powieki, jakby mój gest był zbyt silnym rozbłyskiem światła. Przypomniałem sobie złożoną obietnicę, cofnąłem się i spróbowałem przybrać obojętną minę.

— Tamtego wieczoru miałam nie pracować, ale w ostatniej chwili wezwali mnie, żebym poprowadziła program o dwudziestej. Byłam w domu. Mieszkaliśmy wtedy w Londynie, a Rick był w Istambule. Ten wieczorny program... człowieku, jak ja chciałam go dostać. Nie mogłam przepuścić takiej okazji, prawda? Nawet jeśli Miriam spała. Chodziło o moją karierę, no nie? Tak więc zadzwoniłam do przyjaciółki, matki chrzestnej Miriam, i zapytałam, czy mogłabym podrzucić jej dziecko na kilka godzin. Powiedziała, że to żaden problem. Obudziłam Miriam i posadziłam ją na tylnym siedzeniu. Zegar tykał i powinnam już robić makijaż. Dlatego jechałam za szybko. Było po deszczu. Już prawie byliśmy na miejscu, brakowało nam najwyżej ćwierć mili. Mówią, że nie pamięta się groźnego wypadku, szczególnie jeśli traci się przytomność. Ja jednak pamiętam wszystko. Pamiętam, że zobaczyłam światła. Obróciłam kierownicę w lewo. Może byłoby lepiej, gdybym pojechała prosto. Zabiłabym siebie, ale uratowała ją. Jednak nie, nastąpiło boczne uderzenie. Z jej strony. Pamiętam nawet jej krzyk. Krótki, bardziej jak głęboki wdech. Ostatni dźwięk, jaki wydała w życiu. Przez dwa tygodnie leżałam w śpiączce, ale ponieważ Bóg ma chore poczucie humoru, pozwolił mi żyć. Miriam zginęła na miejscu.

Nic.

Bałem się poruszyć. W pokoju było cicho, jakby nawet ściany i meble wstrzymywały oddech. Nie chciałem, ale zrobiłem krok w jej stronę. Zastanawiam się, czy chęć pocieszenia nie wypływa częściowo z egoizmu, gdyż pocieszający często potrzebuje tego tyle samo, jeśli nie więcej, od pocieszanego.

— Nie — powiedziała. Zatrzymałem się.

— Proszę, zostaw mnie samą. Tylko na chwilę, dobrze? Kiwnąłem głową, ale nie patrzyła na mnie.

— Jasne — mruknąłem. — Jeśli tego potrzebujesz. Nie odpowiedziała, ale już wyraziła się zupełnie jasno.

Podszedłem do drzwi i opuściłem pokój.

9

Znowu wyszedłem na Rue Pauphine. Byłem otępiały.

Skręciłem w lewo, dotarłem do zbiegu pięciu ulic i usiadłem w kafejce na powietrzu, zwanej Le Buci. Zazwyczaj lubiłem obserwować ludzi, ale teraz trudno mi się było skupić. Myślałem o życiu Teresę. Teraz rozumiałem. Odbudować sobie życie, żeby stało się... no, jakie?

Wyjąłem komórkę i zadzwoniłem do mojego biura, ponieważ wiedziałem, że w ten sposób oderwę się od posępnych rozmyślań. Wielka Cyndi odebrała po drugim sygnale.

— MB Reps.

„M” jak Myron, „B” jak Bolitar. „Reps”, ponieważ reprezentujemy ludzi. Sam wymyśliłem tę nazwę, a mimo to nie chwalebę się moimi zdolnościami marketingowymi. Kiedy reprezentowaliśmy tylko sportowców, moja agencja nazywała się MB SportsReps. Teraz to MB Reps. Zaczekam, aż ucichną brawa.

— Hmm... Madonna, z tym brytyjskim akcentem?

— Trafiłeś.

Wielka Cyndi potrafi naśladować głos niemal każdego i z każdym akcentem. Podkreślam „głos”, ponieważ kiedy kobieta waży ponad sto osiemdziesiąt kilo, trudno byłoby jej udawać eteryczną blondynkę typu Goldie Hawn.

— Jest Esperanza?

— Proszę poczekać.

Esperanza Diaz, nadal lepiej znana jako Mała Pocahontas, zawodowa zapaśniczka, jest moją partnerką w interesach. Podniosła słuchawkę.

— Zrobiliście to już?

— Nie.

— No to lepiej, żebyś miał cholernie dobry powód tego wyjazdu. Miałeś na dziś kilka umówionych spotkań.

— Taaak, przykro mi z tego powodu. Posłuchaj, chcę, żebyś wygrzebała mi wszystko, co możesz, o Ricku Collinsie.

— Kto to taki?

— Były mąż Teresę.

— Człowieku, masz naprawdę najdziwniejsze randki, jakie można sobie wyobrazić.

Opowiedziałem jej, co się stało. Esperanza milczała i wiedziałem dlaczego. Martwiła się o mnie. Win jest skałą. Esperanza sercem.

— A więc teraz Teresę już nie jest podejrzaną? — zapytała, kiedy skończyłem.

— Jeszcze nie jestem pewien.

— Jednak to wygląda na morderstwo, porwanie albo coli takiego?

— Chyba tak.

— Nie rozumiem, dlaczego musisz się w to mieszać. Ona nie ma z tym nic wspólnego.

— Oczywiście, że ma.

— Jak to?

— Rick Collins zadzwonił do niej. Powiedział, że to pilna sprawa, która wszystko zmieni, a teraz nie żyje.

— Co dokładnie zamierzasz tam robić? Wytropić jego zabójcę? Zostaw to temu francuskiemu gliniarzowi. Przeleć ją albo leć do domu.

— Poszperaj trochę. To wszystko. Dowiedz się czegoś o jego nowej żonie i dziecku, dobrze?

— Dobra, skoro tego chcesz. Masz coś przeciwko temu, żebym powiedziała Winowi?

— Nie.

— Przeleć ją albo leć do domu — powtórzyła. — Dobrze, nie?

— Nakleję to sobie na zderzaku — obiecałem. Rozłączyliśmy się, I co teraz? Esperanza miała rację. To nie moja sprawa. Gdybym mógł jakoś pomóc Teresę, to owszem, może miałyby to sens. Jednak nie miałem pojęcia, co mógłbym zrobić poza dopilnowaniem, żeby nie oskarżono jej o morderstwo, którego nie popełniła. Berleand nie jest facetem, który chciałby ją zrobić.

Kątem oka zobaczyłem, że ktoś usiadł przy moim stoliku.

Odwróciłem się i zobaczyłem mężczyznę ostrzyżonego na jeża. Miał blizny na czubku głowy i ciemnooliwkową skórę, a kiedy się uśmiechnął, zobaczyłem złoty ząb pasujący do złotego łańcuszka, który nosił na szyi. Zapewne mógł uchodzić za przystojnego, w stylu niebezpiecznego, złego chłopca. Pod rozpiętą pod szyją szarą koszulą z krótkimi rękawami miał biały podkoszulek. Nosił czarne dresowe spodnie.

— Zajrzyj pod stół — powiedział.

— Chcesz mi pokazać swojego ptaszka?

— Popatrz albo zginiesz.

Nie mówił z francuskim akcentem, lecz z delikatniejszym i bardziej wyrafinowanym. Może brytyjskim albo hiszpańskim, niemal arystokratycznym. Odchyliłem się z krzesłem do tyłu i popatrzyłem. Trzymał wycelowaną we mnie broń.

Oparłem dłonie na krawędzi stołu i starałem się oddychać miarowo. Podniosłem wzrok i napotkałem jego spojrzenie. Sprawdziłem otoczenie. Jakiś mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych stał na rogu zupełnie bez powodu, starając się udawać, że na nas nie patrzy.

— Posłuchaj, albo zastrzelę cię na śmierć.

— A nie na życie?

— Co?

— Nie można zastrzelić kogoś nie na śmierć — wyjaśniłem. I zaraz dodałem: — Nieważne.

— Widzisz ten zielony samochód na rogu? Widziałem. Niedaleko mężczyzny w okularach, który

starał się na nas nie patrzeć. Samochodem był minibus albo mała furgonetka, Z przodu siedzieli dwaj mężczyźni. Zapamiętałem numery rejestracyjne i zacząłem planować następny ruch.

— Widzę.

— Jeśli nie chcesz zostać zastrzelony, dokładnie wykonuj moje polecenia. Wstaniemy powoli i wsiądziesz do tego samochodu. Nie będziesz robił...

I wtedy rąbnąłem go stołem w twarz. Od chwili, gdy usiadł obok mnie, rozważałem wszystkie możliwości. Teraz już wiedziałem: to porwanie. Gdybym wsiadł do tego samochodu, byłbym ugotowany. Słyszeliście, że najważniejsze są pierwsze dwa dni od momentu porwania? Nie mówią o tym — może ponieważ to takie oczywiste — że z każdą upływającą sekundą odnalezienie ofiary staje się coraz mniej prawdopodobne.

Tak też było tutaj. Gdyby wpakowali mnie do tego auta, szansę mojego odnalezienia gwałtownie by zmalały. Gdybym wstał i z nim poszedł, moje możliwości też by się skurczyły. Nie spodziewał się natychmiastowego ataku. Myślał, że uważnie go słucham. Uznał, że nie stanowią zagrożenia. Jeszcze recytował wcześniej przygotowany tekst.

Wykorzystałem element zaskoczenia.

Zerknął w bok, zaledwie przez sekundę, upewniając się, że pojazd jest na swoim miejscu. To mi wystarczyło. Moje dłonie już były zaciśnięte na krawędzi stołu. Napiąłem mięśnie nóg. Wystrzeliłem w górę jak przy podrzucie sztangą.

Stół z impetem uderzył go w twarz. W tej samej chwili odwróciłem się bokiem na wypadek, gdyby zdążył strzelić.

Nie zdążył.

Poszedłem za ciosem i doskoczyłem do niego. Gdybym obawiał się tylko Pochlastanego Łba, mój następny ruch byłby oczywisty: obezwładnić go, okaleczyć, zranić lub w jakikolwiek sposób uczynić niezdolnym do walki. Jednak tamtych było jeszcze co najmniej trzech. Miałem nadzieję, że rzucą się do ucieczki, ale nie mogłem na to liczyć.

I dobrze, że nie liczyłem, bo nie uciekli.

Poszukałem wzrokiem broni. Tak jak oczekiwałem, upuścił ją, kiedy go uderzyłem. Całym ciężarem ciała upadłem na mojego przeciwnika. Stół nadal przyciskał jego twarz. Tyłem głowy z łoskotem uderzył o bruk.

Rzuciłem się w kierunku broni.

Ludzie wrzeszczeli i uciekali. Przeturlałem się w kierunku pistoletu, złapałem go i przetoczyłem się dalej. Przyklęknąłem na jednym kolanie i wycelowałem w faceta w przeciwności okularach, który stał na rogu.

On też miał broń.

— Stój! — krzyknąłem.

Kierował broń w moją stronę. Nie zawahałem się. Strzeliłem rnu w pierś.

Gdy tylko nacisnąłem spust, przetoczyłem się pod ścianę, zielony minibus pędził na mnie. Huknęły strzały. Tym razem nie z broni krótkiej.

Ścianę przeorały kule z pistoletu maszynowego.

Znów krzyki.

O rany, tego nie przewidziałem. Brałem pod uwagę tylko siebie. Wokół pełno było przechodniów, a miałem do czynienia z szaleńcami, najwyraźniej gotowymi zastrzelić każdego i wszystkich.

Zobaczyłem, że ten pierwszy, Pochlastany Łeb, który oberwał stołem, poruszył się. Ten w okularach przeciwności dostał. Krew szumiała mi w uszach. Słyszałem swój własny oddech, Musiałem zmienić pozycję.

— Nie wstawać! — krzyknąłem do przechodniów, a potem, ponieważ nawet w takich chwilach myśli się o najdziwniejszych rzeczach, zadałem sobie pytanie, jak to powiedzieć po francusku, czy zdołają to zrozumieć i wreszcie, czy seria z pistoletu maszynowego będzie dla nich jakąś wskazówką.

Nisko pochylony pobiegłem w kierunku przeciwnym do ruchu busa, tam gdzie stał zaparkowany wcześniej. Usłyszałem pisk opon, Znów strzały. Skręciłem za róg i nadal pracowałem nogami. Znów znalazłem się na Rue Dauphine. Hotel stał zaledwie trzydzieści metrów dalej.

I co teraz?

Zaryzykowałem i obejrzałem się przez ramię. Minibus cofnął i zawracał. Poszukałem wzrokiem jakiejś bocznej uliczki lub zaułka.

Nic. A może...

Po drugiej stronie zobaczyłem wylot bocznej uliczki. Mógłbym spróbować przebiec przez ulicę, ale wtedy byłbym łatwiejszym celem. Bus pędził za mną. Zobaczyłem wystającą z okna lufę.

Byłem za bardzo odstępnięty.

Przebierałem nogami. Pochyliłem głowę, jakby to naprawdę czyniło mnie mniejszym celem. Na ulicy byli ludzie. Niektórzy zobaczyli, co się dzieje, i się rozpierchli. Na innych wpadałem, roztrzając ich.

— Padnij! — wrzeszczałem, ponieważ musiałem coś krzyknąć.

Kolejna seria z automatu. Dosłownie poczułem, jak kula przeszła nad moją głową i podmuch musnął mi włosy.

Wtedy usłyszałem jęk syreny.

To znów była ta okropna francuska syrena, zawodząca krótko i przeraźliwie. Nie sądziłem, że z taką ulgą powitam ten straszliwy odgłos.

Bus się zatrzymał. Przesunąłem się w bok i przywarłem do muru. Bus odjeżdżał tyłem, wracając na skrzyżowanie. Trzymałem w ręku broń i zastanawiałem się, czy strzelać. Bus był chyba za daleko, a na ulicy zbyt wielu przechodniów. Już i tak byłem zbyt nieostrożny.

Nie podobało mi się to, że uciekną, ale nie chciałem kolejnych strzałów na ulicy.

Boczne drzwi minibusa się otworzyły. Zobaczyłem podchodzącego do nich mężczyznę. Pochlastany łeb zdołał się pozbierać. Miał zakrwawioną twarz. Zastanawiałem się, czy złamałem mu nos. Dwa dni, dwa złamane nosy. Dobra robota, gdyby tylko ktoś za nią płacił. Pochlastany łeb potrzebował pomocy lekarskiej. Spojrzał w moim kierunku, ale zapewne znajdował się za daleko, żeby mógł mnie zobaczyć. Oparłem się pokusie i nie pomachałem mu. Znów usłyszałem jęk syreny, tym razem bliższy. Odwróciłem się i zobaczyłem dwa nadjeżdżające radiowozy.

Gliniarze wyskoczyli i wycelowali we mnie broń. Przez moment byłem zdziwiony i gotowy wyjaśniać, że to ja jestem tym dobrym facetem, ale zaraz rozjaśniło mi się w głowie. Trzymałem w ręku broń. Zastrzeliłem kogoś.

Policjanci wykrzykiwali coś, co zapewne oznaczało, że mam rzucić broń i podnieść ręce do góry, więc tak zrobiłem. Rzuciłem pistolet na chodnik i ukląknę na jedno kolano. Policjanci podbiegli do mnie.

Spojrzałem na odjeżdżający minibus. Chciałem pokazać go gliniarzom, powiedzieć, żeby go ścigali, ale wiedziałem, jak by wyglądał taki nagły ruch. Policjanci wykrzykiwali rozkazy, a ja ich nie rozumiałem, więc klęczałem nieruchomo.

Nagle zobaczyłem coś, co sprawiło, że zapragnąłem znów chwycić broń.

Drzwi minibusa były otwarte. Pochlastany łeb wtoczył się do środka. Inny mężczyzna wskoczył za nim i zaczął zamykać drzwi, gdy samochód ruszył. Lekko skręcił i przez sekundę — tak naprawdę krócej, może pół sekundy — widziałem, co jest w środku.

Ponadto patrzyłem z daleka, z odległości około trzydziestu pięciu lub czterdziestu metrów, więc mogłem się mylić. Może nie widziałem tego, co mi się zdawało, że widzę.

Zapomniałem o wszystkim innym. Odruchowo zacząłem wstawać. Byłem gotowy złapać broń i zacząć strzelać w opony. Jednak gliniarze już do mnie dobiegli. Nie wiem, ilu ich było. Czterech lub pięciu. Rzucili się na mnie i przygnietli do chodnika.

Szarpnąłem się i poczułem, jak coś twardego, zapewne koniec pałki, wbija mi się w nerkę. Nie przestałem.

— Zielony bus! — krzyknąłem.

Było ich zbyt wielu. Wykręcili mi ręce do tyłu.

— Proszę — usłyszałem niemal opętający strach w moim głosie i spróbowałem go opanować — musicie ich zatrzymać!

Jednak moje słowa nie odniosły żadnego skutku. Minibus odjechał.

Zamknąłem oczy i spróbowałem przywołać z pamięci ten półsekundowy obraz. Ponieważ w środku pojazdu zobaczyłem — albo wydawało mi się, że zobaczyłem na moment przed tym, zanim drzwi busa zamknęły się i zasłoniły mi widok — dziewczynę o długich jasnych włosach.

10

Dwie godziny później znów byłem w cuchnącej celi przy 36 quai des Orfevres. Policja przesłuchiwała mnie długo. Nie rozwodziłem się i prosiłem, żeby sprowadzili Berleanda.

Starałem się zachować spokój, gdy mówiłem im, żeby znaleźli Teresę Collins w hotelu — obawiałem się, że tajemniczy napastnicy mogą próbować skrzywdzić również ją — i przez cały czas powtarzałem im numer rejestracyjny busa, mówiąc, że może w nim być ofiara porwania.

Z początku staliśmy na ulicy, co było dziwne, ale miało sens. Byłem skuty i dwaj policjanci przez cały czas trzymali mnie pod rękę. Chcieli, żebym pokazał im, co się stało. Zaprowadzili mnie z powrotem do Cafe Le Buci na rogu. Stół wciąż był przewrócony. Zobaczyłem na nim smugę krwi. Wyjaśniłem, co zrobiłem. Oczywiście żaden ze świadków nie zauważył, że Pochlastany łeb wymierzył we mnie broń. Widzieli tylko mój kontratak. Mężczyznę, do którego strzeliłem, zabrała karetka, co — miejmy nadzieję — oznacza, że żyje.

— Proszę — powtórzyłem po raz setny — kapitan Berleand wszystko wyjaśni.

Gdyby próbować odczytać mowę ich ciała, można by wywnioskować, że gliniarze są znudzeni i sceptycznie podchodzą do wszystkiego, co im powiedziałem. Jednak mowa ciała niewiele mówi. Nauczyłem się tego w wyniku wieloletnich doświadczeń. Gliniarze zawsze są sceptyczni, a ponadto w ten sposób uzyskują więcej informacji. Zawsze udają, że ci nie wierzą, żebyś więcej powiedział, próbując się bronić, wyjaśniać i ujawniać fakty, których nie powinienes wyjawiać.

— Musicie znaleźć ten minibus — powiedziałem jeszcze raz i jak mantrę powtórzyłem jego numer rejestracyjny. — Moja przyjaciółka zatrzymała się w d'Aubusson.

Pokazałem w głąb Rue Dauphine, podałem nazwisko Teresę i numer jej pokoju.

Policjanci tylko kiwali głowami, w odpowiedzi zadawali pytania niemające nic wspólnego z tym, co właśnie im powiedziałem. Odpowiadałem na ich pytania, a oni wciąż patrzyli na mnie tak, jakby każde słowo wychodzące z moich ust było bujdą.

Potem znów wrzucili mnie do tej celi. Nie sądzę, żeby ktoś sprzątał ją od czasu mojego poprzedniego pobytu. I od śmierci de Gaulle'a. Niepokoiłem się o Teresę. I odrobinę martwiłem się o niżej podpisanego. Postrzeliłem człowieka w obcym kraju. To można udowodnić. Czego nie dało się dowieść — co było trudne, jeśli nie niemożliwe do udowodnienia — to podanego przeze mnie przebiegu wydarzeń.

Czy musiałem go postrzelić?

Niewątpliwie. Sięgnął po broń.

Czy strzeliłby do mnie?

Nie mogłem czekać, żeby się o tym przekonać. Strzeliłem pierwszy. Jak to traktują tutaj, we Francji?

Zastanawiałem się, czy jeszcze ktoś został postrzelony. Widziałem więcej niż jedną karetkę. Załóżmy, że jakaś postronna osoba została ranna w wyniku ostrzału z broni maszynowej. Byłaby to moja wina. Załóżmy, że poszedłbym z Pochlastanym łbem. Byłbym teraz z tą jasnowłosą dziewczyną. Skoro mowa o strachu... Co ona myślała i czuła, siedząc z tyłu busa, zapewne ranna, gdyż w pobliżu jej zamordowanego ojca znaleziono ślady krwi?

Czy widziała, jak go mordowano?

No, nie posuwajmy się za daleko w tych przypuszczeniach.

— Proponuję, żebyś następnym razem wynajął prywatnego przewodnika. Zbyt wielu turystów próbuje zwiedzać Paryż na własną rękę i wpada w tarapaty.

Berleand.

— Widziałem jasnowłosą dziewczynę z tyłu tego busa — powiedziałem.

— Tak, słyszałem.

— I zostawiłem Teresę w hotelu.

— Wyszła pięć minut po tobie.

Stałem za szklanymi drzwiami, czekając, aż je otworzy. Nie otwierał. Zastanowiłem się nad tym, co właśnie powiedział.

— Kazałeś nas obserwować?

— Nie mam ludzi, żeby śledzić was oboje. Jednak powiedz mi, co sądzisz o tej historii z wypadkiem samochodowym?

— Skąd...? — Teraz zrozumiałem. — Założyłeś podsłuch w naszym pokoju?

Berleand kiwnął głową.

— Nie było momentów.

— Bardzo śmieszne.

— Lub smutne — odparował. — Zatem, co sądzisz o jej opowieści?

— Jak to co sądzę? To okropne.

— Uwierzyłeś jej?

— Oczywiście. Kto by coś takiego wymyślił?

Zrobił dziwną minę.

— Chcesz mi powiedzieć, że to nieprawda?

— Nie, wygląda na to, że wszystko się *zgadza*. Miriam Collins, lat siedem, zginęła w wypadku na londyńskiej mitostradzie A-czterdzieści. Teresę była ciężko ranna. Kazałem przesłać akta do mojego biura, żeby je przejrzeć.

— Po co? To było dziesięć lat temu. Nie ma z tym nic wspólnego.

Nic odpowiedział. Tylko poprawił okulary na nosie. W tej celi pleksiglasową szybą czułem się jak egzemplarz wystawowy.

— Zakładam, że twoi koledzy poinformowali cię, co się stało — powiedziałem.

— Tak.

— Musicie znaleźć tego zielonego busa.

— Już znaleźliśmy — powiedział Berleand. Podszedłem bliżej do przezroczystych drzwi.

— Był z wypożyczalni — wyjaśnił Berleand. — Porzucili go przed lotniskiem Charles'a de Gaulle'a.

— Wypożyczony na kartę kredytową?

— Owszem, wystawioną na lipne nazwisko.

— Musicie wstrzymać wszystkie odloty.

— Z największego lotniska w kraju? — Berleand ściągnął brwi. — Masz jeszcze jakieś recepty na zwalczanie przestępczości?

— Ja tylko mówię...

— Minęły dwie godziny. Jeśli wsiedli do samolotu, to już ich nie ma.

Przyszedł inny policjant, wręczył Berleandowi kartkę i się oddalił. Berleand zaczął czytać.

— Co to? — spytałem.

— Menu obiadowe. Próbujemy zamawiać w innym lokalu.

Zignorowałem to kulawe poczucie humoru.

— Wiesz, że to nie jest zbieg okoliczności — powiedziałem. — W busie widziałem jasnowłosą dziewczynę.

Wciąż czytał.

— Wspominałeś o tym, tak.

— To mogła być córka Collinsa.

— Wątpliwe — mruknął.

Czekałem.

— Dotarliśmy do jego żony — wyjaśnił Berleand. — Karen Tower. Nic jej nie jest. Nawet nie wiedziała, że jej mąż był w Paryżu.

— A myślała, że gdzie jest?

— Jeszcze nie znam wszystkich szczegółów. Oni mieszkają teraz w Londynie. Scotland Yard dostarczył raport. Najwyraźniej Collinsowie mieli jakieś problemy małżeńskie.

— A co z ich córką?

— Cóż, właśnie w tym rzecz — odparł Berleand. — Oni nie mają córki, tylko czteroletniego syna. Jest cały i zdrowy w domu, z matką.

Próbowałem to przetrwać.

— Badanie DNA wykazało, że niewątpliwie była to krew córki Ricka Collinsa — zacząłem.

— Tak.

— Bez żadnych wątpliwości?

— Żadnych.

— A ten długi blond włos należał do tej samej osoby?

— Zatem Rick Collins ma córkę z długimi jasnymi włosami — powiedziałem bardziej do siebie niż do niego.

Szybko wymyśliłem inny scenariusz wydarzeń. Może dlatego, że byłem we Francji, uważanej za krainę kochanek. Nawet były prezydent nie ukrywał się ze swoją, no nie?

— Druga rodzina — podsunąłem.

Oczywiście Francuzi nie mają na to monopolu. Pewien nowojorski polityk został zatrzymany, gdy po pijanemu jechał odwiedzić swoją drugą rodzinę. Mężczyźni wciąż miewają dzieci ze swoimi kochankami. Dodajmy do tego przeświadczenie Berleanda, że małżeństwo Ricka Collinsa z Karen Tower miało problemy, a wszystko zacznie pasować. Oczywiście wciąż pozostaną duże luki do zapełnienia — na przykład dlaczego Collins najpierw zadzwonił do Teresę, swojej pierwszej żony, i powiedział, że natychmiast muszą się spotkać w Paryżu. Ale nie wszystko naraz.

Zacząłem wyjaśniać moją teorię Berleandowi, ale widziałem, że jej nie kupuje, więc przestałem ją sprzedawać.

— Co przeoczyłem? — spytałem.

Zaświergotała jego komórka. Berleand znów rozmawiał po francusku, nie wiadomo o czym. Po powrocie będę musiał pójść na kurs do szkoły językowej Berlitz. Rozłączył się, po czym szybko otworzył drzwi celi i gestem kazał mi wyjść. Zrobiłem to. Żwawym krokiem ruszył korytarzem.

— Berleand?

— Chodź. Muszę ci coś pokazać.

Wróciliśmy do pokoju Groupe Berleand. Był tam też Lefebvre. Spojrzał na mnie tak, jakbym właśnie wypadł z tyłka jego najgorszego wroga. Podłączył do komputera inny monitor, płaski i chyba trzydziestocalowy.

— Co się dzieje? — chciałem wiedzieć.

Berleand usiadł za klawiaturą. Lefebvre się cofnął. W pokoju byli jeszcze dwaj inni gliniarze. Oni też stanęli pod ścianą. Berleand spojrział na monitor, a potem na klawiaturę, zmarszczył czoło. Na biurku stał pojemnik z chusteczkami. Wyjął jedną i zaczął wycierać klawiaturę.

Lefebvre powiedział po francusku coś, co zabrzmiało jak skarga.

Berleand warknął coś w odpowiedzi, wskazując klawiaturę. Skończył ją wycierać i zaczął pisać.

— Ta jasnowłosa dziewczyna w busie — powiedział do mnie. — Możesz określić, ile miała lat?

— Nie wiem.

— Pomyśl.

Spróbowałem i pokręciłem głową.

— Widziałem tylko długie jasne włosy,

— Usiądź — powiedział.

Przysunąłem sobie krzesło. Otworzył pocztę elektroniczną i załadował plik.

— Dostaniemy materiał wideo, ale zdjęcia są wyraźniejsze.

— Jakie zdjęcia?

— Z kamery na lotnisku.

Pojawiło się kolorowe zdjęcie. Spodziewałem się ziarnistej czarno-białej fotki, ale zdjęcie było ostre i wyraźne. Mnóstwo samochodów na parkingu, ale także ludzie. Zmrużyłem oczy. Berleand pokazał coś w górnym prawym rogu.

— Czy to oni?

Niestety, kamera znajdowała się tak daleko, że postacie były widoczne ze sporej odległości. Trzej mężczyźni. Jeden zasłaniał twarz czymś białym, może koszulą, tamując krwotok. Pochlastany łeb.

Skinąłem głową.

Jasnowłosa dziewczyna też tam była, ale teraz zrozumiałem pytanie Berleanda. Patrząc pod tym kątem, nie potrafiłem ocenić jej wieku, ale z pewnością nie miała sześciu czy siedmiu ani nawet dziesięciu czy dwunastu lat — chyba że była nad wiek wyrosnięta. Była dorosła. Ubranie sugerowało nastolatkę lub młodą kobietę, lecz w dzisiejszych czasach nigdy nie ma się co do tego pewności.

Blondynka szła między dwoma w pełni sprawnymi mężczyznami. Pochlastany łeb trzymał się nieco z boku, po prawej.

— To oni — powiedziałem. I zaraz dodałem: — Według nas, ile lat powinna mieć córka? Siedem lub osiem. To chyba te jasne włosy. Zmyliły mnie. Narobiłem niepotrzebnego zamieszania.

— Nie jestem tego pewien.

Spojrzałem na Berleanda. Zdjął okulary, położył je na stole i potarł twarz rękami. Warknął coś po francusku. Tamci trzej, łącznie z Lefebvre'em, opuścili pokój. Zostaliśmy sami.

— Co się dzieje, do diabła? — zapytałem. Przestał rozcierać twarz i spojrział na mnie.

— Zdajesz sobie sprawę, że nikt w tej kawiarni nikt nie widział, jak on wycelował w ciebie broń?

— Oczywiście, że nie widzieli. Trzymał ją pod stołem.

— Większość ludzi podniosłaby ręce do góry i spokojnie poszła z nim. Większości ludzi nie przyszłoby do głowy, żeby walnąć go stołem w twarz, zabrać mu broń i postrzelić jego współnika na środku bulwaru.

Czekałem, aż powie coś więcej.

— Co mam powiedzieć? — mruknąłem, kiedy milczał. — Wredny ze mnie gość.

— Ten, którego postrzeliłeś, nie miał broni.

— Miał, kiedy go postrzeliłem. Jego kumple zabrali ją, zanim uciekli. Wiesz, że tak było, Berleand. Wiesz, że niczego sobie nie wymyśliłem.

Siedzieliśmy tak jeszcze minutę. Berleand gapił się w monitor.

— Na co czekamy?

— Na materiał wideo. — Z czym?

— Z tą jasnowłosą dziewczyną.

— Po co?

Nie odpowiedział. Minęło jeszcze pięć minut. Zasypywałem go pytaniami. Ignorował je. W końcu jego poczta elektroniczna zagrała — otrzymał bardzo krótki materiał wideo z parkingu. Wcisnął guzik odtwarzania i usiadł wygodnie.

Teraz wyraźniej zobaczyliśmy tę jasnowłosą dziewczynę. Ulotnie była nastolatką — szesnasto- lub siedemnastoletnią. Miała długie jasne włosy. Kamera nadal znajdowała się za daleko, by zobaczyć jej rysy, ale było w niej coś znajomego. W sposobie, w jaki trzymała głowę, w jaki szła, idealnie wyprostowana...

— Wykonaliśmy wstępne badanie DNA krwi z miejsca przestępstwa oraz jasnego włosa -
— rzekł Berleand.

Temperatura w pokoju opadła o kilka stopni. Z wysiłkiem oderwałem wzrok od ekranu i spojrzałem na niego.

— To nie tylko jego córka — powiedział Berleand, wskazując blondynkę na ekranie. — To także córka Teresę Collins.

11

Dopiero po chwili odzyskałem głos.

- Powiedziałaś „wstępne”? Berleand skinął głową.
- Ostateczny wynik badania DNA będzie znany za kilka godzin.
- A więc może być błędny.
- Raczej nie.
- Przecież zdarzały się takie przypadki?
- Tak. Miałem taki przypadek. Aresztowaliśmy faceta na podstawie wstępnego wyniku. Okazało się, że winnym był jego brat. Znam również sprawę o ustalenie ojcostwa wytoczoną przez pewną kobietę. Jej chłopak twierdził, że to nie jego dziecko. Wstępna analiza DNA dała idealnie zgodny wynik, ale kiedy w laboratorium sprawdzili dokładniej, okazało się, że dziecko spłodził ojciec chłopaka.

Zastanowiłem się.

- Czy Teresę Collins ma siostrę? — zapytał Berleand.
- Nie wiem. Skrzywił się.
- No co?
- Was dwoje naprawdę łączy bliski związek, prawda?
Zignorowałem ten przytyk.
- Co dalej?
- Chcemy, żebyś zadzwonił do Teresę Collins. Musimy jeszcze raz ją przesłuchać.
- Dlaczego sami do niej nie zadzwonicie?
- Dzwoniliśmy. Nie odbiera.

Podał mi moją komórkę. Włączyłem ją. Jedno nieodebrane połączenie. Nie sprawdziłem, kto dzwonił. Ponadto miałem e-maila wyglądającego na spam, o następującej treści: „Kiedy Peggy Lee śpiewała „Czy to już wszystko?”, czy miała na myśli węża w twoich spodniach? Twój mały ptaszek potrzebuje viagry, patrz 86BR22.com”.

Berleand zaglądał mi przez ramię.

- Co to oznacza?
- To tylko jedna z moich dawnych przyjaciółek spoza szkoły.
- Ach, ten twój samokrytycyzm — westchnął Berleand. — To takie urocze.

Wybrałem numer Teresę. Po kilku sygnałach zgłosiła się poczta głosowa. Zostawiłem jej wiadomość i rozłączyłem się.

- I co teraz?
- Czy wiesz, jak się lokalizuje telefon komórkowy? — zapytał Berleand.
- Tak.
- I zapewne wiesz, że dopóki telefon jest włączony, nawet jeśli się nie rozmawia, możemy ustalić koordynaty i namierzyć, gdzie jest.
- Tak.
- Dlatego nie trudziłeś się śledzeniem pani Collins. Mogliśmy ją namierzyć. Jednak godzinę temu wyłączyła telefon.
- Może bateria się wyczerpała — podsunąłem.
Berleand ściągnął brwi.
- A może potrzebowała spokoju. Wiesz, jak trudno przyszło jej opowiedzieć mi o tym wypadku.
- I co? Wyłączyła telefon, żeby oderwać się od tego wszystkiego?
- Pewnie.

- Zamiast wyłączyć lub wyciszyć dzwonięcie, pani Collins wyłączyła aparat?
- Nie kupujesz tego?
- Daj spokój. Możemy sprawdzić rejestr połączeń i zobaczyć, kto do niej dzwonił i do kogo ona dzwoniła. Około godziny temu pani Collins odebrała jedyny telefon dzisiejszego dnia.
- Od kogo?
- Nie wiem. Numer przekierowany na Węgry, potem na witrynę internetową, a później nie wiadomo gdzie. Rozmowa trwała dwie minuty. Potem wyłączyła telefon. Była wtedy w muzeum Rodina. Teraz nie mamy pojęcia, gdzie jest.
- Nic nie powiedziałem.
- Co o tym myślisz??
- O Rodinie? Uwielbiam *Myśliciela*.
- Dobijasz mnie, Myron. Naprawdę.
- Zamierzacie mnie tu trzymać?
- Mam twój paszport. Możesz iść, ale nie opuszczaj hotelu.
- Bo tam możesz mnie podsłuchiwać.
- Pomyśl o tym w ten sposób: jeśli w końcu ci się poszczęści, może posłucham sobie momentów.

Proces uwalniania mnie z aresztu zajął około dwudziestu minut. Poszedłem quai des Orfevres w kierunku Pont Neuf. Zastanawiałem się, jak długo to potrwa. Oczywiście Berleand mógł kazać mnie śledzić, ale uznałem to za nieprawdopodobne.

Zobaczyłem samochód z tablicą rejestracyjną 97 CS 33.

Oczywiście ten szyfr nie mógł być prostszy. Spam podał 86 BR 22. Wystarczyło dodać jedynkę do każdej cyfry. Ósemka stawiała się dziewiątką. Analogicznie B zmieniało się w C. Gdy podchodziłem do samochodu, z okienka po stronie kierowcy wypadła karteczka. Była częściowo owinięta wokół monety, żeby nie porwał jej wiatr.

Westchnąłem. Najpierw ten prymitywny szyfr, a teraz to. Czy James Bond nie ma już żadnych gadżetów?

Podniosłem notatkę.

1 RUE DU PONT NEUF, CZWARTE PIĘTRO.
WRZUĆ KOMÓRKĘ PRZEZ TYLNE OKIENKO SAMOCHODU.

Zrobiłem to. Samochód odjechał, z włączonym i namierzonym telefonem. Niech go sobie śledzą. Skręciłem w prawo. To był Louis Yuitton Building, ten nakryty szklaną kopułą. Na parterze mieścił się dom towarowy Kenzo i gdy tylko otworzyłem drzwi, poczułem się beznadziejnie nienowoczesny. Wsiadłem do szklanej windy i zobaczyłem, że na czwartym piętrze znajduje się restauracja Kong.

Kiedy kabina się zatrzymała, powitała mnie ubrana na czarno hostessa. Miała ponad metr osiemdziesiąt, strój tak obcisły, jakby wkładała go za pomocą łyżki do butów, i tyleż tkanki tłuszczowej, co przeciętny kabel elektryczny.

— Pan Bolitar? — zapytała.

— Tak.

— Proszę tędy.

Poprowadziła mnie podświetlanymi zielonymi lampami fluorescencyjnymi schodami pod szklaną kopułę. Nazwałbym restaurację Kong ultranowoczesną, ale to za mało — była raczej postmodernistyczne ultranowoczesna. Wystrój w stylu futurystycznej gejszy. Telewizory plazmowe ze smukłymi Azjatkami mrugającymi do przechodzącego. Plastikowe krzesła były przezroczyste, nie licząc wyłoczonych na nich twarzy pięknych kobiet o dziwnych fryzurach. Te twarze płonęły, jakby każda była źródłem światła. Efekt był odrobinę upiorny.

Nad głową miałem wielki gobelin z gejszą. Klienci byli ubrani podobnie jak hostessa — modnie i na czarno. Jednak największą atrakcją tego lokalu, przebijającą wszystkie inne, był

zabójczy widok na Sekwanę, niemal równie piękny, jak ten z głównej kwatery policji. I tam, przy frontowym stoliku z absolutnie najlepszym widokiem, siedział Win.

— Zamówiłem ci *foie gras* — oznajmił.

— Pewnego dnia ktoś przejrzy ten nasz stary trik.

— Dotychczas nikomu się to nie udało. Usiadłem naprzeciwko niego.

— To miejsce wygląda znajomo.

— Być może z francuskiego filmu z François Cluzetem i Kristin Scott Thomas — powiedział Win. — Siedzieli przy tym stoliku.

— Kristin Scott Thomas we francuskim filmie?

— Mieszkała tu przez kilka lat i płynnie mówi po francusku.

Win wie takie rzeczy, nie mam pojęcia skąd.

— W każdym razie — ciągnął Win — zapewne dlatego ta restauracja wywołuje, żeby pozostać przy francuskich określeniach, wrażenie *deja vu*.

Pokręciłem głową.

— Nie oglądam francuskich filmów.

— Może więc — westchnął przeciągle Win — pamiętasz, jak Sarah Jessica Parker jadła tu w finałowym odcinku jednej z serii *Seksu w wielkim mieście*.

— Trafiony, zatopiony — powiedziałem.

Przybyła foie gras, czyli dla niewtajemniczonych — gęsia wątróbka. Byłem naprawdę głodny i zacząłem się opychać. Wiem, że ludzie od praw zwierząt by mnie ukrzyżowali, ale nie mogłem się powstrzymać. Uwielbiam *foie gras*. Win już rozlał czerwone wino do kieliszków. Upiłem łyk. Nie jestem ekspertem, ale smakowało tak, jakby Dionizos osobiście wycisnął winogrona.

— Zatem zakładam, że już znasz sekret Teresę — powiedział Win.

Skinąłem głową.

— Mówiłem ci, że to upiorne.

— Skąd wiedziałeś?

— Nie było trudno się dowiedzieć — odparł Win.

— Może ujmę to inaczej. Dlaczego się dowiedziałeś?

— Dziewięć lat temu z nią uciekłeś — przypomniał.

— I co?

— Nawet mi nie powiedziałeś, że uciekasz.

— Powtórzę: i co?

— Byłeś w dołku, więc wszystko sprawdziłem.

— Nie powinieneś — mruknąłem.

— Pewnie nie.

Przez chwilę jedliśmy w milczeniu.

— Kiedy przyleciałeś? — zapytałem.

— Esperanza zadzwoniła do mnie po rozmowie z tobą. Zmieniłem kierunek lotu i przyleciałem tutaj.

Kiedy dotarłem do twojego hotelu, właśnie cię aresztowali. Wykonałem kilka telefonów.

— Gdzie jest Teresę?

Domyśliłem się, że to Win zadzwonił do niej i powiedział, jak ma się wymknąć śledzącym.

— Wkrótce się z nią spotkamy. Opowiedz mi wszystko. Zrobiłem to. Nic nie mówił. Złączył dłonie czubkami palców. Win zawsze to robi. U mnie ten gest wygląda śmiesznie. U niego, z tymi wypielęgnowanymi paznokciami, wcale nie.

— Ożeż ty! — sapnął, kiedy skończyłem.

— Dobre podsumowanie.

— Co wiesz o tym jej wypadku samochodowym? — zapytał.

— Tylko tyle, ile ci powiedziałem.

— Teresę nie widziała ciała — powiedział Win. — To dość dziwne.

— Była nieprzytomna przez dwa tygodnie. Nie można tak długo czekać z pochówkiem.

— Mimo wszystko. — Win stukał czubkami palców jednej dłoni o drugą. — Czyjej obecnie nieżyjący były mąż nie mówił, że to, co ma jej do powiedzenia, wszystko zmieni?

Ja również o tym myślałem. Rozmyślałem o tym dziwnym tonie jego głosu, niemal panicznym lęku.

— Musi być jakieś inne wyjaśnienie. Jak już mówiłem, to dopiero wstępny wynik badania DNA.

— Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że gliniarze wypuścili cię w nadziei, że doprowadzisz ich do Teresę.

— Wiem.

— Tak się jednak nie stanie — oznajmił Win.

— To też wiem.

— Więc co teraz? — zapytał Win.

Zdziwiłem się.

— Nie zamierzasz mnie przekonywać, żebym jej nic pomógł?

— A to by coś dało?

— Zapewne nie.

— To może być przednia zabawa — powiedział Win. — I jest jeszcze jeden ważny powód, aby kontynuować tę misję.

— Jakież to?

— Powiem ci później. Dokąd teraz? Poznawać inną kulturę?

— Sam nie wiem. Chciałbym przesłuchać żonę Ricka Collinsa, która mieszka w Londynie, ale Berleand ma mój paszport.

Zaćwierkał telefon komórkowy. Win podniósł go do ucha.

— Wystów się — rzucił. Nienawidzę, gdy tak mówi. Rozłączył się.

— Zatem, do Londynu.

— Mówię ci, że... Win wstał.

— W piwnicy tego budynku jest tunel. Prowadzi do budynku Samaritaine, znajdującego się obok. Samochód czeka. Mój samolot stoi na małym lotnisku pod Wersalem. Teresę tam jest. Mam dokumenty dla was obojga. Pospiesz się, proszę.

— Co się stało?

— Oto mój poważny powód, by kontynuować tę misję: mężczyzna, którego postrzeliłeś kilka godzin temu, właśnie zmarł. Policja chce cię aresztować za morderstwo. Uważam, że powinniśmy energicznie zabrać się do oczyszczania twojego dobrego imienia.

12

Kiedy powiedziałem Teresę o badaniu DNA, oczekiwałem innej reakcji.

Siedzieliśmy w rekreacyjnej części samolotu Wina, Boeinga Business Jet, którego niedawno kupił od jakiegoś rapera. Fotele były obite skórą i ogromne. Był tam szerokoekranowy telewizor, kanapa, grube dywany i drewniane meble. A także jadalnia i oddzielna sypialnia w ogonie.

Jeśli jeszcze tego nie załapaliście: Win jest nadziany.

Uzyskał swoje pieniądze w staromodny sposób — odziedziczył je. Jego rodzina była właścicielami Lock-Horne Investments, nadal jednej z gwiazd pierwszej wielkości na Wall Street, a Win wziął ich miliardy i jeszcze je pomnożył.

„Asystentka pokładowa” — opatrzyłem to cudzysłowem, ponieważ wątpię, by ukończyła szkołę stewardes — była oszałamiająco piękną Azjatką, młodą i jak znam Wina, zapewne bardzo wygimnastykowaną. Według identyfikatoru miała na imię Mee. Wyglądała jak żywcem zdjęta z plakatu Pan Am z 1968 roku, od idealnie dopasowanego kostiumu przez fikuśną bluzeczkę, aż po kapelusik.

— Ten kapelusik — powiedział Win, kiedy wchodziliśmy na pokład.

— Taaak — powiedziałem. — On naprawdę dopełnia całości.

— Lubię, gdy nosi go cały czas.

— Proszę, oszczędź mi dalszych szczegółów — jęknąłem.

Win się uśmiechnął.

— Ma na imię Mee.

— Przeczytałem na identyfikatorze.

— Tę podróż odbędę nie tylko z tobą, Myronie, ale i z Mee. Inaczej mówiąc, zamierzam odbyć z nią stosunek płciowy.

Tylko na niego popatrzyłem.

— Mee i ja będziemy z tyłu samolotu, żeby nie przeszkadzać tobie i Teresę.

— Z tyłu, czyli w sypialni? Win klepnął mnie w plecy.

— Baw się dobrze, Myronie. Ja zamierzam dobrze bawić się z Mee.

— Proszę, przestań.

Wszedłem za nim na pokład. Teresę już tam była. Kiedy opowiedziałem jej o próbie porwania zakończonej strzelaniną, była wyraźnie przejęta. Natomiast gdy zacząłem omawiać wynik badania DNA wskazujący na nią jako matkę jasnowłosej dziewczyny — powtarzając słowa „wstępne” i „niekompletne” tyle razy, że zacząłem się obawiać, iż wywołam u niej reakcję wymiotną — Teresę mnie zaskoczyła. Niezbyt się tym przejęła.

— Mówisz, że badanie krwi wykazuje, iż mogę być matką tej dziewczyny?

W istocie wstępne badanie DNA dowiodło, że jest malką tej dziewczyny, ale może w tym momencie lepiej było tego nie mówić. Tak więc ograniczyłem się do krótkiego „tak”.

I znów chyba to do niej nie dotarło. Teresę przechyliła głowę, jakby nie dosłyszała. Przez moment w jej oczach dostrzegłem niemal niezauważalny ból, ale to wszystko.

— Jak to możliwe?

Nie odpowiedziałem, tylko lekko wzruszyłem ramionami.

Nigdy nie wolno lekceważyć siły zaprzeczenia. Teresc odrzuciła ten fakt, weszła w rolę reporterki i zarzuciła mnie pytaniami. Powiedziałem jej wszystko, co wiedziałem. Zaczęła oddychać płycej. Próbowwała wziąć się w garść, chociaż widziałem, że jej wargi drżą.

Jednak się nie rozplakała.

Chciałem wyciągnąć ręce i objąć ją, ale nie mogłem. Nic wiem dlaczego. Tak więc siedziałem i czekałem. Oboje nic powiedzieliśmy tego, jakby słowa mogły rozerwać tę niezwykle słabą bańkę mydlaną nadziei. Jednak to tam było, jak przysłowiowy koń, i oboje wiedzieliśmy, jaki jest, lecz woleliśmy nic nie mówić.

Czasem pytania Teresę wydawały się zbyt tendencyjne i wycierała z nich gniew wywołany tym, co jej były mąż Rick mógł tu robić, albo mający zapobiec zrodzeniu się nadziei. W końcu odchyliła się na fotelu, przygryzła dolną wargę i zamrugła. — Dokąd teraz lecimy? — zapytała.

— Do Londynu. Pomyślałem, że może powinniśmy porozmawiać z żoną Ricka.

— Z Karen.

— Znasz ją?

— Znałam, tak. — Spojrzała na mnie. — Pamiętasz, jak powiedziałam, że miałam podrzucić Miriam do domu przyjaciółki, kiedy doszło do wypadku?

— Tak. — I zaraz dodałem: — To Karen Tower była tą przyjaciółką?

Kiwnęła głową.

Samolot osiągnął wysokość przelotu. Pilot oznajmił nam to przez głośniki. Miałem do niej milion pytań, ale Teresę zamknęła oczy. Czekałem.

— Myronie?

— Tak.

— Nie mówimy tego. Jeszcze nie. Oboje wiemy, że to między nami jest. Jednak nie mówimy tego, dobrze?

— Dobrze.

Otworzyła oczy i odwróciła wzrok. Zrozumiałem. To była zbyt trudna chwila nawet na kontakt wzrokowy. Jakby przywołany, Win otworzył drzwi sypialni. Asystentka pokładowa Mee nadal miała na sobie kapelusik, i wszystko inne też. Win także był ubrany i skinął na mnie, żebym przyszedł do jego sypialni.

— Lubię ten kapelusik — powiedział.

— Już to mówiłeś.

— Pasuje Mee.

Popatrzyłem na niego. Wpuścił mnie do sypialni i zamknął drzwi. Ściany pokrywała tapeta w tygrysie paski, a na łóżku skóra zebry. Spojrzałem na niego.

— Uzewnętrziasz ukrytego w sobie Elvisa?

— Wystrój to pomysł tego rapera. Powoli zaczynam się do tego przyzwyczajać.

— Chciałeś coś powiedzieć? Win wskazał telewizor.

— Patrzyłem, jak z nią rozmawiałeś. Spojrzałem na ekran. Teresę siedziała w fotelu.

— Dlatego wiedziałem, kiedy wam przerwać. — Otworzył szufladę i sięgnął do niej. — Masz.

To był palmofon BlackBerry.

— Nadal masz swój stary numer i będziesz odbierał wszystkie przychodzące rozmowy, ale nie da się zlokalizować tej komórki. Jeśli spróbują to zrobić, trafią do południowo-zachodnich Węgier. Przy okazji, kapitan Berleand zostawił ci wiadomość.

— Mogę bezpiecznie z nim rozmawiać? Win ściągnął brwi.

— Nie zrozumiałeś tego, co przed chwilą powiedziałem?

Berleand odebrał po pierwszym sygnale.

- Moi koledzy chcą cię zamknąć — ostrzegł.
- Przecież jestem takim czarującym facetem.
- Też im tak mówiłem, ale nie są przekonani, że wdzięk przebija zarzut morderstwa.
- Wdzięk to taki rzadki towar. Mówiłem ci, Berleand. To była samoobrona.
- Mówiłeś. Mamy tu sądy, prawników i detektywów, którzy w końcu też mogą dojść do tego wniosku.
- Naprawdę nie mam tyle czasu do stracenia.
- Zatem nie powiesz mi, gdzie jesteś?
- Nie powiem.
- Ta restauracja Kong jest przereklamowana — powiedział. — Następnym razem zabiorę cię do pewnego małego baru przy Saini: Michel, gdzie podają tylko *foie gras*. Spodoba ci się.
- Następnym razem.
- Nadal jesteś w zasięgu mojej jurysdykcji?
- Nie.
- Szkoda. Mogę cię prosić o przysługę?
- Pewnie — odparłem.
- Czy twój nowy telefon komórkowy ma możliwość przeglądania zdjęć?
Spojrzałem na Wina. Skinął głową. Powiedziałem Berldandowi, że ma.
- Właśnie przesyłam ci fotografię. Proszę powiedz mi, czy rozpoznajesz tego człowieka.
Podałem telefon Winowi. Wcisnął menu i znalazł fotografię. Przyglądałem jej się długo i uważnie, chociaż od razu go poznałem.
- To chyba on — powiedziałem.
- Mężczyzna, którego uderzyłeś stołem?
- Tak.
- Jesteś pewny?
- Powiedziałem „chyba”.
- Postaraj się bardziej. Popatrzyłem jeszcze uważniej.
- Zakładam, że to stare zdjęcie. Gość, którego wczoraj uderzyłem, jest co najmniej dziesięć lat starszy od tego na fotografii. Zmienił się, jest krótko ostrzyżony, ma inny nos. Jednak w zasadzie jestem prawie pewny.
Cisza.
- Berleand?
- Naprawdę chciałbym, żebyś wrócił do Paryża. Nie spodobał mi się sposób, w jaki to powiedział.
- Przykro mi, nie ma mowy.
Znów cisza.
- Kim on jest? — spytałem.
- To nie jest coś, z czym sam możesz sobie poradzić — rzekł.
Spojrzałem na Wina.
- Ktoś mi pomoże.
- To nie wystarczy.
- Nie byłbyś pierwszym, który nas nie docenił.
- Wiem, z kim jesteś. Znam jego możliwości i reputację. To nie wystarczy. Możecie być dobrzy w znajdowaniu ludzi lub pomaganiu sportowcom mającym kłopoty z prawem, jednak z tym nie jesteście w stanie sobie poradzić.
- Gdybym nie był takim twardzielem, zacząłbym się bać,
- Gdybyś nie był takim wariatem, posłuchałbyś mnie. Uważaj, Myronie. Bądź w kontakcie.

Rozłączył się. Odwróciłem się do Wina.

— Może pokażemy to zdjęcie komuś w kraju, kto mógłby nam powiedzieć, co to za facet.

— Mam kogoś w Interpolu — powiedział Win. Jednak nie patrzył na mnie, tylko na coś za moimi plecami.

Odwróciłem się i powiodłem wzrokiem w ślad za jego spojrzeniem. Znowu patrzył na monitor.

Teresę nadal tam była, ale już nie udawała opanowanej. Kuliła się, szlochając. Usiłowałem zrozumieć, co mówi, lecz udręka zmieniała jej słowa w niezrozumiałe bełkot. Win wziął pilota i wzmocnił dźwięk. Teresę raz po raz powtarzała te same słowa i gdy zsunęła się z kanapy, w końcu chyba zrozumiałem, co mówi.

— Proszę — błagała sobie tylko znanego boga. — Proszę, spraw, żeby ona żyła.

13

Gdy przybyliśmy do hotelu Claridge w centrum Londynu, było późno. Win zarezerwował apartament składający się z rozległego salonu oraz trzech dużych sypialni z wielkimi podwójnymi łóżkami, cudownie głębokimi marmurowymi wannami i głowicami pryszniców o rozmiarach pokrywy włazu do kanału. Otworzyliśmy drzwi na taras. Rozpościerał się z niego wspaniały widok na dachy Londynu, ale szczerze mówiąc, miałem dość widoków. Teresę wyszła jak lunatyczka. Powoli przechodziła od odrętwienia do wzburzenia. Była zdruzgotana, oczywiście, ale miała nadzieję. Myślę, że tej nadziei bała się najbardziej.

— Chcesz wrócić do środka? — zapytałem.

— Daj mi minutę.

Nie jestem chyba ekspertem od mowy ciała, ale wygląda na spiętą i otoczoną obronną skorupą. Czekałem przy drzwiach na taras. Jej sypiania była stoniecznikowożółta i niebieska.

Spojrzałem na to łóżko z czterema słupka i może nie w porę, ale zapragnąłem zanieść ją na to piękne łóżko i kochać się z nią godzinami.

No dobrze, nie może, ale na pewno nie była to odpowiednia chwila. Mimo wszystko. Kiedy mówię takie rzeczy na głos, Win nazywa mnie starą babą.

Teraz patrzyłem na jej odsłonięte ramię i wspominałem następny dzień po tym, jak przylecieliśmy z wyspy, kiedy przyjechała do New Jersey i mi pomogła. I się uśmiechnęła, naprawdę się uśmiechnęła, pierwszy raz, od kiedy ją poznałem, a ja pomyślałem, że chyba się w niej zakocham. Zazwyczaj angażuję się w związki w babski sposób, długoterminowo. Tym razem spadło to na mnie znienacka. Uśmiechnęła się i tamtej nocy kochaliśmy się inaczej, czulej, a po wszystkim pocałowałem jej nagie ramię, a ona rozplakała się, również po raz pierwszy. Uśmiechnęła się i rozplakała przy mnie po raz pierwszy.

Kilka dni później znikła.

Teresę odwróciła się i spojrzała na mnie. Miałem wrażenie, że wie o czym myślę. W końcu przeszliśmy do salonu z beczkowato sklepionym sufitem i nieskazitelną drewnianą podłogą. W kominku strzelały płomienie. Win, Teresę i ja usiedliśmy w miękkich fotelach i zaczęliśmy na zimno umawiać nasze następne kroki. Teresę od razu przeszła do sedna sprawy:

— Musimy znaleźć sposób na ekshumację ciała z grobu mojej córki. Jeśli tam w ogóle jest jakieś ciało.

Powiedziała to tak po prostu. Bez łez, bez wahania.

— Powinniśmy wynająć adwokata — stwierdziłem.

— Radcę prawnego — poprawił mnie Win. — Jesteśmy w Londynie. Nie używamy tu określenia „adwokat”, Myronie. Mówimy „radca prawny”.

Tylko na niego popatrzyłem, powstrzymując cisnące mi się na usta pytanie: „A co z wkładkami doodbytnicznymi do kąpielni? Używają tego określenia w Londynie?”.

— Każę moim ludziom zająć się tym jutro rano. Lock-Horne Investments ma filię w Londynie, przy Curzon Street.

— Powinniśmy również przyjrzeć się temu wypadkowi — ciągnąłem. — Zobaczyć, czy uda nam się zdobyć akta policyjne, porozmawiać z oficerami, którzy prowadzili śledztwo, i tak dalej.

Wszyscy się zgodzili. Rozmawialiśmy tak, jakbyśmy byli w pracowni projektowej i opracowywali nowy produkt, a nie zastanawiali się, czy córka Teresę, która „zginęła” w wypadku, może jeszcze żyje. Samo myślenie o tym wydawało się szaleństwem. Win zaczął dzwonić. Dowiedzieliśmy się, że Karen Tower, żona Ricka Collinsa, wciąż mieszka w tym samym domu w Londynie. Teresę i ja zamierzaliśmy pójść tam rano i z nią porozmawiać.

Po pewnym czasie Teresę wzięła dwie tabletki valium, poszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi. Win otworzył barek. Byłem wyczerpany po locie i ciężkim dniu. Trudno było mi pogodzić się z myślą, że rano wylądowałem w Paryżu. Jednak nie miałem ochoty opuścić tego pokoju. Lubię tak siedzieć z Winem. Trzymał w ręku kieliszek koniaku. Ja wolę czekoladowy drink o nazwie Yoo-hoo, lecz tego wieczoru poprzestałem na wodzie mineralnej Evian. Zamówiliśmy trochę zakąsek do pokoju.

Uwielbiam taką normalność.

Mee zajrzała do salonu i popatrzyła na Wina. Bezgłośnie powiedziała „nie”. Jej śliczna buzia znikła.

— Jeszcze nie czas na Mee — powiedział. Pokręciłem głową.

— Jaki masz problem z Mee? — mruknął Win.

— Mee to stewardesa, prawda?

— Asystentka pokładowa — poprawił, jak zwykle w trosce o nazewnictwo. — Tak jak radca prawny.

— Wygląda młodo.

— Ma prawie dwudziestkę. — Win się uśmiechnął. — Tak lubię tę twoją dezaprobatę.

— Nie zamierzam cię osądzać.

— To dobrze, ponieważ zamierzam czegoś dowieść.

— Czego?

— Czegoś w związku z tobą i panią Collins w samolocie. Ty, mój drogi przyjacielu, postrzegasz seks jako czynność wymagającą składnika emocjonalnego. Ja nie. Dla ciebie sam akt, obojętnie jak zadowolający fizycznie, jest niewystarczający. Ja patrzę na to z innej perspektywy.

— Zazwyczaj z kilku i przez obiektywy kamer — wtrąciłem.

— Trafna uwaga. Jednak pozwól mi dokończyć. Dla mnie akt uprawiania miłości przez dwoje ludzi... używając twojej terminologii, gdyż mnie zadowala określenie „ciupciać”, „chędożyć” lub „pieprzyć”... dla mnie ten święty akt jest cudowny. Co więcej, jest wszystkim. W rzeczy samej uważam, iż ten akt jest najlepszy w czystej formie, kiedy jest wszystkim, końcem i początkiem, bez psującego go bagażu emocji. Rozumiesz?

— Uhm...

— To kwestia wyboru. I tyle. Ty widzisz to inaczej, ja właśnie tak. Żaden z tych dwóch poglądów nie jest lepszy od drugiego.

Popatrzyłem na niego.

— Tego chciałeś dowieść?

— W samolocie przyglądałem się, jak rozmawiałeś z Teresę.

— Mówiłeś mi o tym.

— Chciałeś ją objąć, prawda? Po tym, jak przekazałeś jej tę wstrząsającą wiadomość. Chciałeś wziąć ją w ramiona i pocieszyć. To emocjonalny składnik, o którym dopiero co mówiliśmy.

— Nie nadążam.

— Kiedy byliście sami na wyspie, seks był zdumiewający i czysto fizyczny. Ledwie się znaliście. A jednak tamte dni uspokoiły cię, pocieszyły, wycisnęły na tobie piętno i uleczyły. A

teraz, gdy do głosu doszły emocje i kiedy chcesz połączyć uczucia z czymś tak fizycznie przyjemnym jak uścisk, nie możesz tego zrobić. — Win przechylił głowę i się uśmiechnął. — Dlaczego?

Miał rację. Dlaczego jej nie objąłem? Co więcej, dlaczego nie mogłem?

— Ponieważ to by bolało — odpowiedziałem.

Win odwrócił się, jakby to wszystko wyjaśniało. Nie wyjaśniało. Wiem, że wiele osób uważa, iż Win używa mizoginizmu jak tarczy, ale nigdy tego nie kupowałem. To zbyt łatwa odpowiedź.

Spojrzał na zegarek.

— Jeszcze jeden drink — powiedział. — A potem pójde do tamtego pokoju, ponieważ... Och to ci się spodoba! Ponieważ Mee jest taka napalona.

Pokręciłem głową. Zadzwoił telefon hotelowy. Win podniósł słuchawkę i rozmawiał przez chwilę.

— Jesteś bardzo zmęczony? — zapytał.

— Dlaczego pytasz? Co się dzieje?

— Oficer, który prowadził śledztwo w sprawie wypadku samochodowego Teresę, to teraz emerytowany policjant, niejaki Nigel Manderson. Jeden z moich ludzi poinformował mnie, że facet właśnie zalewa robaka w pubie przy Coldhar-bour Lane, gdybyś chciał złożyć mu wizytę.

— Zróbmy to.

14

Coldharbour Lane ma około mili długości, znajduje się w południowej części Londynu i łączy Camberwell z Brixton. Wysiedliśmy z limuzyny przy dość ruchliwym miejscu o nazwie Suns and Pigeons od strony Camberwell. Drugie piętro budynku miało o połowę mniejszy metraż niż pierwsze, jakby ktoś się zmęczył i powiedział: „Ach, do diabła, przecież nie potrzebujemy już więcej przestrzeni”.

Przeszliśmy do następnej przecznicy i skręciliśmy w boczną uliczkę. Był tam poczciwy stary sklep z przyborami do palenia i jeszcze otwarty sklep ze zdrową żywnością.

— Ta dzielnica słynie z gangów i handlu narkotykami — powiedział Win, jakby był przewodnikiem wycieczki. — Dlatego Coldharbour Lane nazywają, uważaj, Crackharbour Lane.

— Słusznie słynie z gangów i handlu narkotykami, bo nie z inwencji twórczej — zauważyłem.

— A czego oczekiwać po gangsterach i handlarzach narkotykami?

Uliczka była ciemna i wilgotna. Miałem wrażenie, że Bili Sikes i Fagin czają się pod murem z ciemnych cegieł. Dotarliśmy do nędznego pubu o nazwie Careless Whisper. Natychmiast przypomniał mi się ten stary przebój George'a Michaela i zespołu Wham! oraz ten do dziś znany tekst, według którego kochanek ze złamanym sercem już nigdy nie będzie tańczył, ponieważ „stopy winowajcy nie czują rytmu”. Głębokie lata osiemdziesiąte. Doszedłem do wniosku, że nazwa pubu nie ma nic wspólnego z tamtą piosenką, a zapewne wszystko z niedyskrecją.

Myliłem się.

Pchnęliśmy drzwi i jakbyśmy przenieśli się w przeszłość. Klasyczny hit zespołu Madness *Our House* wypadł na ulicę wraz z dwiema parami, mocno obejmującymi się bardziej dla zachowania równowagi niż z czułości. W powietrzu rozszedł się zapach skwierczących kiełbasek. Podłoga lepiała się do podeszew. W lokalu było głośno, tłoczno i najwyraźniej wprowadzony w tym kraju *zakaz* palenia w miejscach publicznych tutaj nie obowiązywał. Założyłbym się, że kilka innych także.

Lokal był nowofalowy, czyli staromodny i z tego dumny. Szerokoekranowy telewizor ukazywał upartego Judda Nelsona w *Klubie winowajców*. Kelnerki manewrowały w hałaśliwym tłumie odziane w czarne sukienki, jaskrawo uszminowane, gładko zaczesane do tyłu, blade jak z teatru kabuki. Na szyjach nosiły gitary. Miały wyglądać jak modelki z teledysku Roberta Palmera *Addicted to Love*, tylko że były, no cóż... bardziej dojrzałe i mniej atrakcyjne. Jakby nakręcono nową wersję tego teledysku, z *obsadą. Dziewczyn z kalendarza*.

Madness skończyli opowiadać nam o domu na środku ulicy i Bananarama zaproponowała, że będzie naszą Wenus, ogniem naszego pożądanego.

Win trącił mnie łokciem. - To słowo „Wenus”.

— Co?! — wrzasnąłem.

— Kiedy byłem młody — rzekł Win — myślałem, że oni śpiewają „*jestem twój penis*”. Nie wiedziałem, o co chodzi.

— Dzięki, że mi to mówisz.

Pomimo nowofalowego klimatu z lat osiemdziesiątych był to bar klasy pracującej, do którego kobiety po przejściach oraz twardzi faceci przychodzili po pracy i — do diabła —

chyba im się to należało. Nie można było udawać, że jest się jednym z nich. Chociaż nosiłem dzinsy, bynajmniej tu nie pasowałem. A Win wyróżniał się jak batonik Twinkie na zebraniu miłośników zdrowej żywności.

Klienci — niektórzy z wywatowanymi ramionami, cienkimi skórzanymi krawacikami i żelem na włosach — przesywali go wzrokiem. Zawsze tak było. Wiadomo, ludzie mają skłonność do uprzedzeń i stereotypów, a Win jest ostatnim, który oczekiwałby współczucia, ale to fakt, że budzi instynktowną nienawiść. Oceniamy ludzi po ich wyglądzie — to prawda. Ludzie widzą w nim niezасłużone uprzywilejowanie. I chcą mu dołożyć. Zawsze tak było. Nawet ja nie znam całej tej historii — w jaki sposób „zrodził się” obecny Win, żeby użyć terminologii z leksykonu super-bohaterów — ale wiem, że stało się to po którymś kolejnym pobiciu w dzieciństwie. Nie chciał już się bać. Nigdy. Dlatego wykorzystał swoje możliwości finansowe i wrodzone zdolności, aby przez wiele lat rozwijać umiejętności. Kiedy spotkaliśmy się w college'u, był zabójczą bronią.

Win wszedł w gęszcz tych groźnych spojrzeń, z uśmiechem skinął głową. Pub był stary i zaniedbany, i wyglądał niemal na imitację, co tylko przydawało mu autentyzmu. Kobiety były wielkie, piersiaste i rozczochrane. Wiele z nich nosiło koszulki z jednym ramiączkiem, jak na *Flashdance*. Jednej Win wpadł w oko. Brakowało jej kilku zębów. We włosach miała wstążeczki, które wydawały się absolutnie zbyteczne, a la Madonna z czasów *Starlight*, a jej makijaż wyglądał na zrobiony w ciemnej szafie kulkami do paintballu.

— No, no — powiedziała do Wina. — Czyż nie jesteś śliczny?

— Tak — odparł Win. — Owszem, jestem.

Gdy podeszliśmy, barman kiwnął nam głową. Miał koszulkę z nadrukiem FRANKIE SAYS RELAX.

— Dwa piwa — powiedziałem. Win pokręcił głową.

— Chciał powiedzieć dwie kwarty jasnego.

Znów ta terminologia.

Zapytałem o Nigela Mandersona. Barman nawet nie mrugnął. Zrozumiałem, że to próżny trud. Odwróciłem się.

— Który z was to Nigel Manderson?! — krzyknąłem, Mężczyzna w wymyślnie marszczącej białej koszuli z wypchanymi ramionami uniósł kieliszek. Wyglądał tak, jakby właśnie skończył kręcić wideoklip Spandau Ballet

— Zdrówko, kolego.

Nieco bełkotliwy głos dobiegał z końca baru. Manderson obiema rękami obejmował szklaneczkę, jakby to było pisklę, które wypadło z gniazda i potrzebowało opieki. Miał załzawione oczy, a na nosie charakterystyczną pajęczym; czerwonych żyłek, tyle że ta wyglądała tak, jakby ktoś rozdeptał pająka.

— Miłe miejsce — zauważyłem.

— Czyż to nie czyste szaleństwo? Jak nieoszlifowany diament przypominający mi lepsze czasy. Zatem kim jesteś, do diabła?

Przedstawiłem się i zapytałem, czy pamięta wypadek samochodowy sprzed dziesięciu lat, z jedną ofiarą śmiertelną. Podałem nazwisko Teresę Collins. Przerwał mi w połowie zdania:

— Nie pamiętam.

— Była znaną spikerką. Jej córka zginęła w tym wypadku. Miała siedem lat.

— Nadal nie pamiętam.

— Miał pan wiele takich spraw, w których zginęły siedmioletnie dzieci?

Obrócił się na stołku, twarzą do mnie.

— Nazywa mnie pan kłamcą?

Wiedziałem, że jego akcent jest prawdziwy, nieudawany, lecz w moich blaszanych uszach brzmiał jak Dick van Dyke w *Mary Poppins*. Niemal spodziewałem się, że powie do mnie „szefie”.

Podaliśmy mu nazwę skrzyżowania, na którym doszło do wypadku, i markę samochodu. Usłyszałem elektroniczny pisk i spojrzałem w lewo. Ktoś stał przy maszynie i grał w *Space Invaders*.

— Jestem na emeryturze — powiedział Manderson. Nie rezygnowałem, cierpliwie powtarzając mu wszystkie znane mi szczegóły. Telewizor stał za nim i przyznam, że uwielbiam film *Klub winowajców*, więc trochę mnie rozpraszał. Nie mam pojęcia, dlaczego lubię ten film. Obsada to żart — chudzina Emilio Estevez jako „twardy zapaśnik”? Judd Nelson jako „przekonujący szkolny łobuz”? No wiecie, Judd Nelson. Możecie to sobie wyobrazić? To tak, żeby podtrzymać analogię do *Dziewczyn z kalendarza*, jakby powtórnie nakręcić film Marilyn Monroe tylko z Beą Arthur. A jednak Nelson i Estevez się sprawdzili, film także, a ja go lubię i znam na pamięć wszystkie dialogi.

— Może coś pamiętam — rzekł po jakimś czasie Nigel Manderson.

Nie był zbyt przekonujący. Dopił drinka i zamówił następnego. Patrzył, jak barman mu nalewa, i porwał szklaneczkę, gdy tylko dotknęła lepkiego drewna przed nim.

Spojrzałem na Wina. Jak zawsze miał nieprzeniknioną minę.

Kobieta z paintballowym makijażem, której wiek trudno było odgadnąć, mogło to być pięćdziesiąt spokojnych lub dwadzieścia pięć burzliwych lat — przy czym ja stawiałem na to drugie — nie rezygnowała.

— Mieszkam w pobliżu — powiedziała do Wina.

Posłał jej to pełne wyższości spojrzenie, za które ludzie go nienawidzili.

— Zapewne w tej uliczce?

— Nie — odparła, uśmiewając się, serdecznie. Win to taki wesolek. — Mam mieszkanie w suterenie.

— Musi być boskie — rzekł Win głosem ociekającym sarkazmem.

— Och, nic szczególnego. — Paintball nie wyczuwała ironii. — Jednak jest tam łóżko.

Podciągnęła różowe legginsy i mrugnęła do Wina.

— Łóżko — powtórzyła na wypadek, gdyby nie załapał.

— Brzmi czarująco.

— Chcesz się przekonać?

— Madame — Win spojrzał jej w oczy — wolałbym raczej, żeby usunięto mi nasienie przez cewnik.

Znowu mrugnęła.

— Czy to ma być zawołane „tak”?

— Może mi pan opowiedzieć o tym wypadku? — spytałem Mandersona.

— A kim pan właściwie jest?

— Przyjacielem kierowcy.

— Guzik prawda.

— Dlaczego pan tak twierdzi?

Upił kolejny łyk. Bananarama skończyła. Zaczęła się klasyczna ballada Duran Duran *Save a Prayer*. W barze zrobiło się cicho. Ktoś zgasił światła, a klientela pozapalała zapalniczki i zaczęła się kotłować jak na koncercie. Nigel też podniósł zapaloną zapalniczkę.

— I mam panu uwierzyć na słowo, że to ona pana przysłała?

Miał rację.

— A nawet gdyby, to co? Do tego wypadku doszło... Mówił pan, że jak dawno temu? Mówiłem to już dwa razy. Słyszał, co mówiłem.

— Dziesięć lat temu.

— A co ona chce teraz wiedzieć?

Chciałem powiedzieć mu co, ale mnie uciszył. Płomyki przygasały. Wszyscy śpiewali, że nie powinniśmy odmawiać modlitwy właśnie teraz, ale poczekać z tym do następnego ranka. Do ranka po czym? Wszyscy kołysali się pijacko i śpiewali z uniesionymi zapalniczkami, co przy tej obfitości rozczochranych włosów stwarzało poważne zagrożenie pożarowe. Większość klientów, z Nigelem Mandersonem włącznie, miała łzy w oczach. To do niczego nie prowadziło. Postanowiłem trochę go przycisnąć.

— Ten wypadek wyglądał trochę inaczej, niż opisał pan w raporcie.

Ledwie na mnie spojrzał.

— I teraz pan twierdzi, że się pomyliłem?

— Nie, twierdę, że pan skłamał i ukrył prawdę.

To go przyhamowało. Opuścił zapalniczkę. Inni też. Rozejrzał się, szukając przyjaciół, szukając wsparcia. Nie przejmowałem się tym. Nie spuszczałem go z oka. Win już sprawdzał potencjalnych przeciwników. Wiedziałem, że ma broń. Nie pokazał mi jej i wiem, że w Wielkiej Brytanii podobno trudno ją zdobyć. Jednak Win miał przy sobie co najmniej jeden pistolet. Nie sądziłem, żebyśmy musieli użyć broni.

— Spływaj — warknął Manderson.

— Jeśli skłamałeś, zamierzam to udowodnić.

— Po dziesięciu latach? Powodzenia. Ponadto nie miałem nic wspólnego z tym raportem. Kiedy tam dotarłem, wszystko już było załatwione.

— Jak to?

— Nie wezwano mnie jako pierwszego, koleś.

— A kogo? Pokręcił głową.

— Powiedziałeś, że przysłała cię pani Collins?

Nagle już pamiętał jej nazwisko i to, że była mężatką.

— Tak.

— No cóż, ona powinna wiedzieć. Albo zapytaj jej przyjaciółkę, która to załatwiła.

Przez chwilę się nad tym zastanawiałem.

— Jak nazywała się ta przyjaciółka?

— Niech mnie diabli, jeśli wiem. Słuchaj, chcesz walczyć z wiatrakami? Ja tylko podpisałem ten raport. I gównu mnie to teraz obchodzi. Mam swoją marną emeryturkę. Nic mi nie mogą zrobić. Taaak, pamiętam ten wypadek, w porządku? Przyjechałem na miejsce. Jej przyjaciółka, bogata dziewczyna, nie pamiętam nazwiska, zadzwoniła do kogoś na górze. Jeden z moich zwierzchników już tam był, parszywy drań, niejaki Reginald Stubbs, ale nie fatyguj się i nie dzwoń do niego, bo rak zżarł go trzy lata temu, Bogu dzięki. Zabrali ciało tej dziewczynki. Matkę zawieźli do szpitala. To wszystko, co wiem.

— Widziałeś tę dziewczynkę? — zapytałem. Podniósł oczy znad drinka.

— Powiedziałeś, że zabrali ciało tej dziewczynki. Widziałeś je?

— Rany boskie, było w worku! Jednak sądząc po kałuży krwi, nie było na co patrzeć, nawet gdybym zajrzał do środka.

15

Rano Teresę i ja pojechaliśmy do domu Karen Tower, podczas gdy Win spotkał się ze swoimi „radcami prawnymi”, żeby zająć się kwestiami prawnymi, takimi jak dostęp do akt wypadku oraz — ludzie, nawet nie chciałem o tym myśleć — ewentualna ekshumacja ciała Miriam.

Jechaliśmy czarną londyńską taksówką, co w porównaniu z usługami wszystkich innych taksówek na świecie jest jedną z czystych przyjemności tego życia. Teresę wyglądała zaskakująco dobrze i spokojnie. Powtórzyłem jej moją rozmowę z Nigelem Mandersonem w pubie.

— Sądzisz, że kobietą, która zadzwoniła, była Karen Tower?

— A któżby inny?

Kiwnęła głową, ale nie powiedziała nic więcej. Przez kilka minut jechaliśmy w milczeniu, po czym nachyliła się do kierowcy.

— Proszę nas wysadzić na następnym rogu — powiedziała.

Taksówkarz zrobił to. Ruszyła ulicą. Byłem w Londynie tylko kilka razy, więc nie znałem tej dzielnicy, ale wiedziałem, że Karen Tower tu nie mieszka. Teresę zatrzymała się na rogu. Słońce świeciło coraz mocniej. Ośloniła dłonią oczy. Czekałem.

— To tutaj zdarzył się ten wypadek — powiedziała Teresę.

Skrzyżowanie nie mogło wyglądać bardziej niepozornie.

— Nigdy tutaj nie wróciłem.

Nie widziałem żadnego powodu, żeby miała to robić, ale nic nie powiedziałem.

— Nadjechałem stamtąd. Za szybko. Jakaś ciężarówka zjechała na mój pas, o tam. — Pokazała. — Próbowałam ją ominąć, ale...

Rozejrzałem się, jakby po dziesięciu latach mógł pozostać jakiś trop, jakieś ślady hamowania czy coś. Nie było nic. Teresę ruszyła ulicą. Dogoniłem ją.

— Dom Karen. Cóż, teraz to chyba dom Ricka i Karen, prawda? Stoi przy rondzie po lewej.

— Jak chcesz to rozegrać?

— Co masz na myśli?

— Chcesz, żebym poszedł tam sam?

— Dlaczego?

— Może sam więcej z niej wyciągnę. Teresę pokręciła głową.

— Nie. Po prostu bądź przy mnie, dobrze?

— Jasne.

W domu przy Royal Crescent było już mnóstwo ludzi. Żałobnicy. Nie wziąłem tego pod uwagę, choć to było oczywiste. Rick Collins nie żył. Ludzie przychodzili pocieszyć wdowę i złożyć kondolencje. Teresę zawahała się u podnóża schodów, ale zaraz mocno złapała mnie za rękę. Kiedy weszliśmy do środka, poczułem, jak zeszywniała. Powiodłem wzrokiem za jej spojrzeniem i zobaczyłem psa zwiniętego na macie w pobliskim kącie. Bearded collie - wiedziałem, ponieważ Esperanza też ma takiego. Pies wyglądał na starego, zmęczonego i nie ruszał się. Teresę puściła moją rękę i pochyliła się, żeby go pogłaskać.

— Hej, mała — szepnęła. — To ja.

Suka nieznacznie poruszyła ogonem, jakby z ogromnym trudem. Reszta jej ciała pozostała nieruchoma. Teresę miała łzy w oczach.

— To Casey — wyjaśniła. — Kupiliśmy ją Miriam, kiedy skończyła pięć lat.

Suka zdołała unieść łeb. Polizała dłoń Teresę. Teresę nie podnosiła się z klęczek. Ślepie Casey były mlecznobiałe, zasnuwane kataraktą. Próbowwała podkulić nogi i wstać. Terese szepnęła coś do niej i znalazła wrażliwe miejsce za uszami. Suka wciąż obracała łeb, jakby chciała spojrzeć jej w oczy. Teresę przesunęła się, żeby jej to ułatwić. To była niezwykła chwila i czułem się jak intruz.

— Casey sypiała pod łóżkiem Miriam. Rozpłaszczala się i wpełzała pod nie, a potem odwracała tak, że tylko łeb jej wystawał. Jakby jej pilnowała.

Teresę pogłaskała sukę i zaczęła płakać. Stałem z boku, zastaniając je przed wzrokiem innych, dając im czas. Terese potrzebowała kilku minut, żeby się pozbierać. Potem znów wzięła mnie za rękę.

Poszliśmy do salonu. Około piętnastu osób stało w kolejce, żeby złożyć kondolencje.

Gdy tylko weszliśmy do pokoju, zaczęły się szepty i spojrzenia. Nie pomyślałem o tym, ale właśnie nieobecna od prawie dziesięciu lat była żona pojawiła się w domu aktualnej małżonki. Zapewne dobry powód do plotek.

Tłum się rozstał, przepuszczając kobietę w gustownym czarnym stroju — zapewne wdowę. Była ładna, drobna, o niemal lalkowatej urodzie i wielkich zielonych oczach. Miała coś z Tuesday Weld, cytując słowa piosenki Steely Dana. Nie wiedziałem, czego oczekiwać, lecz na widok Teresę jej oczy rozbłyły. Oczy Teresę również. Obie kobiety uśmiechnęły się smutno do siebie, uśmiechem, jaki posyła się komuś lubianemu, kogo wolałoby się spotkać w przyjemniejszych okolicznościach.

Karen wzięła Teresę w ramiona. Uściskały się, przez moment stojąc zupełnie nieruchomo. Zastanawiałem się, jak bardzo były zaprzyjaźnione, i doszedłem do wniosku, że bardzo.

Kiedy skończyły się obejmować, Karen ruchem głowy wskazała drogę i obie wyszły z salonu. Teresę chwyciła mnie za rękę, więc ja też poszedłem. Weszliśmy do pomieszczenia, które Anglicy zapewne nazywają bawialnią, i Karen zamknęła rozsuwane drzwi. Obie usiadły na kanapie, jakby robiły to tysiąc razy i miały na niej swoje miejsca. Swobodnie.

Teresę spojrzała na mnie.

— To jest Myron — powiedziała.

Wyciągnąłem rękę. Karen Tower uścisnęła ją swoją drobną dłonią.

— Przykro mi z powodu pani straty — powiedziałem.

— Dziękuję. — Karen znów zwróciła się do Teresę:

— Czy to twój...

— To skomplikowane — powiedziała Teresę. Karen skinęła głową.

Wskazałem kciukiem za siebie.

— Chcecie, żebym zaczekał w sąsiednim pokoju?

— Nie — odparła Teresę.

Zostałem. Nikt z nas nie wiedział, jak zacząć, ale to pewne jak diabli, że nie zamierzałem przejść inicjatywy. Czekałem, siląc się na stoicki spokój.

Karen od razu przeszła do rzeczy:

— Gdzie się podziewałaś, Teresę?

— Tu i tam.

— Brakowało mi cię.

— Mnie ciebie też.

Cisza.

— Chciałam się z tobą skontaktować — tłumaczyła Karen. — I wyjaśnić. To z Rickiem i ze mną.

— Nie miałoby to żadnego znaczenia — powiedziała Teresę.

— Rick też tak mówił. To stało się powoli. Nie było cię. Zaczęliśmy razem spędzać czas, przyjacielsko. Długo trwało, zanim stało to się czymś więcej.

— Nie musisz niczego wyjaśniać.

— Tak, chyba nie.

Nie próbowała przeproszać, szukać wybaczenia czy zrozumienia. Wydawało się, że obie dobrze się rozumieją.

— Przykro mi, że tak się to skończyło — powiedziała Teresę.

— Mamy syna, Matthew. Ma cztery lata.

— Słyszałam.

— Jak się dowiedziałas o morderstwie? — chciała wiedzieć Karen.

— Byłam w Paryżu.

Dopiero ta odpowiedź wywołała reakcję. Karen zamrugnęła i odrobinę zeszywniała.

— Byłaś tam przez cały czas?

— Nie.

— A więc chyba nie rozumiem...

— Rick do mnie zadzwonił.

— Kiedy?

Teresę opowiedziała jej o rozpaczliwym telefonie Ricka. Twarz Karen, już śmiertelnie blada, pobraźła jeszcze bardziej.

— Rick kazał ci przyjechać do Paryża?

— Tak.

— Czego chciał?

— Miałam nadzieję, że ty to wiesz — powiedziała Teresę.

Karen pokręciła głową.

— Ostatnio niewiele rozmawialiśmy. Przechodziliśmy bardzo trudny okres. Rick zamknął się w sobie. Miałam nadzieję, że to z powodu tego, że pracował nad jakąś dużą historią. Wiesz, jaki wtedy był. Teresę skinęła głową.

— Jak długo tak się zachowywał?

— Od trzech lub czterech miesięcy... od kiedy umarł jego ojciec.

Teresę zdrętwiała.

— Sam?

— Myślałam, że wiesz.

— Nie.

— Umarł w zimie, tak. Połknął całe opakowanie tabletek.

— Sam popełnił samobójstwo?

— Był chory, śmiertelnie. Ukrywał to przed nami, przynajmniej najgorsze. Rick nie wiedział, jak bardzo było źle. Domyślałam się, że pod koniec było już tak źle, że Sam postanowił przyspieszyć nieuniknione. Rick wpadł w apatię, ale potem zaczął jakieś nowe duże dochodzenie. Zniknął na całe tygodnie. Kiedy pytałam, gdzie był, warczał na mnie, a potem przeproszał, ale nie odpowiadał. Albo kłamał.

Teresę nadal usiłowała się pozbierać.

— Sam był takim miłym człowiekiem — powiedziała.

— Tak naprawdę nigdy dobrze go nie poznałam — wyznała Karen. — Odwiedziliśmy go tylko parę razy, a on był zbyt chory, żeby tu przyjeżdżać.

Teresę przełknęła ślinę i spróbowała wrócić do tematu: — Zatem Sam popełnił samobójstwo, a Rick pogrążył się w pracy.

— Coś w tym rodzaju, tak.

— I nie powiedział ci, czym się zajmuje?

— Nie.

— A pytałaś Maria?

— Nie chciał powiedzieć.

Nie spytałem, kim jest Mario. Założyłem, że Teresę wyjaśni mi to później. Teresę doszła do siebie i pytała dalej:

— Czy domyślasz się, nad czym pracował Rick? Karen spojrzała na nią przenikliwie.

— Jak dobrze się ukryłaś, Teresę?

— Bardzo dobrze.

— Może nad tym pracował? Próbował cię znaleźć.

— To nie zajęłoby mu tyle czasu.

— Jesteś pewna?

— A nawet gdyby, to dlaczego miałby to robić?

— Nie zamierzam być zazdrosną żoną, ale myślę, że coś takiego jak samobójstwo ojca może skłaniać do kwestionowania wyborów dokonanych w życiu.

Teresę się skrzywiła.

— Myślisz, że... — zaczęła. Karen wzruszyła ramionami.

— Nie ma mowy — orzekła Teresę. — I nawet jeśli sądzisz, że Rick próbował... sama nie wiem, odnaleźć mnie i namówić do powrotu, dlaczego miałby mi mówić, że to nagła sprawa?

Karen się zastanowiła.

— Gdzie byłaś, kiedy cię znalazł?

— W odludnym miejscu w północno-zachodniej Angoli.

— I kiedy powiedział, że to pilna sprawa, rzuciłaś wszystko i przyleciałaś, tak?

— Tak.

Karen rozłożyła ręce, jakby to wszystko wyjaśniało.

— On nie skłamałby, żeby ściągnąć mnie do Paryża, Karen.

Karen nie wyglądała na przekonaną. Była smutna, zanim tu przyszliśmy. Teraz wyglądała na przybitą. Teresę zerknęła na mnie. Skinąłem głową.

Czas trochę podnieść poprzeczkę.

— Musimy zapytać cię o ten wypadek — powiedziała Teresę.

Karen zareagowała na te słowa, jakby ktoś potraktował ją paralizatorem. Podniosła oczy, które teraz były nieobecne, roztargnione. Zastanawiałem się, czy rozumie, o jakim wypadku mówi Teresę. Najwyraźniej rozumiała.

— Co z nim?

— Byłaś tam. Na miejscu zderzenia.

Karen nie odpowiedziała.

— Byłaś?

— Tak.

Teresę wyglądała na lekko zaskoczoną tą odpowiedzią.

— Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

- A co miałam ci powiedzieć? Skreśl to. Kiedy miałam ci powiedzieć? Nigdy nie rozmawialiśmy o tamtej nocy. Nigdy. Wyszłaś ze śpiączki. Raczej nie mogłam powiedzieć: „Cześć, jak się czujesz, byłam na miejscu wypadku”.

— Opowiedz mi, co pamiętasz.

— Po co? Jaką to teraz robi różnicę?

— Powiedz.

— Kocham cię, Teresę. I zawsze będę.

Coś się zmieniło. Poznałem to po mowie jej ciała. Może lekko zeszywniała. Najlepsza przyjaciółka znika. Jej miejsce zajmuje rywalka.

— Ja też cię kocham.

— Chyba nie było dnia, żebym o tobie nie myślała. Jednak znikłaś. Miałaś swoje powody, swój ból i ja to rozumiem. Jednak znikłaś. Ułożyłam sobie życie z tym człowiekiem. Mieliśmy problemy, ale Rick był całym moim światem. Rozumiesz to?

— Oczywiście.

— Kochałam go. Był ojcem mojego syna. Matthew ma dopiero cztery latka. I ktoś zamordował jego ojca.

Teresę czekała.

— Tak więc jesteśmy w żałobie. Muszę sobie z tym radzić. Staram się poukładać jakoś życie i chronić dziecko. Dlatego przepraszam, ale nie będę rozmawiała o wypadku samochodowym sprzed dziesięciu lat. Nie dzisiaj.

Wstała. To wszystko miało sens, a jednak jej głos brzmiał dziwnie nieprzekonująco.

— Ja próbuję robić to samo — powiedziała Teresę.

— Co?

— Próbuję chronić moje dziecko.

Karen znów wyglądała jak potraktowana paralizatorem.

— O czym ty mówisz?

— Co się stało z Miriam? — zapytała Teresę.

Karen wbiła wzrok w jej twarz. Potem popatrzyła na mnie, jakby szukając odrobiny zdrowego rozsądku. Nie odwróciłem oczu.

— Widziałaś ją tamtej nocy?

Jednak Karen Tower nie odpowiedziała. Otworzyła rozsuwane drzwi i znikła w tłumie żałobników.

16

Kiedy Karen opuściła bawialnię, podszedłem do biurka.

— Co robisz?

— Węszę — odparłem.

Biurko było z ciemnego mahoni, a złoty otwieracz do listów pełnił jednocześnie rolę lupy. Rozcięte koperty stały pionowo w zabytkowych uchwytach. Nie byłem dumny z tego, co robię, ale też niespecjalnie zawstydzony. Wyjąłem palmpfon Black-Berry. Ten, który dał mi Win, miał wbudowany bardzo dobry aparat fotograficzny. Zacząłem otwierać listy i robić zdjęcia.

Znalazłem wyciąg operacji dokonanych za pomocą karty kredytowej. Nie miałem czasu przeglądać wszystkich, ale wszystko, czego potrzebowałem, to numery kont. Były tam rachunki za telefon (te mnie interesowały) i za energię elektryczną (te nie). Otworzyłem szuflady i zacząłem przeglądać ich zawartość.

— Czego szukasz? — chciała wiedzieć Teresę.

— Koperty z napisem GORĄCY TROP.

Oczywiście, liczyłem na cud. Coś związanego z Miriam. Może zdjęcia? Tymczasem miałem rachunki, wyciągi bankowe i numery telefonów. Powinniśmy wydobyć z tego jakieś informacje. Miałem nadzieję., że znajdę terminarz, ale go nie było.

Natrafiałem na kilka zdjęć, zapewne Ricka, Karen i ich syna, Matthew.

— Czy to Rick? — zapytałem.

Teresę kiwnęła głową.

Nie wiedziałem, co o nim myśleć. Miał wydatny nos, niebieskie oczy oraz jasnoszare włosy, lokujące się gdzieś pomiędzy kręconymi a zmierzwionymi. Człowiek nie może się powstrzymać — widzi eksmęża i go ocenia. Zacząłem to robić i kazałem sobie przestać. Odłożyłem zdjęcia na miejsce i szukałem dalej. Nie znalazłem innych fotografii. Żadnej jasnowłosej córki, której istnienie ukrywał latami. Żadnego starego zdjęcia Teresę.

Odwrociłem się i zobaczyłem laptop stojący na kredensie.

— Jak myślisz, ile mamy czasu? — spytałem.

— Stanę na straży przy drzwiach.

Włączyłem macbooka, Odpalił w kilka sekund. Kliknąłem ikonkę iCal na dole. Pojawił się jego notatnik. Przez ostatni miesiąc nic. Po prawej widniała tylko jedna notatka w okienku „do zrobienia”:

OPAL HHK

4714

168

Nie miałem pojęcia, co to oznacza, ale priorytet oznaczono jako „wysoki”.

— Co masz? — spytała Teresę.

Przeczytałem jej notatkę i zapytałem czy wie, co oznacza. Nie wiedziała. Czas uciekał. Zastanawiałem się, czy przesłać Esperanzie pocztą elektroniczną zawartość iCal, ale to mogło zostać zauważone. Choć właściwie, co z tego? Win, oczywiście, miał kilka anonimowych kont pocztowych. Przesłałem mu kopie kalendarza i książki adresowej. Potem wszedłem do „wysłanych” i skasowałem zapis, żeby nikt się nie zorientował.

Czy nie jestem sprytny?

Oto grzebałem w rzeczach człowieka, który niedawno został zamordowany, podczas gdy wdowa po nim i jego syn opłakiwali go w sąsiednim pokoju. Czuję się jak prawdziwy bohater. Może wychodząc, powinienem jeszcze kopnąć starą Casey.

— Kim jest ten Mario, o którym rozmawialiście? — zapytałem.

— Mario Contuzzi. To najlepszy przyjaciel Ricka i asystent producenta. Zawsze pracowali razem.

Poszukałem nazwiska w książce adresowej. Było. Wpisałem do mojego palmofonu numer jego telefonu domowego i komórkowego.

Znowu byłem sprytny.

— Czy wiesz, gdzie jest Wilsham Street? — spytałem.

— Niedaleko stąd. Czy Mario wciąż tam mieszka? Skinąłem głową i wybrałem numer telefonu domowego.

Usłyszałem głos mówiący z amerykańskim akcentem:

— Halo?

Rozłączyłem się.

— Jest w domu — powiedziałem.

Mam nadzieję, że detektywi amatorzy robią notatki.

— Powinniśmy się tam przejść.

Pospiesznie otworzyłem iPhoto. Znalazłem mnóstwo zdjęć, ale żadnego interesującego. Nie mogłem przesłać ich wszystkich. Trwałoby to wieki. Zdjęcia były zwyczajne, czyli rozczulające. Karen wyglądała na szczęśliwą ze swoim mężczyzną. Rick też wyglądał na szczęśliwego. Ich twarze promieniały, gdy trzymali syna. IPhoto ma opcję pozwalającą po najechaniu kursorem włączyć szybki pokaz zdjęć. Obejrzałem „Narodziny Matthew!”, „Pierwsze urodziny” i kilka innych. Znowu rozczulająco normalne.

Zatrzymałem się przy niedawnym pokazie opisanym jako „Finałowy mecz piłki nożnej taty”, Rick i Matthew byli w identycznych strojach piłkarskich drużyny Manchester United. Rick z szerokim uśmiechem przytulał chłopca. Ociekał potem. Niemal było widać, jak ciężko dyszy i jak się z tego cieszy. Czteroletni Matthew tulił się do niego w stroju bramkarza — za dużych rękawiczkach i z usmarowaną na czarno twarzą — starając się wyglądać dorośle. Pomyślałem, że ten dzieciak będzie się teraz chował bez tego uśmiechniętego ojca, pomyślałem o Jacku, który też wychowywał się bez ojca — oraz o moim ojcu, jak bardzo go kocham i wciąż potrzebuję, a potem zamknąłem plik.

Bez pożegnania przemknęliśmy się do frontowych drzwi. Obejrzałem się przez ramię i zauważyłem małego Matthew siedzącego w kącie na krześle. Miał na sobie czarny garnitur.

Czterolatkom nie pasują czarne garnitury. Czterolatki powinny nosić stroje bramkarzy i przytulać się do tatusiów.

Mario Conruzzi otworzył drzwi, nie pytając, kto tam. Był chudy, żylasty i przypominał wyżła weimarskiego. Zwrócił wąską twarz w kierunku Teresę.

— Masz tupet.

— Ja też się cieszę, że cię widzę, Mario.

— Właśnie zadzwonił do mnie znajomy od Karen. Mówił, że wpadłaś niezapowiedziana. To prawda?

— Tak.

— Co ci przyszło do głowy? — Mario gwałtownie odwrócił głowę w moją stronę. — I po co przyprowadziłaś tego dupka?

— Czy my się znamy? — zapytałem.

Mario nosił okulary w rogowych oprawkach, które zawsze uważałem za zbyt ostentacyjne. Miał na sobie spodnie od dresu i niedopiętą białą koszulę.

— Nie mam na to czasu. Idźcie stąd, proszę.

— Musimy porozmawiać — powiedziała Teresę.

— Za późno.

— A co to ma znaczyć?

Rozłożył ręce.

— Opuściłaś go, Teresę, pamiętasz? Może miałaś swoje powody. I dobrze. Twój wybór. Jednak opuściłaś go, a teraz, kiedy w końcu nie żyje, chcesz sobie pogadać? Zapomnij o tym. Nie mam ci nic do powiedzenia.

— To było dawno.

— Właśnie o tym mówię. Rick czekał na twój powrót. Wiedziałaś o tym? Czekał dwa lata. Tak, byłaś rozbita i przygnębiona, wszyscy to rozumieliśmy, ale to cię nie powstrzymało od sypiania z tym tutaj panem Koszykówką.

Wskazał mnie kciukiem. Zostałem panem Koszykówką.

— Rick o tym wiedział? — zdziwiła się Teresę.

— Oczywiście. Pomyśleliśmy, że jesteś załamana, wrażliwa. Mieliśmy cię na oku. Myślę, że Rick miał nadzieję, że wrócisz. Zamiast tego poleciałaś na jakąś wysepkę, żeby urządzić sobie orgię z Koszowym Łbem.

Znów wskazał mnie kciukiem. Teraz byłem Koszowym Łbem.

— Śledziliście mnie? — spytała Teresę.

— Mieliśmy cię na oku, tak.

— Jak długo?

Nie odpowiedział. Nagle musiał odwinąć rękaw koszuli.

— Jak długo, Mario?

— Zawsze wiedzieliśmy, gdzie jesteś. Nie mówię, że wciąż o tym rozmawialiśmy i przez ostatnie sześć lat byłaś w ośrodku pomocy dla uchodźców, więc nie sprawdzaliśmy przez cały czas. Jednak wiedzieliśmy. To dlatego jestem zdziwiony, widząc cię tu znowu z tym Superklaunem. Myśleliśmy, że rzuciłaś tego mięśniaka wiele lat temu.

Po raz kolejny wskazał mnie kciukiem.

— Mario? — powiedziałem. Spojrzał na mnie.

— Jeszcze raz wskaż mnie kciukiem, a wepchnę ci go w odbył.

— Pogróżki jak z sali gimnastycznej — rzekł z drwiącym uśmiechem na wąskiej twarzy. — Czuję się, jakbym wrócił do liceum.

Miałem ochotę sprawić, żeby naprawdę tak się poczuł, ale uznałem, że to nam nie pomoże.

— Mamy do ciebie kilka pytań — powiedziałem.

— A ja mam na nie odpowiedzieć? Nie kapujesz, prawda? Ona była żoną mojego najlepszego przyjaciela, a potem gziła się z tobą na jakiejś bezludnej wyspie. Wiesz, jak on się czuł?

— Źle? — spytałem z nadzieją w głosie.

To go przyhamowało. Odwrócił się do Teresę.

— Posłuchaj, nie chcę wyjść na zawziętego osła, ale nie powinno cię tu być. Rick i Karen byli dobraną parą. Ty zrezygnowałaś z tego dawno temu.

Spojrzałem na Teresę. Bardzo starała się trzymać.

— Obwinił mnie? — zapytała.

— O co?

Nie odpowiedziała.

Ramiona Maria opadły — zakładałem, że jego gniew też.

— Nie, Teresę, nigdy cię nie winił — powiedział łagodniej. — Nie za to wszystko. Ja chyba miałem ci za złe to, że go opuściłaś... a to przecież nie moja sprawa. Jednak on nigdy cię nie winił, ani przez chwilę.

Teresę milczała.

— Muszę się ubrać — rzekł Mario. — Pomagam Karen w przygotowaniach. Jakby było do czego. Co za głupie słowo.

Teresę nadal była trochę oszołomiona, więc przejąłem pałeczkę.

— Czy masz jakieś podejrzenia, kto mógł go zabić?

— A ty co, Bolitar, jesteś teraz gliniarzem?

— Byliśmy w Paryżu, kiedy został zabity — wyjaśniłem. Odwrócił się do Teresę.

— Widziałaś się z Rickiem?

— Nie miałam okazji.

— Ale dzwonił po ciebie?

— Tak.

— Niech to szlag.

Mario zamknął oczy. Wciąż nie zaprosił nas do środka, ale po prostu wepchnąłem się w drzwi, zmuszając go, by się cofnął. Oczekiwałem kawalerskiego mieszkanka — sam nie wiem dlaczego — ale na podłodze leżały zabawki, a w kącie stał składany kojec. Na szafce kuchennej zauważyłem puste butelki.

— Ożeniłem się z Ginny — powiedział do Teresę. — Pamiętasz ją?

— Oczywiście. Cieszę się, że jesteś szczęśliwy, Mario. Zamilkł na moment, znów oceniając sytuację, uspokajając się.

— Mamy troje dzieci. Wciąż mówimy o kupnie większego mieszkania, ale lubimy to. A domy w Londynie są potwornie drogie. — Staliśmy przy drzwiach. — A więc Rick dzwonił do ciebie.

— Tak.

Pokręcił głową.

Przerwałem milczenie:

— Czy był ktoś, kto chciał zabić Ricka?

— Rick był jednym z najlepszych reporterów śledczych na świecie. Wkurzył mnóstwo ludzi.

— Kogoś szczególnie?

— Raczej nie, nie. Wciąż nie wiem, co to ma wspólnego z wami. Chciałem mu wyjaśnić, ale wiedziałem, że nie mamy na to czasu.

- Możesz nas jeszcze uszczęśliwić przez kilka minut?
- Uszczęśliwić? Uważasz, że to zabawne?
- Proszę, Mario — powiedziała Teresę. — To ważne.
- Ponieważ ty tak twierdzisz?
- Znasz mnie. Wiesz, że jeśli pytam, to mam dobry powód.
Zastanowił się.
- Mario?
- Co chcesz wiedzieć?
- Nad czym pracował Rick? — zapytała Teresę. Odwrócił wzrok, przygryzając dolną wargę.
- Przed kilkoma miesiącami zaczął się przyglądać organizacji dobroczynnej „Ratuj Aniołki”.
- I co odkrył?
- Naprawdę nie wiem. Zaczęli działalność jako ugrupowanie katolickie, typowa grupa walcząca o prawo do życia poczętych, protestująca przeciwko klinikom aborcyjnym, Towarzystwu Świadomego Macierzyństwa, badaniom nad klonowaniem i tak dalej. Jednak odeszli od tego. Rick obsesyjnie pragnął dowiedzieć się o nich wszystkiego.
- I co znalazł?
- Moim zdaniem niewiele. Ich źródła finansowania wyglądały trochę dziwnie. Nie mogliśmy ich wyśledzić. Zasadniczo byli przeciw aborcji i klonowaniu, a za adopcją. Prawdę mówiąc, uważałem, że to bardzo rozsądna grupa. Nie chcę tu wszczynać sporu i wytaczać argumentów za ochroną życia przeciwko wolności wyboru, ale sądzę, że obie strony się zgodzą, iż adopcja jest rozsądną alternatywą. Oni najwidoczniej poszli w tym kierunku. Zamiast obrzucać kliniki bombami zapalającymi, „Ratuj Aniołki” zajmowała się adopcją dzieci urodzonych w wyniku niepożądanych ciąż.
- I Rick się nimi interesował?
- Tak.
- Dlaczego?
- Nie wiem.
- Dlaczego zaczął im się przyglądać?
- Tego też nie jestem pewien.
Zakończył to zdanie nieco ciszej.
- Jednak coś podejrzewasz.
- To się zaczęło, kiedy wrócił do domu po śmierci ojca. — Mario zwrócił się do Teresę: — Wiesz o Samie?
- Karen mi powiedziała.
- Samobójstwo.
- Był chory? Mario skinął głową.
- Choroba Huntingtona.
Teresę wyglądała na wstrząśniętą.
- Sam miał chorobę Huntingtona?
- Zdziwiona, co? Chyba to ukrywał, ale kiedy zrobiło się źle... no cóż... nie chciał przez to przechodzić. Wybrał łatwiejsze wyjście.
- Jednak... jak... Nic nie wiedziałam.
- Tak samo jak Rick. I Sam, skoro o tym mowa, aż do końca.
- Jak to możliwe?
- Wiesz coś o chorobie Huntingtona? — spytał Mario.
Kiwnęła głową.

— Robiłam o tym reportaż. Jest dziedziczna. Musi ją mieć jedno z rodziców. Jeśli ją ma, masz jedną szansę na dwie, że wystąpi u ciebie.

— Właśnie. Teoretycznie miał ją ojciec Sama, a dziadek Ricka, ale zginął w Normandii, zanim choroba dała o sobie znać. Dlatego Sam nic nie wiedział.

— Czy Rick robił badania? — spytała Teresę.

— Nie wiem. Nawet nie powiedział Karen wszystkiego, tylko to, że jego ojciec właśnie odkrył, że jest śmiertelnie chory. W każdym razie przez pewien czas nie wyjeżdżał z USA. Myślę, że porządkował rzeczy ojca i sprzedawał dom. To wtedy natknął się na tę organizację dobroczynną „Ratuj Aniołki”.

— Jak?

— Nie mam pojęcia.

— Mówiłeś, że są przeciwni klonowaniu. Czy to miało jakiś związek z chorobą Huntingtona?

— Możliwe, lecz Rick głównie kazał mi sprawdzać ich finanse. Idź śladem pieniędzy. To stara zasada. Rick chciał wiedzieć wszystko o tym i o członkach tej organizacji, a potem kazał mi zostawić ten temat.

— Zrezygnował?

— Nie. Tylko kazał mi przestać się tym zajmować. On nie przestał. Tylko ja.

— Czy wiesz dlaczego?

— Niezupełnie. Przyszedł, zabrał wszystkie materiały i powiedział coś bardzo dziwnego. — Mario najpierw spojrzał na Teresę, a potem znów na mnie. — Powiedział: „Musisz uważać, masz rodzinę”.

Czekaliśmy.

— Ja oczywiście powiedziałem: „Ty też”. On jednak tylko pokręcił głową. Widziałem, że był bardzo zdenerwowany. Teresę, ty wiesz, jaki on był. Niczego się nie bał.

Skinęła głową.

— Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, też był zdenerwowany.

— Próbowałem go przekonać, żeby się przede mną otworzył. Nie chciał. Wybiegł i już więcej nie miałem od niego wiadomości. Żadnych. Aż do dziś.

— Nie domyślasz się, gdzie mogą być te materiały?

— Zwykle trzymał kopie w swoim biurze.

— Może pomogłoby nam, gdybyśmy mogli je zobaczyć. Mario tylko na nią spojrzał.

— Proszę, Mario. Wiesz, że nie prosiłabym, gdyby to nie było ważne.

Wciąż był rozgniewany, ale zaczynał rozumieć.

— Poszukam ich jutro z samego rana, dobrze? Spojrzałem na Teresę. Nie wiedziałem, czy przyciskać go mocniej. Wydawało się, że ten facet znał Ricka Collinsa równie dobrze, jak każdy inny. Decyzja należała do niej.

— Czy Rick ostatnio często mówił o Miriam? — zapytała.

Mario podniósł głowę. Zastanawiał się i oczekiwałem wyczerpującej odpowiedzi. On jednak tylko zaprzeczył. Czekaliśmy, aż powie coś więcej. Nie powiedział.

— Sądzę, że być może Miriam nadal żyje — powiedziała Teresę.

Jeśli Mario Contuzzi coś o tym wiedział, to musiał być psychopatą. Nie twierdzą, że ludzie nie potrafią kłamać i udawać tak, że zwiodą każdego. Zbyt wiele razy widziałem to w wykonaniu istnych artystów. A ci robią to albo wmawiając sobie, że kłamstwo jest prawdą, albo dzięki temu, że są prawdziwymi psychopatami. Jeśli Mario podejrzewał, że Miriam żyje, to zaliczał się do jednej z tych dwóch grup.

Zrobił taką minę, jakby nie dosłyszał. W jego głosie znów pojawił się gniewny ton.

— O czym ty mówisz?

Jednak powiedzenie tego na głos wyczerpało siły Teresę. Starając się nie wyjść na wariata, powiedziałem mu o smudze krwi i jasnych włosach. Nie mówiłem mu o tym, że widziałem ją na filmie, ani o innych sprawach. I tak trudno było w to uwierzyć. Najlepiej przedstawić tylko naukowe dowody — wynik badania DNA — a nie oparte na mojej intuicji i na tym, jak poruszała się na ziarnistym filmie z kamery na lotnisku.

Mario przez długą chwilę się nie odzywał.

— Wynik analizy krwi mógł być błędny — rzekł w końcu.

Oboje milczeliśmy.

— Albo... czekajcie, oni myślą, że zabiliście Ricka, tak?

— Początkowo sądzili, że Teresę brała w tym udział, tak.

— A co z tobą, Bolitar?

— Kiedy został zamordowany, byłem w New Jersey.

— A więc myślą, że zrobiła to Teresę, mam rację?

— Tak.

— Wiecie, jacy są policjanci. Prowadzą te swoje gierki. A czy jest lepsza zagrywka od tej: powiedzieć, że twoja zmarła córka może jeszcze żyje?

Teraz ja się skrzywiłem.

— I jak niby ma to pomóc wsadzić ją za morderstwo?

— A skąd ja mam to wiedzieć? Jednak mówię, daj spokój, Teresę. Wiem, że tego chcesz. Do licha, ja też. Tylko jak to mogłoby być możliwe?

— Jeśli wyeliminować niemożliwe, to co zostaje, obojętnie jak nieprawdopodobne, musi być prawdą — przypomniałem.

— Sir Arthur Conan Doyle — rzekł Mario.

— Taaa.

— Jesteś gotowy posunąć się tak daleko, Bolitar?

— Tak daleko, jak będzie trzeba.

17

— Muszą pójść na grób Miriam — powiedziała Teresę, kiedy znaleźliśmy się przecnicę dalej.

Złapaliśmy drugą wygodną taksówkę i jechaliśmy w milczeniu. Gdy dotarliśmy do ogrodzonego cmentarza, zatrzymaliśmy się przy bramie. Cmentarze zawsze mają ogrodzenie i bramę. Czego się w ten sposób strzeże? — Chcesz, żebym tu zaczekał? — zapytałem.

— Tak.

Zostałem przed bramą, jakbym bał się wkroczyć na świętą ziemię. I w pewnym sensie tak było. Ze względów bezpieczeństwa obserwowałem Teresę, ale kiedy uklękała, odwróciłem się i zacząłem spacerować. Myślałem o tym, co musi teraz przychodzić jej do głowy, jakie obrazy przelatują jej przed oczami. Zapewniam was, że nie był to dobry pomysł, więc zadzwoniłem do Esperanzy, do Nowego Jorku.

Odebrała po szóstym sygnale.

— Jest coś takiego jak strefy czasowe, głupku. Spojrzałem na zegarek. W Nowym Jorku była teraz piąta rano.

— Ups — jęknąłem.

— Co nowego?

Zdecydowałem wypalić z grubej rury. Powiedziałem Esperanzy o wyniku badania DNA i jasnowłosej dziewczynie.

— Czy to jej córka?

— Najwidoczniej.

— To cholernie zagmatwana sprawa — orzekła Esperanza.

— Jest.

— Czego więc chcesz ode mnie?

— Zrobiłem masę zdjęć: wydruków operacji bankowych, rachunków telefonicznych i rym podobnych, i wysłałem ci je pocztą elektroniczną. Och, jest jeszcze jakaś dziwna wzmianka o opalach lub czymś takim w zakładce „do zrobienia”.

— Opale jak kamienie szlachetne?

— Nie mam pojęcia. Może to szyfr.

— Jestem do niczego, jeśli chodzi o szyfry.

— Ja też, ale może na coś wpadniesz. W każdym razie spróbujmy dojść do tego, czym zajmował się Rick Collins. Ponadto jego ojciec popełnił samobójstwo. — Podałem jej nazwisko i miejsce. — Może powinniśmy to sprawdzić.

— Samobójstwo?

— Tak.

— Co tu jest do sprawdzania?

— Czy nie było czegoś podejrzanego, sam nie wiem.

Cisza. Znowu zacząłem iść.

- Esperanza?
- Lubię ją.
- Kogo?
- Margaret Thatcher. A o kim rozmawiamy? Teresę, czubku. A znasz mnie. Nienawidzę wszystkich twoich dziewczyn.
Zastanowiłem się nad tym.
- Lubisz Ali — przypomniałem.
- Tak. To dobra osoba.
- Czyżbym słyszał jakieś ale?
- Ale nie dla ciebie,
- Dlaczego?
- Brak czegoś nieuchwytnego — powiedziała.
- Co to oznacza?
- A co czyniło cię wybitnym sportowcem? Nie dobrym. Mówię o poziomie zawodowym, o reprezentacji kraju i tym wszystkim.
- Umiejętności, ciężka praca, geny...
- Wielu facetów je ma. Jednak to, co cię wyróżnia, co odróżnia wybitnych od dobrych, to coś nieuchwytnego.
- A Ali i mnie?
- Brak czegoś nieuchwytnego.
W tle usłyszałem płacz dziecka. Synek Esperanzy, Hector, ma osiemnaście miesięcy.
- Jeszcze nie przesypia całej nocy — wyjaśniła Esperanza — więc możesz sobie wyobrazić, jaka jestem uradowana twoim telefonem.
- Przepraszam.
- Zajmę się tym. Uważaj na siebie. Powiedz Teresę, żeby się nie poddawała. Rozgryziemy to.
Rozłączyła się. Popatrzyłem na telefon. Zwykle Win i Esperanza nienawidzą, kiedy wplątuje się w takie historie. Nagle przestali mieć coś przeciwko temu. Ciekawe dlaczego?
- Po drugiej stronie ulicy beztrąsko przechadzał się jakiś mężczyzna w ciemnych okularach, czarnych wysokich trampkach Chucka Taylora i zielonym podkoszulku. Włączyły się moje zmysły Spidermana. Włosy miał krótko obcięte i ciemne. I oliwkową cerę, jaką przypisujemy Żydom, a jaką często widuję u Latynosów, Arabów, Greków albo — do licha — Włochów.
- Skręcił za róg i znikł. Czekałem, czy znów się pojawi, Nie pojawił się. Rozejrzałem się, czy na scenę wkroczył ktoś nowy. Obok przeszło kilka osób, ale żadna z nich nie włączyła moich zmysłów Spidermana. Kiedy Teresę wróciła, miała suche oczy.
- Złapiemy taksówkę? — zapytała.
- Znasz tę okolicę?
- Tak.
- Czy jest tu w pobliżu stacja metra?
- Niemal usłyszałem głos Wina, mówiący: „W Londynie, Myronie, nazywamy je *tubę* lub *underground*”. Skinęła głową. Minęliśmy dwie przecznice. Prowadziła.
- Wiem, że to zabrzmiało jak najgłupsze pytanie znane ludzkości — zacząłem — ale czy dobrze się czujesz?
- Teresę znów skinęła głową.
- Czy wierzysz w nadprzyrodzone? — zapytała po chwili.
- Czyli?
- Zjawy, duchy, parapsychologię, tym podobne rzeczy.
- Nie. A ty?

Nie odpowiedziała wprost.

— Dopiero drugi raz byłam na grobie Miriam — wyznała.

Wetknąłem moją kartę kredytową do automatu sprzedającego bilety i pozwoliłem Teresę powciskać właściwe guziki.

— Nienawidzę tu być. Nie dlatego, że robi mi się smutno. Dlatego, że nic nie czuję. Można by sądzić, że cały ten żal, wszystkie przelane tu łzy... Czy zastanawiałeś się kiedyś nad tym na cmentarzu? Ile ludzi tu płakało. Ile osób pożegnało na zawsze swoich ukochanych. Można pomyśleć... sama nie wiem... że całe to ludzkie cierpienie będzie niczym wir elementarnych cząstek tworzących jakieś negatywne kosmiczne wrażenie. Może mrowienie w kościach, zimny dreszcz przechodzący po karku czy plecach, cokolwiek.

— Jednak ty tego nie czujesz — powiedziałem.

— Nigdy. Cała koncepcja grzebania zmarłych i umieszczania kamiennego znaku na miejscu pochówku... to marnowanie miejsca, jakiś relikw z epoki przesądów.

— Mimo to chciałaś tu dziś wrócić — zauważyłem.

— Nie po to, by się modlić.

— A po co?

— To zabrzmiało głupio.

— Nie krępuj się.

— Chciałam tu wrócić, żeby sprawdzić, czy może coś się zmieniło przez tych dziesięć lat. Zobaczyć, czy może tym razem coś poczuję.

— To wcale nie brzmi głupio.

— Nie chodzi o takie czucie. Źle to ujęłam. Myślałam, że powrót tutaj może nam pomóc.

— W jaki sposób?

Teresę nie zwolniła kroku.

— W tym rzecz. Pomyślałam...

Urwała i przełknęła ślinę.

— No co? — naciskałem. Zamrugła w jasnym słońcu.

— Ja też nie wierzę w nadprzyrodzone, ale wiesz, w co wierzę?

Pokręciłem głową.

— Wierzę w więź macierzyńską. Nie wiem, jak inaczej to powiedzieć. Jestem jej matką. To najsilniejsza więź znana ludziom, prawda? Matczyna miłość przebija wszystko, więc powinnam coś czuć, tak czy inaczej. Stojąc nad grobem mojej córki powinnam wiedzieć, czy ona żyje, czy nie. Wiesz, o czym mówię?

Cisnęły mi się na usta pocieszające banały typu „Skąd miałabyś wiedzieć?” albo „Nie zadręczaj się tym”, ale w porę ugryzłem się w język. Mam syna. Jest już dorosły i służy drugą turę za morzem — tym razem w Kabulu. Martwię się o niego przez cały czas — i chociaż w to nie wierzę, jestem przekonany, że wiedziałbym, gdyby przydarzyło mu się coś złego. Poczuję lub wyobraziłbym sobie chłód rozchodzący się w mojej piersi albo podobny nonsens.

— Wiem, co chcesz powiedzieć — zapewniłem. Zjeźdzaliśmy ruchomymi schodami. Wydawało się, że nie mają końca. Zerknąłem przez ramię. Ani śladu trampkarza w okularach.

— I co teraz? — spytała Teresę.

— Pójdziemy do hotelu. Zacznesz przeglądać to, co znaleźliśmy u Karen. Pomyśl o tym szyfrze z opalem, może do czegoś dojdiesz. Esperanza prześle ci e-mailem wszystko, co znajdzie. Ostatnio coś przydarzyło się Rickowi — coś, co zmieniło jego życie i kazało skontaktować się z tobą. Najlepsze, co teraz można zrobić, to odkryć, kto go zabił, dlaczego i

nad czym pracował przez kilka ostatnich miesięcy. Musisz przejrzeć jego papiery i zobaczyć, czy coś rzuci ci się w oczy.

- Co sądzisz o naszej rozmowie z Karen? — chciała wiedzieć Teresę.
- Byłyście bliskimi przyjaciółkami, prawda?
- Tak, bardzo.
- Zatem ujmę to uprzejmie: nie sądzę, by Karen była szczerą. A ty?
- Jeszcze przedwczoraj powiedziałabym, że powierzyłabym jej moje życie. Masz jednak rację. Kłamała w jakiejś sprawie.
- Domyślasz się w jakiej?
- Nie.
- Może cofnijmy się w czasie i spróbujmy z innej strony. Opowiedz mi wszystko, co wiesz o tym wypadku.
- Myślisz, że coś ukrywam?
- Oczywiście, że nie. Jednak teraz, kiedy słyszałaś już wszystkie nowiny, zastanawiam się, czy coś związanego z tamtą nocą nie wydaje ci się inne.
- Nie, nic. — Spojrzała przez okno, lecz tam były tylko rozmazane ściany tunelu. — Przez ostatnie dziesięć lat próbowałam o tym zapomnieć.
- Rozumiem.
- Nie rozumiesz. Przez dziesięć ostatnich lat codziennie odtwarzałam w myślach wydarzenia tamtej nocy.
Nic nie powiedziałam.
- Rozpatrywałam je pod każdym możliwym kątem. Rozważałam wszystkie „gdyby”: gdybym jechała wolniej, wybrała inną trasę, zostawiła małą w domu, nie była taka cholernie ambitna, wszystko. Nie ma niczego więcej, co mogłabym sobie przypomnieć.
Wysiedliśmy i ruszyliśmy w kierunku wyjścia. Gdy weszliśmy do holu, mój telefon komórkowy zaczął wibrować. Win przysłał następujący tekst:

**ZAPROWADŹ TERESĘ DO APARTAMENTU,
A POTEM IDŹ DO POKOJU 118.
SAM.**

Dwie sekundy później Win dodał:

**PROSZĘ POWSTRZYMAJ SIĘ OD PISEMNEJ ODPOWIEDZI Z JAKĄŚ CIĘTĄ, LECZ
HOMOFOBICZNĄ UWAGĄ ODNOŚNIE SŁOWA „SAM”.**

Win jest jedyną znaną mi osobą bardziej wylewną na piśmie niż w życiu. Zaprowadziłem Teresę do apartamentu. Był tam laptop z dostępem do Internetu. Wskazałem go.

- Może mogłabyś zacząć od sprawdzenia tej organizacji charytatywnej „Ratuj Aniołki”.
- Dokąd idziesz?
- Na dół. Win chce ze mną porozmawiać.
- Ja nie mogę iść?
- Kazał mi przyjść samemu.
- Nie wiem, czy podoba mi się ten pomysł — powiedziała Teresę.
- Ja też, ale przekonałem się, że lepiej go nie wypytywać.
- Jak bardzo jest szalony?

- Win jest normalny. Tylko przesadnie racjonalny. Dla niego wszystko jest czarne albo białe.
- I dodałem: — Jest facetem, który uważa, że cel uświęca środki.
- Te jego środki są czasem niezwykle ekstremalne — mruknęła.
- Tak.
- Zauważyłam to wtedy, kiedy pomagałam ci znaleźć dawcę.
Nic nie powiedziałem.
- Win chyba nie próbuje oszczędzać moich uczuć?
- Win i oszczędzanie kobiecych uczuć! — Zilustrowałem to wymownym gestem. — Nie sądzę, żeby o to chodziło,
- Lepiej idź.
- Taaa...
- Powiesz mi, co się dzieje?
- Zapewne nie. Jeśli Win chce coś przed tobą ukryć, to chce jak najlepiej. Chyba trzeba mu zaufać.
Skinęła głowa i wstała.
- Pójdę się wykąpać i włączę Internet.
- W porządku.
Ruszyła do sypialni. Podeszedłem do drzwi.
- Myronie?
Odwróciłem się. Stała, patrząc mi w twarz. Była piękna, wrażliwa i silna i stała, jakby szykowała się na przyjęcie ciosu, a ja chciałem doskoczyć i ją osłonić.
- Co? — spytałem.
- Kocham cię — powiedziała Teresę. Powiedziała to tak po prostu. Patrząc mi w twarz, piękna, wrażliwa i silna. Coś w mojej piersi uniosło się i poleciało. Stałem, zastygły, na moment zapomniawszy języka w gębie. — Wiem, że to nieodpowiednia chwila i nie chcę, żeby to przeszkadzało nam w tym, co teraz robimy. Jednak tak czy inaczej, czy Miriam żyje, czy to tylko jakiś koszmarny żart, chcę, żebyś wiedział: kocham cię. I kiedy to się skończy, obojętnie jak, ponad wszystko chcę, żebyśmy spróbowali być razem. Otworzyłem usta, zamknąłem je i znów otworzyłem.
- Ja tak jakby jestem z kimś.
- Wiem. To chwila nieodpowiednia do kwadratu. Nie szkodzi. Jeśli ją kochasz, to trudno. Jeśli nie, jestem tutaj.
Nie czekała na odpowiedź. Odwróciła się, otworzyła drzwi sypialni i znikła.

18

Powlokłem się do windy.

Jak to było w tej piosence Snow Patrol sprzed paru lat?

Te trzy słowa mówią tak wiele, lecz nie wystarczą.

Bzdura. Wystarczają.

Pomyślałem o Ali w Arizonie. O Teresę stojącej tam i mówiącej, że mnie kocha. Teresę zapewne miała rację — najlepiej nie pozwolić, żeby nam to przeszkadzało. Jednak fakt pozostawał faktem. I nie dawał mi spokoju.

W pokoju sto osiemnaście zasłony były zaciągnięte.

Wyciągnąłem rękę do włącznika, ale rozmyśliłem się. Win siedział w miękkim fotelu. Słyszałem dzwonienie lodu w drinku, który pił. Wydawało się, że alkohol w ogóle na niego nie działa, ale było jeszcze bardzo wcześnie.

Usiadłem naprzeciwko niego. Przyjaźnimy się od bardzo dawna. Poznaliśmy się jako studenci college'u na Duke University. Pamiętam, jak zobaczyłem jego fotografię w albumie pierwszoroczników zaraz po przybyciu do miasteczka studenckiego. Z notatki wynikało, że to Windsor Horne Lockwood Trzeci z jakiejś niemiło kojarzącej się prywatnej szkoły w Filadelfii. Miał idealną fryzurę i wyniosłą minę. Właśnie wtaszczyliśmy z ojcem wszystkie moje rzeczy do pokoju na trzecim piętrze akademika. Typowe dla mojego ojca. Przywiózł mnie do Karoliny Północnej z New Jersey, wcale się nie skarżąc, upierając się przy noszeniu najcięższych bagaży, a potem zrobiliśmy sobie przerwę i usiedliśmy. Zacząłem przeglądać album.

— Hej, tato, spójrz na tego faceta — powiedziałem, wskazując zdjęcie Wina. — Założę się, że przez cztery lata ani razu go nie zobaczę.

Oczywiście myliłem się.

Przez długi czas uważałem, że Win jest niezniszczalny. Zabił wielu ludzi, ale żadnego, który by na to nie zasługiwał — i tak, wiem, jak niepokojąco to brzmi. Jednak czas niepostrzeżenie zmienia nas wszystkich. To, co wydaje się ekscentryczne i drażniące, kiedy jesteś po dwudziestce lub trzydziestce, po czterdziestce staje się niemal smutne.

— Trudno będzie uzyskać zezwolenie na ekshumację ciała — powiedział Win. — Nie mamy uzasadnienia.

— A co z badaniem DNA?

— Francuska policja nam go nie udostępni. Próbowałem już najprostszej drogi: łapówki.

— Nikt nie chciał wziąć?

— Jeszcze nie. Ktoś się znajdzie, ale to trochę potrwa, a my nie mamy czasu.

Zastanowiłem się.

- Masz jakąś propozycję?
 - Mam.
 - Słucham.
 - Przekupimy grabarzy. Zrobimy to sami pod osłoną ciemności. Potrzebujemy tylko małą próbkę. Poślemy ją do naszego laboratorium, porównamy z DNA Teresę — podniósł szklaneczkę — i załatwione.
 - Upiorne.
 - I skuteczne.
 - Sądzisz, że jest sens?
 - Czego?
 - Wiemy, jaki będzie wynik analizy.
 - Powiedz mi.
 - Słyszałem ten ton głosu Berleanda. Mógł mówić, że wynik jest wstępny i niedecydujący, ale obaj wiemy, jak jest. I widziałem tę dziewczynę sfilmowaną na lotnisku. Dobrze, nie widać było twarzy i została sfilmowana z daleka. Jednak miała chód swojej matki, jeśli wiesz, o czym mówię.
 - Tyłeczek matki też? — spytał Win. — Bo to byłby niezbity dowód.
Tylko na niego popatrzyłem. Westchnął.
 - Zachowanie często więcej mówi niż rysy twarzy i wzrost — przyznał. — Rozumiem.
 - Tak.
 - Tak jest z tobą i twoim synem — zauważył. — Kiedy siedzi, jego noga podryguje tak jak twoja. Porusza się tak sarno przy rzucie z wysokości, podobnie odrywa czubki palców od piłki, nawet jeśli nie osiąga takich rezultatów jak ty.
Win chyba jeszcze nigdy nie mówił o moim synu.
 - Mimo to musimy to zrobić — powiedziałem. Znów przypomniał mi się aksjomat Sherlocka Holmesa o eliminowaniu tego, co niemożliwe. — Nadal najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem jest jakiś błąd w badaniach DNA popełniony przez ludzi Berleanda. Musimy mieć pewność.
 - Zgoda.
Oczywiście nie podobał mi się pomysł rozgrzebywania grobu, szczególnie osoby, która odeszła tak młodo. Pozostawiłbym decyzję Teresę, lecz ona już bardzo wyraźnie dała do zrozumienia, co sądzi o obrzędzie pogrzebowym. Powiedziałem Winowi, żeby się do tego zabrał.
 - Czy to dlatego chciałeś, żebym przyszedł sam?
 - Nie.
- Win upił długi łyk i znów napełnił sobie szklaneczkę. Nie fatygował się proponowaniem mi drinka. Wiedział, że nie piję. Chociaż mam metr dziewięćdziesiąt dwa i prawie sto dziesięć kilo, z alkoholem radzę sobie mniej więcej tak dobrze, jak szesnastolatka popijająca pierwszy koktajl.
- Widziałeś film z tą jasnowłosą dziewczyną na lotnisku — zaczął.
 - Tak.
 - Była z mężczyzną, który na ciebie napadł. Tym z fotografii.
 - Przecież wiesz.
 - Wiem.
 - No to co się stało?
Win wcisnął przycisk telefonu i podniósł go do ucha.
 - Proszę, dołącz do nas.

Otworzyły się drzwi do przyległego pokoju i weszła wysoka kobieta w granatowej garsonce. Miała kruczoczarne włosy i szerokie ramiona. Zamrugnęła, osłoniła dłonią oczy.

— Dlaczego tu jest tak ciemno? — zapytała.

Miała angielski akcent. Ponieważ była znajomą Wina, pomyślałem, że jest... no cóż... kolejną Mee. Jednak nie była. Przeszła przez pokój i zajęła wolny fotel.

— To Lucy Probert — przedstawił ją Win. — Pracuje w Interpolu, tutaj, w Londynie.

Powiedziałem coś zdawkowego typu: miło panią spotkać. Skinęła głową i studiowała moją twarz, jakby to był nowoczesny obraz, którego nie rozumie.

— Powiedz mu — zachęcił Win.

— Win przesłał mi fotografię mężczyzny, na którego pan napadł.

— Nie napadłem na niego — sprostowałem. — Wymierzył we mnie broń.

Lucy Probert zbyła to machnięciem ręki jak natrętną muchę.

— Moja sekcja Interpolu zajmuje się międzynarodowym handlem dziećmi. Zapewne uważa pan, że ten świat jest chory, ale zapewniam, że jest bardziej chory, niż jest pan w stanie sobie wyobrazić. Przeszłości, którymi się zajmuję... No cóż, to przechodzi ludzkie pojęcie, co się wyprawia z najsłabszymi i bezbronnymi. W naszej walce z tymi zbrodniami pański przyjaciel Win jest nieocenionym sprzymierzeńcem.

Popatrzyłem na wyżej wspomnianego przyjaciela i jak zwykle z jego twarzy niczego nie dało się wyczytać. Przez długi czas Win był — z braku lepszego określenia — samozwańczym stróżem prawa. Nocami krążył po najniebezpieczniejszych ulicach Nowego Jorku i Filadelfii w nadziei, że zostanie zaatakowany i będzie mógł poturbować tych, którzy żerują na słabszych. Jeśli przeczytał w gazecie o jakimś zbrodniarzu zwolnionym z powodów proceduralnych lub katującym żonę sadyście, który zmusił małżonkę do wycofania zeznań, składał im nocną wizytę. Była sprawa pedofila, który porwał dziewczynkę. Policja o tym wiedziała, ale nie mogła skłonić go do złożenia zeznań. Musieli go wypuścić. Win złożył mu nocną wizytę. Facet przemówił. Znalaziono dziewczynkę. Martwą. Nikt nie wie, gdzie się podział pedofil.

Sądziłem, że Win zaprzestął tych działań lub je ograniczył, ale teraz zrozumiałem, że nie. Zaczął częściej wyjeżdżać za granicę. Był „nieocenionym sprzymierzeńcem” w walce z handlem dziećmi.

— Dlatego kiedy Win poprosił mnie o przysługę — ciągnęła Lucy — spełniłam jego prośbę. Ta wydawała się zupełnie niewinna: przepuścić przez bazy danych zdjęcie przysłane panu przez kapitana Berleanda i zidentyfikować podejrzanego. Prawda?

— Prawda.

— Niestety, Interpol ma wiele sposobów identyfikacji ludzi ze zdjęć. Na przykład oprogramowanie do rozpoznawania twarzy.

— Panno Probert?

— Tak?

— Naprawdę nie potrzebuję wykładu z kryminalistyki.

— Cudownie, ponieważ nie mam czasu ani ochoty go wygłaszać. Rzecz w tym, że takie czynności są w Interpolu rutynowe. Wprowadziłam zdjęcie do komputera przed wyjściem z pracy, sądząc, że przez noc zostanie sprawdzone i otrzymam odpowiedź. Czy takie uproszczone wyjaśnienie panu wystarczy?

Skinęłam głową, uświadamiając sobie, że niepotrzebnie jej przerwałam. Była wyraźnie wzburzona i to wcale nie pomogło.

— Tak więc przychodząc rano do pracy, spodziewałam się znaleźć na biurku odpowiedź, którą będę mogła wam przesłać. Tak się nie stało. Zamiast tego... Jak mam to oględnie powiedzieć? Wszelkie możliwe formy odchodów wpadły do przysłowiowego wentylatora.

Ktoś przetrząsnął moje biurko. Złamano moje hasło i przeszukano zawartość mojego komputera. Nie pytajcie mnie, skąd o tym wiem. Po prostu wiem.

Zamilkła i zaczęła szukać czegoś w torebce. Wyjęła papierosa i włożyła go do ust.

— Wy, przekłęci Amerykanie, i ta wasza antynikotynowa kruczata. Jeśli któryś z was wspomni o zakazie palenia...

Nie próbowaliśmy.

Zapaliła, zaciągnęła się głęboko i wypuściła dym.

— Krótko mówiąc, to zdjęcie zostało uznane za ściśle tajne, czy jak to tam u siebie nazywacie.

— Czy wie pani dlaczego?

— Dlaczego zostało uznane za materiał zastrzeżony?

— Tak.

— Nie wiem. Zajmuję dość wysoką pozycję w łańcuchu pokarmowym Interpolu. Jeśli przekraczało moje uprawnienia, musi to być supertajne. Dostarczone przez was zdjęcie włączyło dzwonki alarmowe na samej górze. Zostałam wezwana do gabinetu Mickeya Walkera, czyli samego szefa londyńskiego oddziału. Od dwóch lat nie dostąpiłam zaszczytu takiej audyencji. Wezwał mnie, posadził na fotelu i chciał wiedzieć, skąd mam tę fotografię i dlaczego chciałam zidentyfikować widocznego na niej człowieka.

— I co mu pani powiedziała?

Spojrzała na Wina i już znałam odpowiedź.

— Powiedziałam, że otrzymałam informacje, z wiarygodnego źródła, że mężczyzna na tym zdjęciu może być zamieszany w handel dziećmi.

— A on zapytał o nazwisko informatora?

— Oczywiście.

— I podała mu je pani?

— Ja bym na to nalegał — wtrącił Win.

— Nie miałam innego wyjścia — powiedziała. — I tak by się dowiedzieli. Gdyby sprawdzili moją pocztę elektroniczną i rejestry rozmów telefonicznych, znaleźliby odpowiedź.

Spojrzałam na Wina. Znowu żadnej reakcji. Myliła się — nie byliby w stanie ustalić, że to on, ale rozumiałem, w jakiej znalazła się sytuacji. To najwyraźniej duża sprawa. Brak współpracy oznaczałby zawodowe samobójstwo, a może coś gorszego. Win miałby rację, nalegając, żeby ujawniła nasze nazwiska.

— I co teraz?

— Chcą ze mną rozmawiać — odrzekł Win,

— Wiedzą, gdzie jesteś?

— Nie, jeszcze nie. Mój adwokat poinformował ich, że dobrowolnie przyjdę w ciągu godziny. Jesteśmy tu zameldowani pod przybranymi nazwiskami, ale jeśli dobrze się postarają, to nas znajdą.

Spojrzała na zegarek.

— Lepiej już pójść.

Pomyślałem o Trampkarzu w Okularach, który obudził moją czujność.

— Czy ktoś z waszych ludzi może mnie śledzić?

— Wątpię.

— Stała się pani podejrzaną — stwierdziłem. — Skąd pani wie, że nikt za panią tu nie szedł?

Popatrzyła na Wina.

— On jest czubkiem czy tylko seksistą?

Win się zastanowił.

— Seksistą.

— Jestem agentką Interpolu. Podejmuję odpowiednie środki bezpieczeństwa.

Nie zawsze, jeśli dała się przytąpać. Jednak zachowałem tę uwagę dla siebie. Byłem trochę niesprawiedliwy. Nie mogła wiedzieć, że przepuszczając to zdjęcie przez bazy danych, spowoduje takie zamieszanie.

Wstaliśmy. Uścisnęła mi rękę, a Wina cmoknęła w policzek. Kiedy wyszła, znów usiedliśmy na fotelach.

— Co zamierzasz powiedzieć Interpolowi? — zapytałem.

— A jest jakiś powód, by kłamać?

— Nie widzę żadnego.

— Zatem powiem im prawdę. A przynajmniej prawie całą. Mój dobry przyjaciel... to ty... został napadnięty przez tego człowieka w Paryżu. Chciałem wiedzieć, kto to taki. Oślonimy Lucy, powiemy, że okłamałem ją, mówiąc, że ten mężczyzna jest zamieszany w handel dziećmi.

— Co z tego, co wiemy, jest możliwe.

— Prawda.

— Masz coś przeciwko temu, żebym opowiedział o tym Teresę?

— Jeśli tylko pominiesz nazwisko Lucy. Kiwnąłem głową.

— Nadal musimy zidentyfikować tego faceta. Zszedłem z Winem do okazałego holu hotelu Claridge.

Nie było kwartetu smyczkowego dającego koncert w foyer, ale powinien być. Wnętrze było urządzone w stylu brytyjskiej śmietanki towarzyskiej, czyli hybrydy epoki wiktoriańskiej z art deco, dostatecznie luźnym dla noszących dżinsy turystów, a jednocześnie dość wyniosłym, by mieć wrażenie, że niektóre fotele i kasetony na suficie trochę zadzierają nosa. Podobało mi się to. Kiedy Win wyszedł, ruszyłem w kierunku wind, lecz nagle coś mnie zatrzymało.

Czarne wysokie trampki Chucka Taylora. Przystanąłem i poklepałem się po kieszeniach. Odwróciłem się ze zmieszaną miną, jakbym właśnie sobie uświadomił, że czegoś zapomniałem. Myron Bolitar, aktor charakterystyczny. Skorzystałem z okazji, by niepostrzeżenie przyjrzeć się Trampkarzowi.

Teraz już nie nosił okularów. Natomiast miał niebieską kamizelkę. I czapkę baseballową, której nie nosił koło cmentarza. Jednak poznałem go. Ten sam facet. Jest dobry. Ludzie zwykle niewiele zapamiętują. Facet w ciemnych okularach, krótko ostrzyżony. Zakryj głowę czapką, a na podkoszulek kamizelkę i nikt cię nie zauważy, chyba że będzie uważnie patrzył.

O mało go nie przegapiłem, ale teraz miałem pewność: jestem śledzony. Mój chłoptaş z cmentarza powrócił.

Można to rozegrać na kilka sposobów, ale nie byłem w nastroju do dyskusji. Poszedłem wąskim korytarzem w kierunku sal, w których odbywały się zebrania i konferencje. W niedziele były puste. Skrzyżowałem ręce na piersi, oparłem się o ścianę szatni i czekałem, aż pojawi się mój facet.

Gdy to zrobił — pięć minut później — złapałem go za koszulę i wciągnąłem do szatni.

— Dlaczego mnie śledzisz?

Patrzył na mnie zmieszany.

— To z powodu mojej wydatnej szczęki? Hipnotyzujących niebieskich oczu? Kształtnego tyłka? Przy okazji, czy te spodnie mnie pogrubiają? Powiedz prawdę.

Gapił się na mnie jeszcze przez sekundę, może dwie, a potem zrobił to samo co ja wcześniej: zaatakował.

Wyprowadził uderzenie nasadą dłoni, skierowane w moją twarz. Zablokowałem je. Obrócił się na pięcie i uderzył łokciem. Był szybki. Szybszy, niż się spodziewałem. Cios wylądował na mojej szczęce. Odwróciłem głowę, by osłabić impet, ale i tak zadzwoniło mi w uszach. Nadal atakował. Zadał następny cios, potem boczne kopnięcie i uderzenie pięścią. To ostatnie było najsilniejsze, w dolną część klatki piersiowej. Bolało. Gdybyście kiedyś oglądali w telewizji mecz bokserski choćby przez chwilę, usłyszycie, jak każdy komentator mówi to samo: skutki ciosów w korpus kumulują się. Przeciwnik poczuje je w ostatnich rundach. To jest i nie jest prawdą. Uderzenia w korpus bolą od razu. Sprawiają, że kulisz się i opuszczasz gardę.

Miałem kłopoty. Jakaś część mojego umysłu zaczęła mnie ganić za takie głupie narażanie się bez broni i wsparcia Wina. Jednak większość mojego umysłu przełączyła się na tryb przetrwania. Nawet podczas pozornie błahej bójki — w barze, na boisku, gdziekolwiek — poziom adrenaliny skacze pod niebo, ponieważ ciało wie to, czego umysł nie chce zaakceptować: tu chodzi o przetrwanie. Można umrzeć. Upadłem i przetoczyłem się po podłodze. Szatnia była mała. Facet znał się na rzeczy. Nie przestawał atakować, próbując zasypać mnie gradem kopniaków, idąc za ciosem. Udało mu się kopnąć mnie w głowę i zobaczyłem wszystkie gwiazdy, jak na kreskówce. Zastanawiałem się, czy zacząć wołać pomocy, żeby tylko przestał.

Przetoczyłem się jeszcze raz, wyczuwając jego tempo. Odśloniłem brzuch w nadziei, że spróbuje go kopnąć. Spróbował. Gdy zaczął zginać kolano, potoczyłem się do niego, zgiąłem w pół i wyciągnąłem ręce. Kopniak wylądował na moim brzuchu, ale byłem na to przygotowany. Oburącz przycisnąłem do siebie jego stopę i obróciłem się. Miał dwie możliwości: pospiesznie upaść, albo próbować ustać, a wtedy jego noga w kostce trzasnęłaby jak sucha gałąź.

Potrafił zadawać ciosy, padając, ale w większości były one nieskuteczne, Obaj leżeliśmy na podłodze. Ja byłem obolały i oszołomiony, ale teraz miałem nad nim przewagę. Po pierwsze, nadal trzymałem jego stopę, chociaż już nie tak pewnym chwytem. Po drugie, podczas walki w parterze, no cóż... waga odgrywa dużą rolę — w pozytywnym sensie. Oburącz trzymałem jego nogę. Próbował się uwolnić, zasypując mnie gradem ciosów. Poszedłem w zwarcie, przyciskając głowę do jego piersi. Kiedy przeciwnik zadaje serie ciosów, większość ludzi myśli, że trzeba zwiększyć dystans. Wprost przeciwnie. Trzeba przycisnąć twarz do jego piersi, redukując siłę uderzeń. Tak też zrobiłem.

Próbował uderzyć mnie w uszy, ale potrzebował do tego obu rąk i na moment się odślonił. Szybko i energicznie podniosłem głowę, waląc go w brodę. Poleciał do tyłu. Przygniotłem go całym ciężarem ciała.

Teraz liczyła się technika, siła i ciężar. Miałem nad nim przewagę w dwóch z tych trzech rzeczy — byłem silniejszy i cięższy. Byłem jeszcze oszołomiony po pierwszych ciosach, ale to uderzenie bykiem pomogło. Wciąż trzymałem jego stopę. Mocno ją wykręciłem. Obrócił się, łagodząc skręt, i w tym momencie popełnił błąd.

Odwrócił się do mnie plecami, odsłaniając je.

Puściłem jego stopę i skoczyłem na niego, oplatając go nogami w talii i prawą ręką obejmując szyję. Wiedział, co się stanie. Zaczął się rozpaczliwie szamotać. Przycisnął brodę do piersi, blokując mój łokieć. Nasadą dłoni uderzyłem go w tył głowy. Zwiotczał na moment. Złapałem go za czoło i szarpnąłem do tyłu. Próbował stawiać opór, ale już wystarczająco uniosłem jego brodę. Wepchnąłem pod nią przedramię, naciskając jego krtań. Założyłem duszenie.

Teraz go miałem. To było tylko kwestią czasu.

Nagle usłyszałem coś, a właściwie kogoś, krzyżącego w obcym języku. Powinienem puścić przeciwnika i zobaczyć kto to, ale nie zrobiłem tego. To był błąd. Do szatni wpadł drugi facet. Uderzył mnie w kark, zapewne kantem dłoni, klasycznym ciosem karate. Zesztywniałem, jakby całe moje ciało zmieniło się w łokieć wybity w stawie. Mimowolnie rozluźniłem chwyt.

Drugi mężczyzna znów coś krzyknął w tym samym obcym języku. Byłem oszołomiony. Pierwszy wysunął się z mojego uścisku, łapiąc oddech. Odtoczył się. Teraz było ich dwóch. Spojrzałem na tego drugiego. Wymierzył we mnie broń.

Byłem załwatwiony.

— Nie ruszaj się — powiedział z cudzoziemskim akcentem.

Szukałem wyjścia z sytuacji, ale stał za daleko ode mnie. Pierwszy podniósł się z podłogi. Wciąż ciężko dyszał. Popatrzyliśmy na siebie i w jego oczach zobaczyłem coś dziwnego. Nie nienawiść. Może szacunek. Sam nie wiem.

Znów spojrzałem na tego z pistoletem.

— Nie ruszaj się — powtórzył. — I nie idź za nami.

Po czym obaj uciekli.

19

Powlokłem się do windy. Miałem nadzieję, że dotrę do mojego pokoju, nie napotykając nikogo, ale winda zatrzymała się na parterze. Sześciuosobowa amerykańska rodzina spojrzała na mnie, na moją podartą koszulę, zakrwawione wargi i całą resztę, po czym mimo to wsiadła i powiedziała „cześć”. Przez kilka pięter słuchałem, jak starsza siostra zaczepia brata, matka prosi, żeby przestali, a ojciec usiłuje ignorować ich i dwoje młodszych dzieci, podszczypujących się, gdy rodzice nie patrzyli.

Kiedy dotarłem do naszego apartamentu, Teresę przeraziła się, ale tylko na moment. Pomogła mi wejść i zadzwoniła do Wina. On wezwał lekarza. Ten przyszedł szybko i stwierdził, że nie ma żadnych złamań. Nic mi nie będzie. Bolała mnie głowa, zapewne miałem lekki wstrząs mózgu. Potrzebowałem odpoczynku. Lekarz podał mi coś i wszystko utonęło we mgle. Następne, co pamiętani, to Win stojący po drugiej stronie ciemnego pokoju. Otworzyłem najpierw jedno oko, a potem drugie.

— Jesteś idiotą — oznajmił.

— Nie, naprawdę nic mi nie jest, nie musisz się tak przejmować.

— Powinieneś być zczekać na mnie.

— Nikt nie lubi krytykujących po fakcie. Spróbowałem usiąść. Moje ciało tego chciało, ale głowa gwałtownie protestowała. Objąłem ją rękami, żeby się nie rozpadła.

— Chyba czegoś się dowiedziałem — powiedziałem.

— Słucham.

Zastony nie były zaciągnięte. Zapadła noc. Spojrzałem na zegarek. Była dwudziesta druga i coś sobie przypominałem.

— Cmentarz.

— Co z nim? — spytał Win.

— Wykopią ciało?

— Nadal chcesz tam iść?

Skinąłem głową i szybko się ubrałem. Nie pożegnałem się z Teresą. Omówiliśmy to wcześniej — nie widziała powodu, żeby tam być. Win zamówił limuzynę, która zabrała nas sprzed głównego wejścia i zawiozła na prywatny parking, gdzie przesiedliśmy się do innego samochodu.

— Masz.

Win podał mi mały rewolwer, NAA Black Widów. Spojrzałem na broń.

— Dwudziestkadwójka?

Win zazwyczaj wolał większy kaliber. Na przykład bazookę albo ręczną wyrzutnię rakiet.

— W Zjednoczonym Królestwie obowiązuje surowy zakaz noszenia broni. — Wręczył mi nylonową kaburę na kostkę. — Dlatego dobrze go schowaj.

— Ty też masz taki?

— Wielkie nieba, nie. Chcesz coś większego?

Nie chciałem. Zamocowałem kaburę na kostce. Czułem się, jakbym założył opaskę elastyczną przy grze w kosza.

Kiedy dotarliśmy na cmentarz, oczekiwałem, że będę się czuł bardziej nieswojo, ale nie. Dwaj mężczyźni stali w wykopie, kończąc pracę. Obaj mieli identyczne niebieskie dresy, jakby wzięte z kolekcji noszonej przez moją ciotkę Sophie w Miami. Główną część pracy wykonała wcześniej mała żółta koparka, która teraz stała po prawej, jakby podziwiając swoje dzieło. Dwaj dżentelmeni w dresach mieli tylko oskrobać trumnę z ziemi, otworzyć ją i pobrać kilka próbek, kości lub czegoś, a potem ją zamknąć i zasypać ziemią.

No dobrze, może teraz poczułem się nieswojo.

Było mglisto i dżdżysto. Stałem i patrzyłem w dół. Win również. Było ciemno, lecz nasze oczy oswoiły się już z mrokiem na tyle, by dostrzegać zarysy. Tamci dwaj pochylili się, niemal znikając nam z oczu.

— Mówiłeś, że się czegoś dowiedziateś.

Kiwnąłem głową.

— Ci ludzie, którzy mnie śledzili, mówili po hebrajsku i znali krav magę.

Krav maga to izraelska sztuka walki.

— I byli dobrzy — dodał Win.

— Wiesz, do czego zmierzam?

— Dobrze śledził, dobrze walczył, uciekli, nie zabiwszy cię, mówili po hebrajsku. — Win kiwnął głową. — Mossad.

— To wyjaśnia tak żywe zainteresowanie.

Jeden z tych dwóch w dole zaklął.

— Jakiś problem?! — zawołał do nich Win.

— Jest zamknięta na cholerny zamek — powiedział tamten. Włączył latarkę. Teraz widzieliśmy tylko trumnę. — Rany koguta, po co? W drzwiach mojego domu nie ma tak porządnego zamka. Próbuje różnych kluczy.

— Wyłamcie go — polecił Win.

— Na pewno?

— A kto się o tym dowie?

Tamci zaśmiali się z przymusem, jak... no cóż... ludzie rozgrzebujący grób.

— To prawda — rzekł jeden. Win znów skupił uwagę na mnie.

— Dlaczego Rick Collins miałby mieć do czynienia z Mossadem?

— Nie mam pojęcia.

— I dlaczego wypadek samochodowy sprzed dziesięciu lat miałby być tak ważny, że zainteresował izraelskie tajne służby?

— Również nie wiem.

Win zastanawiał się przez chwilę.

— Zadzwoń do Zorry. Może ona nam pomoże.

Zorra, bardzo niebezpieczny transwestyta, który pomagał nam w przeszłości, pod koniec lat osiemdziesiątych pracował dla Mossadu.

— To może coś dać. Załóżmy, że gość, którego uderzyłem stołem, był z Mossadu. To wyjaśniałoby kilka rzeczy.

— Na przykład, dlaczego Interpol tak spanikował, kiedy próbowaliśmy go zidentyfikować — dodał Win.

Pomyślałem chwilę.

— Tylko że gdyby był z Mossadu, to ten, którego zastrzeliłem, także.

— Jeszcze za mało wiemy — stwierdził Win po chwili namysłu. — Skontaktujmy się z Zorzą i zobaczymy, czego się dowie.

Z dołu dobiegały postękiwania, chrobot i głuchoe odgłosy uderzeń.

— Mamy to! — krzyknął w końcu jeden z mężczyzn.

Spojrzelismy w dół. Światło latarki ukazywało dwie pary rąk unoszące wieko. Tamci sapali z wysiłku. Trumna miała standardowe rozmiary. To mnie zdziwiło. Spodziewałem się mniejszej dla siedmioletniej dziewczynki. Może właśnie w tym rzecz, no nie? Może dlatego nie czułem się jeszcze bardziej nieswojo — ponieważ nie sądziłem, że znajdziemy w niej szkielet siedmiolatki.

Nie miałem ochoty patrzeć, więc się cofnąłem. Przyszedłem tu tylko sprawdzić, aby mieć pewność, że pobrali próbkę z grobu. Cała ta sprawa była dostatecznie zwariowana nawet bez dodatkowych wątpliwości związanych z badaniem DNA. Jeśli da negatywny wynik, nie chciałem, by ktoś powiedział „A skąd wiesz, że pobrali materiał z właściwego grobu?” albo „Może tylko powiedzieli, że rozkopali grób”. Chciałem wykluczyć wszelkie możliwe wątpliwości.

— Otworzyliśmy trumnę — oznajmił jeden z kopaczy. Zobaczyłem, że Win patrzy w głąb wykopu. Z dołu przytłynął głos drugiego mężczyzny.

— Słodki Jezu.

I cisza.

— Co jest? — zapytałem.

— Szkielet — odparł Win, wciąż patrząc. — Mały. Zapewne dziecka.

Wszyscy staliśmy jak skamieniali.

— Pobierzcie próbkę — rzekł Win.

— Jaki rodzaj próbki?

— Kość. Kawałek materiału, jeśli jakiś znajdziecie. Umieście je w tych plastikowych torebkach.

W grobie zostało pochowane dziecko. Chyba się tego nie spodziewałem. Spojrzałem na Wina.

— Czy to możliwe, że się myliliśmy?

Win wzruszył ramionami.

— DNA nie kłamie.

— Jeśli więc to nie Miriam Collins, to czyj jest ten szkielet?

— Są jeszcze inne możliwości.

— Takie jak...

— Kazałem jednemu z moich ludzi przeprowadzić małe dochodzenie. Mniej więcej w czasie, gdy zdarzył się ten wypadek samochodowy, zaginęła mała dziewczynka z Brentwood. Ludzie byli pewni, że to sprawka jej ojca, ale nigdy nie odnaleziono ciała. Ojciec do dziś pozostaje na wolności.

Zastanowiłem się nad tym, co Win powiedział wcześniej.

— Masz rację. Jeszcze za mało wiemy.

Win milczał.

Znow spojrzałem w głąb wykopu. Mężczyzna z brudną twarzą podał mi plastikowy woreczek.

— To wszystko wasze, kolego. Powodzenia i wynoście się w diabły.

Odeszliśmy z Winem, niosąc kruchą kość dziecka, któremu w środku nocy zakłóciliśmy spokojny sen.

20

Wróciliśmy do Claridge przed drugą nad ranem. Win natychmiast wyszedł, zapewne spędzić trochę czasu z tą lub inną Mee. Ja wziąłem długi gorący prysznic. Kiedy zajrzałem do minibaru, na moje usta zawitał uśmiech. Barek był pełen czekoladowych yoo-hoo. Ach, ten Win.

Wypiłem jeden zimny napój i poczekałem, aż cukier zadziała. Włączyłem telewizor i zacząłem przetaczać kanały, ponieważ tak robią prawdziwi mężczyźni. Amerykańskie programy z poprzedniego sezonu. Drzwi pokoju Teresę były zamknięte, ale wątpiłem, by spała. Siedziałem sam i głęboko oddychałem.

Zegar pokazał drugą w nocy. Ósma wieczorem w Nowym Jorku. Piąta po południu w Scottsdale w Arizonie.

Spojrzałem na mój telefon. Pomyślałem o Ali, Erin i Jacku w Arizonie. Niewiele wiem o Arizonie. To pustynia, no nie? Kto chce mieszkać na pustyni?

Wybrałem numer Ali. Telefon zadzwonił trzy razy, zanim zgłosiła się czujnym „Halo?”.

—Cześć — rzuciłem.

— Twój numer nie pojawił się na wyświetlaczu — zauważyła Ali.

— Mam inny aparat, ale ten sam numer.

Cisza.

— Gdzie jesteś? — zapytała Ali.

— W Londynie.

— W Anglii?

— Taaa.

Usłyszałem jakiś dźwięk. Chyba głos Jacka.

— Chwileczkę, skarbie, rozmawiam — powiedziała Ali.

Zauważyłem, że nie powiedziała, z kim rozmawia. Zwykle mówiła.

— Nie wiedziałam, że jesteś za granicą.

— Stara znajoma poprosiła mnie o pomoc. Ona...

— Ona?

— Tak — odrzekłem po chwili..

— Oo, nie zajęło ci to dużo czasu.

Już miałem powiedzieć „to nie tak, jak myślisz”, ale się powstrzymałem.

— Znam ją od dziesięciu lat.

— Rozumiem. Zatem to taki nagły wyjazd do Londynu, żeby zobaczyć starą znajomą?

Cisza. Znów usłyszałem głos Jacka pytającego, kto dzwoni, dźwięk podróżujący z jakiegoś miejsca na pustyni przez większość kontynentu Stanów Zjednoczonych oraz Atlantyck, i wywołujący bolesny skurcz. — Muszę iść, Myronie. Chcesz czegoś?

Dobre pytanie. Zapewne tak, ale teraz nie jest to odpowiedni czas.

— Chyba nie.

Rozłączyła się bez słowa. Spojrzałem na telefon, poczułem jego ciężar, a potem pomyślałem... chwila, przecież to Ali zerwała, prawda? Czy nie wyraziła tego krystalicznie

jasno ile... dwa dni temu? I co tak naprawdę chciałem osiągnąć tą cholerną rozmową? Po co zadzwoniłem?

Ponieważ lubię stawiać kropkę nad i? Ponieważ chciałem zachować się przyzwoicie, cokolwiek to, do licha, oznacza?

Znów poczułem ból w poobijanych miejscach. Wstałem i przeciągnąłem się, starając się rozluźnić mięśnie. Spojrzałem na drzwi pokoju Teresę. Zamknięte. Podszedłem na palcach i zajrzałem do środka. Światło było zgaszone. Nasłuchiwałem jej oddechu. Nie usłyszałem go. Zacząłem zamykać drzwi.

— Proszę, nie odchódź — powiedziała Teresę.

Znieruchomiałem.

— Spróbuj się przespać.

— Proszę.

W sprawach sercowych zawsze postępowałem bardzo ostrożnie. Zawsze robiłem to, co należy. Nigdy nie byłem spontaniczny. Oprócz tamtego jednego razu na wyspie, zawsze przejmowałem się uczuciami, konsekwencjami i tym, co będzie potem.

— Nie odchódź — powtórzyła.

I nie odszedłem.

Kiedy się pocałowaliśmy, to było jak przyptyw i odpływ, poczucie wyzwolenia, jakiego jeszcze nigdy nie zaznałem, gdy stoi się zupełnie nieruchomo poddając się, a serce tłucze się w piersi, puls przyspiesza, kolana miękną, czuje się mrowienie palców nóg aż po uszy, a wszystkie części ciała rozluźniają się, by z radością ulec.

Tej nocy śmiailiśmy się. I płakaliśmy. Całowałem to piękne nagie ramię. A rano Teresę znów znikła.

• • •

Jednak tylko z łóżka. Znalazłem ją pijącą kawę w salonie. Zastony były rozsunięte. Parafrazując słowa starej piosenki, poranne słońce oświetlające jej twarz ukazywało jej wiek — i to mi się podobało. Miała na sobie frotowy hotelowy szlafrok, który rozchyłał się odrobinę, sugerując ukryte pod nim skarby. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek widział coś tak cholernie pięknego.

Teresę spojrzała na mnie i się uśmiechnęła.

— Cześć — powiedziałem.

— Skończ z tymi gładkimi słówkami. Już mnie zaciągnąłeś do łóżka.

— A niech to, przez całą noc pracowałem nad tym tekstem.

— No cóż, i tak przez całą noc nie zmrużyłeś oka. Kawa?

— Proszę.

Nalała mi. Ostrożnie usiadłem obok niej. Obrażenia dały o sobie znać. Skrzywiłem się i postanowiłem zażyć jeden ze środków przeciwbólowych, które zostawił mi lekarz. Jednak jeszcze nie teraz. Teraz chciałem siedzieć obok tej nadzwyczajnej kobiety i w milczeniu pić kawę.

— Jak w niebie — westchnęła.

— Tak.

— Chciałabym, żebyśmy mogli zostać tu na zawsze.

— Nie wiem, czy stać mnie na ten pokój.

- Uśmiechnęła się. Wyciągnęła rękę i ujęła moją dłoń.
- Chcesz usłyszeć coś okropnego?
 - Mów.
 - Chciałabym zapomnieć o tym wszystkim i uciec z tobą.
Wiedziałem, co chce przez to powiedzieć.
 - Tyle razy marzyłam o takiej szansie odkupienia. A. teraz, kiedy być może się pojawiła, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że to mnie zniszczy.
Spojrzała na mnie.
 - Co o tym sądzisz?
 - Nie pozwolę, żeby to cię zniszczyło — zapewniłem. Uśmiechnęła się smutno.
 - Sądzisz, że masz taką moc?
 - Miała rację, ale czasem składam takie głupie obietnice,
 - Zatem, co chcesz zrobić?
 - Dowiedzieć się, co naprawdę zaszło tamtej nocy.
 - W porządku.
 - Nie musisz mi pomagać.
 - Muszę — odparłem. — Szczególnie po ostatniej nocy.
 - To prawda.
 - Jaki będzie nasz następny krok? — zapytałem.
 - Przed chwilą rozmawiałam z Karen. Powiedziała jej, że już czas, żeby to z siebie wyrzuciła.
 - Jak zareagowała?
 - Nie sprzeczała się. Mamy się spotkać za godzinę.
 - Chcesz, żebym poszedł z tobą?
 - Pokręciła głową.
 - Tym razem musimy porozmawiać w cztery oczy.
 - Dobrze.
- Siedzieliśmy, piliśmy kawę i nie chciało nam się ruszać, mówić ani robić czegokolwiek. Milczenie przerwała Teresę.
- Jedno z nas powinno powiedzieć: „Co do ostatniej nocy...”.
 - Zostawiam to tobie.
 - To było naprawdę diabelnie wstrząsające.
Uśmiechnąłem się.
 - Taaak. Wiedziałem, że podsumowanie powinienem zostawić tobie.
Wstała. Obserwowałem ją. Miała na sobie tylko płaszcz kąpielowy. Miłe panie, darujcie sobie frywolne koronki, gorsety, bieliznę z Victoria's Secret czy Frederick's all Hollywood, stringi, podwiązki, jedwabne koszulki, hałeczki i całą resztę. Ja wolę piękną kobietę w hotelowym szlafroku.
 - Wezmę prysznic — powiedziała.
 - Czy to zaproszenie?
 - Nie.
 - Och.
 - Nie mamy czasu.
 - Potrafię działać szybko.
 - Wiem. Tylko że najlepiej ci idzie, kiedy się nie spieszysz.
 - Uch.
Pochyliła się i delikatnie pocałowała mnie w usta.

— Dziękuję — szepnęła.

Już miałem rzucić jakiś żarcik — na przykład „powiedz wszystkim przyjaciółkom” albo „następna zadowolona klientka” — lecz coś w tonie jej głosu mnie powstrzymało. Coś w jej głosie obezwładniło mnie aż do bólu. Ścisnąłem w milczeniu jej rękę, a potem patrzyłem, jak odchodzi.

21

Win tylko rzucił na mnie okiem.

- W końcu coś zaliczyłeś — stwierdził. Już miałem zaprzeczyć, ale co by to dało?
- Taaa.
- Proszę o szczegóły.
- Dżentelmen nie opowiada o takich sprawach.
Zrobił zgnębioną minę.
- Przecież wiesz, że uwielbiam szczegóły.
- A ty wiesz, że nigdy o tym nie opowiadam.
- Kiedyś pozwalałeś mi popatrzeć. Kiedy w college'u chodziłeś z Emily, pozwalałeś mi zaglądać przez okno.
- Nie pozwalałem. Po prostu to robiłeś. A kiedy naprawiałem roletę, zwykle znów ją psułeś. Świntuch z ciebie, wiesz?
- Niektórzy nazwaliby mnie zainteresowanym przyjacielem.
- Jednak większość nazwałaby cię świntuchem.
Win wzruszył ramionami.
- Kochaj mnie, pomimo moich wad.
- Na czym stanęliśmy? — zapytałem.
- Obaj coś zaliczyliśmy.
- Oprócz tego.
- Coś mi przyszło do głowy.
- Słucham.
- Może jest prostsze wyjaśnienie tego, w jaki sposób krew martwej dziewczynki znalazła się na miejscu zbrodni. Ta charytatywna organizacja „Ratuj Aniołki” zajmuje się między innymi badaniem komórek macierzystych, zgadza się?
- Owszem, w pewien szczególny sposób. Są temu przeciwni — przypominałem.
- I wiemy, że Rick Collins mógł odkryć, że ma chorobę Huntingtona. Jego ojciec na pewno ją miał.
- W porządku.
- W dzisiejszych czasach ludzie zachowują pępowiny swoich dzieci: zamrażają je lub konserwują w inny sposób, by wykorzystać je w przyszłości. W pępowinie jest mnóstwo komórek macierzystych, więc wychodzą z założenia, że kiedyś te komórki mogą uratować życie dziecku, a może nawet im. Może Rick Collins zachował pępowinę swojej córki? Kiedy odkrył, że ma chorobę Huntingtona, doszedł do wniosku, że mógłby ją wykorzystać.
- Komórki macierzyste nie wyleczą choroby Huntingtona.
- Teraz nie. Jeszcze.
- Podejrzewasz, że miał zamrożoną pępowinę, kiedy został zamordowany, i ona co, wyparowała?

Win wzruszył ramionami.

- Czy ten scenariusz ma mniej sensu od tego, w którym Miriam Collins żyje?

- A ten jasny włos?
- Na świecie jest mnóstwo blondynek. Nie musiał należeć do młodej kobiety, którą widziałeś.
- Zastanowiłem się.
- To nadal nie wyjaśnia nam, kto zabił Ricka Collinsa.
- Racja.
- Wciąż myślę, że o cokolwiek tu chodzi, zaczęło się to od wypadku przed dziesięcioma laty. Wiemy, że Nigel Manderson kłamał.
- Wiemy — zgodził się Win.
- A Karen Tower coś ukrywa.
- Co z tym całym Mariem?
- Co z nim?
- Czy on też o czymś nie mówi?
- Być może. Mam się spotkać z nim rano, żeby przejrzeć pliki Ricka. Wtedy znowu go przycisnę.
- Mamy także Izraelczyków... może z Mossadu... którzy cię śledzą. Zadzwoń do Zorry. Sprawdzi przez swoje źródła.
- Dobrze.
- I wreszcie twoje paryskie starcie i zdjęcie gościa, które włączyło dzwonki alarmowe aż po sam szczyt hierarchii Interpolu.
- Jak przebiegła twoja wizyta w Interpolu?
- Zadali swoje pytania, a ja opowiedziałem im moją wersję.
- Jednego nie rozumiem. Dlaczego jeszcze mnie nie zgarnęli?
- Win się uśmiechnął.
- Wiesz dlaczego.
- Śledzą mnie.
- Poprawna odpowiedź.
- Widzisz ich?
- Czarny samochód na rogu.
- Mossad pewnie też mnie śledzi.
- Jesteś bardzo popularny.
- To dlatego, że umiem słuchać. Ludzie lubią dobrych słuchaczy.
- Istotnie — zgodził się Win.
- Jestem również duszą towarzystwa.
- I dobrze tańczysz. Co chcesz zrobić z ogonami?
- Chciałbym je zgubić na resztę dnia.
- Nie ma problemu.

• • •

Zgubienie ogona jest dość łatwe. Win załatwił nam samochód z przyciemnionymi szybami. Wjechaliśmy do podziemnego garażu mającego kilka bram wyjazdowych. Nasz samochód odjechał. Podjechały dwa inne. Ja wskoczyłem do jednego, Win do drugiego.

Teresę była teraz u Karen. Ja jechałem do Maria Contuziego.

Po dwudziestu minutach zadzwoniłem do drzwi jego mieszkania. Nikt nie otworzył. Spojrzałem na zegarek. Przyjechałem pięć minut za wcześnie. Zacząłem rozmyślać o całej tej sprawie, o tym, jak Interpol dostał sztafu z powodu tego zdjęcia.

Kim był facet, który celował do mnie w Paryżu?

Próbowałem wszelkich sprytnych i zmyślnych sposobów, żeby poznać jego tożsamość. Może, mając kilka minut, powinienem spróbować najprostszego?

Zadzwoiłem na prywatny numer Berleanda.

Po dwóch dzwonekch usłyszałem w słuchawce głos, który powiedział coś po francusku.

— Chciałbym mówić z kapitanem Berleandem, jeśli można.

— Jest na urlopie. Mogę w czymś pomóc?

Urlop? Próbowałem wyobrazić sobie Berleanda cieszącego się wczasami na plaży w Cannes, ale ten obraz natychmiast znikł.

— Muszę się z nim pilnie skontaktować,

— Mogę spytać, kto mówi? Nie było sensu tego ukrywać.

— Myron Bolitar.

— Przykro mi. Jest na urlopie.

— Mógłby pan skontaktować się z nim i poprosić, żeby zadzwonił do Myrona Bolitara? To pilne.

— Proszę zaczekać. Zaczekałem.

Po minucie odezwał się inny głos — szorstki i mówiący czysto... hmm... po amerykańsku.

— Mogę w czymś pomóc?

— Nie sądzę. Chciałem rozmawiać z kapitanem Berleandem.

— Może pan porozmawiać ze mną, panie Bolitar.

— Tylko że pan nie wydaje mi się miłym rozmówcą.

— Bo nie jestem. Sprytnie zgubił pan nasz ogon, ale to wcale nie jest śmieszne.

— Kim pan jest?

— Może pan mnie nazywać agent specjalny Jones.

— A mogę nazywać pana superagent Jones? Gdzie jest kapitan Berleand?

— Kapitan Berleand jest na urlopie.

— Od kiedy?

— Od kiedy przestał panu to zdjęcie, łamiąc wszelkie zasady. Bo on to zrobił, prawda?

Zawahałem się.

— Nie — odpowiedziałem.

— Jasne. Gdzie pan jest, Bolitar?

W mieszkaniu Contuzziiego usłyszałem dzwoniący telefon. Raz, dwa, trzy razy.

— Bolitar?

Po sześciu dzwonekach telefon przestał dzwonić.

— Wiemy, że nadal jest pan w Londynie. Gdzie? Rozłączyłem się i spojrzałem na drzwi mieszkania Maria.

Ten dzwoniący telefon... Sygnał brzmiał jak zwykłego aparatu, nie komórki — zapewne telefon stacjonarny. Hmm. Nacisnąłem drzwi. Grube i solidne. Przyłożyłem ucho do zimnej powierzchni, wybrałem numer komórki Maria i patrzyłem na wyświetlacz mojego aparatu. Po chwili połączenie zostało nawiązane.

Gdy usłyszałem przez drzwi słaby sygnał komórki Maria — telefon stacjonarny dzwonił głośno, ten nie — przeszedł mnie dreszcz. Prawda, może to nic takiego, lecz obecnie większość ludzi nie rusza się na krok, nawet do łazienki, bez telefonu komórkowego. Można na to narzekać, ale szansę, że facet zatrudniony w telewizji zostawi komórkę w domu, wychodząc do pracy, były bardzo nikłe.

— Mario?! — zawołałem. Zacząłem dobijać się do drzwi.

— Mario?

Oczywiście nie spodziewałem się odpowiedzi. Znów przyłożyłem ucho do drzwi, nasłuchując nie wiadomo czego. Może jęku? Pomniku? Wołania o pomoc? Czegoś.

Cisza.

Zastanowiłem się nad możliwościami. Nie było ich wiele. Cofnąłem się, podniosłem nogę i kopnąłem w drzwi. Nawet nie drgnęły.

— Wzmocnione stalową płytą, kolego. Nigdy ich nie rozwalisz.

Odwróciłem się. Mężczyzna miał skórzaną kamizelkę włożoną na gołe ciało i niestety nieodpowiednią do tego budowę. Jakimś cudem wyglądał jednocześnie na chudego i otyłego. W jego nosie tkwił kolczyk jak u buhaja. Był łysawy, lecz resztkę włosów miał zrobioną na żałostnego irokeza. Jego wiek oceniłem na ponad pięćdziesiąt. Wyglądał, jakby poszedł do baru dla gejów w 1979 roku i właśnie wrócił.

— Zna pan Contuzzich? — zapytałem.

Mężczyzna się uśmiechnął. Oczekiwałem następnego koszmaru dentysty, lecz choć reszta jego postaci znajdowała się w różnych stadiach rozkładu, zęby miał idealne.

— Ach — powiedział. — Jest pan Amerykaninem.

— Tak.

— Przyjaciel Maria, tak?

Nie było powodu się nad tym rozwodzić.

— Tak.

— No cóż, co mogę ci powiedzieć, kolego? Zwykle to spokojna para, ale wie pan, co mówią o słomianych wdowcach?

— Co chce pan powiedzieć?

— Sprowadził sobie dziewczynę, ot co. Pewnie panienkę do towarzystwa, rozumie pan? I puszczał głośno muzykę. Okropną. Zespół Eagles. Boże, wy, Amerykanie, powinniście się wstydzić.

— Niech mi pan coś powie o tej dziewczynie.

— Dlaczego?

Nie miałem czasu na wyjaśnienia. Wyjąłem broń. Nie wycelowałem jej w niego. Tylko ją wyjąłem.

— Jestem z amerykańskiej policji — oznajmiłem. — Obawiam się, że Mariowi może grozić poważne niebezpieczeństwo.

Jeśli widok mojej broni lub ten tekst poruszył niedoszętego Billy'ego Idola, to facet nie dał tego po sobie poznać. Wzruszył chudymi ramionami.

— Co mogę powiedzieć? Młoda, jasnowłosa, nie przyjrzałem jej się. Przyszła wczoraj wieczorem, kiedy wychodziłem.

Młoda, jasnowłosa. Serce zabiło mi mocniej.

— Muszę się dostać do tego mieszkania.

— Nie wykopiesz tych drzwi, kolego. Złamiesz sobie nogę.

Wycelowałem w zamek.

— Hej, czekaj. Naprawdę myślisz, że jest w niebezpieczeństwie?

— Tak. Westchnął.

Nad drzwiami jest zapasowy klucz. Na futrynie. Pomacałem niewielki występ futryny. Istotnie, był tam klucz. Włożyłem go do zamka. Billy Idol przysunął się do mnie. Odór dymu z papierosów buchał od niego jak z popielniczki. Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Billy Idol szedł tuż za mną. Obaj zrobiliśmy dwa kroki i zastygliśmy.

— O słodki Jezu...

Ja nic nie powiedziałem. Stałem i patrzyłem, nie mogąc się ruszyć. Pierwsze, co zobaczyłem, to stopy Maria. Były przymocowane taśmą klejącą do ławy. Fotelik dla dziecka i pluszaki, które widziałem wczoraj, leżały rozrzucone na podłodze. Może Mario patrzył na nie w ostatnich chwilach swego życia.

Jego stopy były bose. Obok nich leżała wiertarka. W palcach nóg i w pięcie były małe równe dziurki, idealnie okrągłe i rdzawoczerwone. Wiedziałem, że zostały zrobione wiertarką. Odzyskałem władzę w nogach i podszedłem bliżej. Zauważyłem kolejne ślady wiertła. W kolanach. Na klatce piersiowej. Powoli przesunąłem wzrok na jego twarz. Zobaczyłem ślady wiertła pod nosem, przechodzące przez kość policzkową do jamy ustnej, w brodzie. Wąska twarz Maria patrzyła na mnie wytrzeszczonymi oczami. Umarł w strasznych męczarniach.

— O słodki Jezu... — znów szepnął Billy Idol.

— O której słyszał pan głośną muzykę?

— Co?

Nie miałem siły tego powtarzać, ale załapał.

— O piątej rano.

Tortury. Muzyka miała zagłuszyć krzyki. Nie chciałem niczego dotykać, ale krew wyglądała na dość świeżą. Na podłodze leżał brudnobiały pył kostny. Znów spojrzałem na wiertarkę. Usłyszałem elektryczny świst, odgłos jej pracy, oraz krzyki, gdy wiertło przebijało mięśnie, chrząstkę i kości.

Nagle pomyślałem o Teresę znajdującej się zaledwie kilka przecznic dalej u Karen.

Pobiegłem do drzwi.

— Wezwij policję! — krzyknąłem.

— Zaczekaj, dokąd idziesz?

Nie miałem czasu wyjaśniać. Wciąż biegnąc, wepchnąłem broń do kieszeni i wyjąłem telefon komórkowy. Wybrałem numer Teresę. Jeden sygnał. Dwa. Trzy. Serce mi waliło. Raz po raz naciskałem guzik windy. Przy czwartym sygnale spojrzałem w okno i wtedy ją zobaczyłem. Patrzyła na mnie.

Młoda jasnowłosa dziewczyna z furgonetki.

Zobaczyła mnie, odwróciła się i uciekła. Nie zdążyłem przyjrzeć się jej twarzy. To mogła być jakakolwiek blondynka. Jednak nie. To była ta sama dziewczyna. Byłem tego pewny.

Co się dzieje, do diabła?

Myśli wirowały mi w głowie. Zacząłem rozglądać się za schodami, lecz wtedy drzwi windy się otworzyły. Wsiadłem i nacisnąłem przycisk parteru.

Włączyła się poczta głosowa Teresę.

To nie powinno się zdarzyć. Miała być u Karen. W domu Karen jest zasięg, więc powinna odebrać telefon. Nawet w trakcie bardzo poważnej rozmowy Teresę by się zgłosila. Wiedziałyby, że nie dzwoniłbym, gdyby to nie było bardzo pilne.

Niech to szlag, co teraz?

Pomyślałem o wiertarce. Pomyślałem o Teresę. I o twarzy Maria Contuziego. Pomyślałem o jasnowłosej dziewczynie. Wszystkie te obrazy wirowały mi w głowie, gdy winda zabrzączała i drzwi się otworzyły.

Jak daleko jest do domu Karen?

Dwie przecznice.

Wypadłem z budynku, wduszając numer Wina w opcji szybkiego wybierania. Odebrał po pierwszym sygnale.

— Przyjdź do Karen — rzuciłem, zanim zdążył powiedzieć „wystów się”. — Mario nie żyje. Teresę nie odbiera telefonu.

— Będę za dziesięć minut — powiedział Win. Rozłączyłem się i natychmiast poczułem wibracje komórki. Wciąż biegnąc, uniosłem telefon i sprawdziłem, kto dzwoni. Zatrzymałem się.

Teresę.

Wcisnąłem przycisk odbioru i przyłożyłem aparat do ucha.

— Teresę?

Nie odpowiedziała.

— Teresę?

I wtedy usłyszałem elektryczny świst wiertarki.

Przyptyw adrenaliny zaparł mi dech. Zamknąłem oczy, ale tylko na moment. Nie było czasu do stracenia. Mrowiło mnie w nogach, ale biegłem jeszcze szybciej.

Świst ucichł i usłyszałem męski głos:

— Zemsta jest słodka, nie sądzisz?

Czysto angielski akcent, taka sama kadencja zdania, jak wtedy, kiedy powiedział do mnie w Paryżu: „Posłuchaj, albo zastrzelę cię na śmierć”.

Mężczyzna, którego uderzyłem stolikiem. Ten z policyjnego zdjęcia.

Przerwał połączenie.

Wyjąłem broń i biegłem, trzymając ją w jednej ręce, a komórkę w drugiej. Strach to zabawna rzecz. Może skłonić do robienia prawdziwych cudów — na przykład czytaliście o ludziach, którzy podnosili rozbite samochody, żeby uwolnić ukochane osoby — ale może również sparaliżować, obezwładnić ciało i umysł, a nawet utrudnić oddychanie. Nagle nogi zaczęły mi ciążyć, jakbym przedzierał się przez głęboki śnieg. Musiałem się uspokoić, chociaż lęk wrywał dziurę w mojej piersi.

Zobaczyłem dom Karen.

Jasnowłosa dziewczyna stała przed frontowymi drzwiami.

Kiedy mnie zobaczyła, znikła w środku. Oczywiście to była pułapka, ale jakie miałem wyjście? Wciąż słyszałem dźwięk wiertarki płynący z telefonu Teresę. Właśnie w tym rzecz, no nie? Co powiedział Win? Dziesięć minut. Teraz już zapewne sześć lub siedem.

Czy powinienem czekać? Czy mogłem?

Skuliłem się, biegnąc bliżej ścian. Wcisnąłem przycisk szybkiego wybierania.

— Pięć minut — rzucił Win.

Rozłączyłem się.

Blondynka była teraz w domu. Nie wiedziałem, kto jeszcze tam jest i jak wygląda sytuacja. Pięć minut. Mogę poczekać pięć minut. Byłyby najdłuższe w moim życiu, ale mogłem to zrobić, powinienem to zrobić; zachować spokój w obliczu czystej paniki. Nisko pochylony, stanąłem pod oknem, nasłuchując. Nic. Żadnych krzyków. Ani warkotu wiertarki. Nie wiedziałem, czy czuć ulgę, czy przybyłem za późno.

Przywarłem plecami do muru. Okno miałem nad głową. Spróbowałem przypomnieć sobie rozkład pomieszczeń. To było okno w salonie. Dobrze, i co z tego? Nic. Czekałem. W ręku czułem solidny, krzepiący ciężar broni. Każda broń daje poczucie bezpieczeństwa. Jestem dobrym strzelcem, nie doskonałym. Trzeba bardzo dużo ćwiczyć, żeby być doskonałym. Wiedziałem jednak, że należy mierzyć w środek piersi i zazwyczaj udawało mi się podejść dostatecznie blisko.

I co teraz?

Zachowaj spokój. Czekaj na Wina. On jest w tym dobry.

„Zemsta jest słodka, nie sądzisz?”

Brytyjski akcent, spokojny głos. Słyszając ten przeklęty akcent, znów ujrzałem Maria i zrobione wiertłem dziury w jego ciele, jego potworne cierpienia. Jak długo trwały? Jak długo Mario musiał je znosić? Czy w końcu powitał śmierć z ulgą, czy walczył z nią?

W oddali zawyły syreny. Zapewne policja jechała do mieszkania Maria.

Już nie noszę zegarka, więc sprawdziłem godzinę na telefonie komórkowym. Jeśli Win był dokładny — a zwykle był — przybędzie dopiero za trzy minuty. Co robić?

Mam broń.

Zadałem sobie pytanie, czy blondynka ją widziała. Wątpiłem w to. Jak powiedział Win, w Zjednoczonym Królestwie trudno o broń palną. Ktokolwiek jest w tym domu zapewne sądzi, że nie jestem uzbrojony. Chociaż niechętnie, schowałem broń do kabury na kostce.

Trzy minuty.

Mój telefon zadzwonił. Na wyświetlaczu zobaczyłem, że to znów połączenie z aparatu Teresę. Ostrożnie powiedziałem „halo”.

— Wiemy, że jesteś na zewnątrz — powiedział głos z angielskim akcentem. — Masz dziesięć sekund, żeby przejść przez te drzwi z rękami w górze, albo strzelę jednej z tych zacnych dam w głowę. Jedną, dwie...

— Idę.

— Trzy, cztery...

Nie miałem wyjścia. Poderwałem się i pobiegłem do drzwi.

— Pięć, sześć, siedem...

— Nie rób im krzywdy. Już idę.

Nie rób im krzywdy. Mocne. Tylko co innego mogłem powiedzieć?

Przekręciłem gałkę drzwi. Nie były zamknięte, Otworzyły się. Wszedłem.

— Powiedziałem z rękami w górze — odezwał się głos. Podniosłem ręce. Mężczyzna z policyjnego zdjęcia stał naprzeciwko mnie po drugiej stronie pokoju. Jego twarz przecinał biały plaster. Oczy miał podkrążone, jak to zwykle bywa przy złamanym nosie. Czerpałbym z tego pewną satysfakcję, gdyby nie to, że trzymał w ręku broń. A ponadto Teresę i Karen klęczały przed nim twarzami do mnie, z rękami skrępowanymi na plecach. Obie wyglądały na całe i zdrowe.

Zerknąłem na boki. Jeszcze dwóch mężczyzn. Obaj z bronią wycelowaną w moją głowę.

Ani śladu jasnowłosej dziewczyny.

Stałem zupełnie nieruchomo, z rękami w górze, starając się wyglądać niegroźnie. Win jest już blisko. Jeszcze minutę lub dwie. Muszę zyskać trochę czasu. Nawiązałem kontakt wzrokowy z mężczyzną, który zaczepił mnie w Paryżu.

— Posłuchaj, pogadajmy, dobrze? — powiedziałem spokojnym, opanowanym głosem. — Nie ma powodu...

Przyłożył broń do potylicy Karen Tower, uśmiechnął się do mnie i nacisnął spust.

Rozległ się ogłuszający huk, trysnęła krew i wszystko znieruchomiło jak na stopklatce, a potem ciało Karen upadło na podłogę jak marionetka, której ktoś przeciął sznurki. Teresę wrzasnęła. Może ja też. Mężczyzna zaczął kierować lufę ku Teresę.

— OmójBożemójBożemójBoże...

— Nie!

Instynkt przejął kontrolę. Mantra: ocalić Teresę. Rzuciłem się ku niemu, jakbym dawał nura do basenu. Kule wystrzelone przez tych dwóch stojących po mojej lewej i prawej świsnęły mi nad uchem, ale obaj popełnili jakże częsty błąd, kiedy wycelowali broń w moją głowę. Teraz strzelili za wysoko. Kątem oka zobaczyłem, że Teresę padła na podłogę i

próbowała odtoczyć się na bok, kiedy mężczyzna zaczął kierować lufę w jej stronę. Musiałem działać jeszcze szybciej. Próbowałem robić kilka rzeczy jednocześnie: kulić się, unikać kuł, przebiec na drugi koniec pomieszczenia, wyjąć broń z kabury i zastrzelić drania. Zmniejszyłem dystans. Najlepiej byłoby biec zygzakiem, ale nie miałem na to czasu. W głowie wciąż słyszałem mantrę: ocalić Teresę. Musiałem go dopaść, zanim znów naciśnie spust.

Wrzasnąłem jeszcze głośniejsze, nie ze strachu czy bólu, ale żeby przykuć jego uwagę, sprawić, by się zawahał lub do mnie odwrócił — cokolwiek, by choć na pół sekundy opóźnić jego decyzję.

Byłem coraz bliżej.

Czas dziwnie zwolnił. Od egzekucji Karen minęła zapewne sekunda lub dwie. Tylko tyle. I już, bez namysłu czy planu, prawie go dopadłem.

Mimo to miałem się spóźnić. Już to rozumiałem. Wyciągnąłem rękę, jakbym w ten sposób mógł zmniejszyć dystans. Nie mogłem. Wciąż byłem za daleko.

Nacisnął spust.

Huknął drugi strzał. Teresę upadła.

Mój krzyk zmienił się w gardłowy ryk wściekłości. W moją pierś zagłębiła się zimna dłoń i ścisnęła serce. Gnałem w jego stronę, choć już we mnie celował. Strach znikł, pozostała czysta, instynktowna nienawiść. Broń była już prawie skierowana we mnie, prawie... kiedy pochylałem głowę i uderzyłem barkiem w jego brzuch. Znów wystrzelił, ale nie trafił.

Wpadłem na niego i rzuciłem na ścianę. Rąbnął mnie kolbą pistoletu w plecy. W innym świecie i w innym czasie może by mnie zabolowało, ale teraz ten cios był jak ukąszenie komara. Nie czułem bólu ani strachu. Z impetem uderzyliśmy o ścianę. Puściłem go i odskoczyłem, żeby móc swobodnie wyjąć broń z kabury na kostce.

To był błąd.

Byłem tak pochłonięty wyjmowaniem broni i chęcią zabicia tego drania, że prawie zapomniałem o dwóch pozostałych uzbrojonych przeciwnikach. Ten po prawej biegł do mnie z wycelowaną bronią. Odskoczyłem, gdy strzelił, ale znów za późno.

Trafił mnie.

Pałący ból. Dosłownie poczułem, jak gorący metal rozrywa moje ciało, zapierając dech i rzucając na plecy. Tamten ponownie wycelował, lecz wtedy padł kolejny strzał, trafiając go w szyję z taką siłą, że prawie oderwał mu głowę. Spojrzałem za padającego, ale już wiedziałem. To przybył Win.

Drugi mężczyzna, ten po mojej lewej, odwrócił się tylko po to, by zobaczyć, jak Win obraca się na pięcie i znów naciska spust. Kula dużego kalibru trafiła go prosto w twarz i jego głowa dosłownie eksplodowała. Spojrzałem na Teresę. Nie ruszała się. Mężczyzna z policyjnej fotografii — ten, który ją zastrzelił — zaczął uciekać, kierując się do salonu. Usłyszałem kolejne strzały. Ktoś krzychał, żeby stanąć i się nie ruszać. Zignorowałem te okrzyki. Na czworakach ruszyłem do salonu. Krwawiłem. Nie wiedziałem, gdzie dokładnie, ale domyślałem się, że kula trafiła mnie w okolice żołądka.

Przepetłem przez próg, nawet nie sprawdzając, czy to bezpieczne. Naprzód — myślałem. — Dopadnij drania i zabij go. Stał przy oknie. Ja byłem ranny i chyba pół-przytomny, ale wyciągnąłem rękę i złapałem go za nogę. Próbował się uwolnić, ale nie zdołał. Szarpnięciem obaliłem go na podłogę.

Walczyliśmy, ale byłem tak rozwścieczony, że nie miał szans. Wbiłem kciuk w jego oko, osłabiając go. Złapałem za szyję i zacząłem dusić. Zasypał mnie gradem ciosów, uderzając w twarz i kark. Nie przestawałem ścisnąć.

— Nie ruszaj się! Przestań!

Głosy w oddali. Poruszające się, postacie. Nie byłem pewien, czy są rzeczywiste. Były jak niesione przez wiatr. Może miałem halucynacje. Głos z amerykańskim akcentem. Brzmiał znajomo.

Nadal ścisnąłem szyję przeciwnika.

— Powiedziałem nie ruszaj się! Już! Puść go! Byłem otoczony. Sześciu, ośmiu ludzi, może więcej.

Większość celowała we mnie.

Spojrzałem w oczy zabójcy. Ujrzałem w nich drwinę. Rozluźniłem chwyt. Nie wiedziałem, czy posłuchałem rozkazu, czy osłabiła mnie rana. Puściłem jego szyję. Zabójca zakaształ, zbulgotał i spróbował to wykorzystać.

Zaczął unosić broń.

Na to liczyłem.

Już wyjąłem z kabury moją dwudziestkędwójkę. Lewą ręką złapałem go za przegub.

— Nie! — krzyknął znajomy głos z amerykańskim akcentem.

Jednak nie przejmowałem się tym, czy mnie zastrzelą. Wciąż ścisnąjąc jego przegub, wbiłem mu lufę pistoletu pod brodę i strzeliłem. Poczułem, że coś mokrego i lepkiego obryzgało mi twarz. Wtedy wypuściłem pistolet i upadłem na jego nieruchome ciało.

Mężczyźni rzucili się na mnie — całą gromadą, sądząc po ciężarze. Teraz, kiedy już zrobiłem to, co musiałem zrobić, opuścili mnie siły i wola życia. Pozwoliłem im obrócić się na plecy, skuć i przytrzymać, ale wcale nie musieli tego robić. Straciłem ochotę do walki. Przewrócili mnie na plecy. Odwróciłem głowę i spojrzałem na nieruchome ciało Teresę. Poczułem ból tak straszny, jakiego nie czułem jeszcze nigdy w życiu.

Miała zamknięte oczy i wkrótce, bardzo szybko, moje również się zamknęły.

CZĘŚĆ DRUGA

22

Pragnienie.

Piasek w gardle. Oczy niechcące się otworzyć. A może jednak?

Nieprzenikniona ciemność. Ryk silnika. Wyczułem, że ktoś nade mną stoi.

— Teresę...

Chyba powiedziałem to na głos, ale nie jestem pewny.

Następny strzęp wspomnienia: głosy. Wydawały się bardzo odległe. Nie rozróżniałem słów. Dźwięki, nic poza tym. Gniewne. Zbliżały się. Głośniejsze, aż nad uchem.

Mam otwarte oczy. Widzą biel. Głosy powtarzają w kółko to samo. To brzmi jak *Al-sabr wal-sayf*.

Nie rozumiem. Może to jakiś bełkot. Albo obcy język. Nie wiem.

— *Abr-sabr wal-sayf*.

Ktoś krzyczy mi to do ucha. Zaciskam powieki. Chcę, żeby to się skończyło. — *Abr-sabr wal-sayf!*

Głos jest zły, natarczywy. Chyba mówię, że mi przykro.

— On nie rozumie — mówi ktoś.

Cisza.

• • •

Ból w boku.

— Teresę... — powtarzam. Brak odpowiedzi. Gdzie ja jestem?

Znowu słyszę ten głos, ale nie rozumiem, co mówi. Czuję się osamotniony, opuszczony. Leżę. Chyba dygoczę.

• • •

— Pozwól, że wyjaśnię ci sytuację.

Wciąż nie mogę się ruszać. Próbuję otworzyć usta, ale nie mogę. Otwieram oczy. Wszystko rozmazane. Mam wrażenie, że głowę spowija mi gruba warstwa pajęczyn. Próbuję je zerwać. Nie dają się usunąć.

— Pracowałeś kiedyś dla rządu, prawda?

Czy ten głos mówi do mnie? Kiwam głową, ale moje ciało się nie rusza.

— Zatem wiesz o istnieniu takich miejsc jak to. One zawsze istniały. Musiałeś przynajmniej słyszeć plotki.

Nigdy nie wierzyłem plotkom. Może po jedenastym września. Jednak nie przed. Chyba mówię nie, ale może tylko w myślach.

— Nikt nie wie, gdzie jesteś. Nikt cię nie znajdzie. Możemy trzymać cię tu w nieskończoność. Możemy cię zabić, jeśli zechcemy. Albo możemy cię wypuścić.

Palce na moim bicepsie. Inne palce na moim przegubie. Opieram się słabo. Uklucie. Nie mogę się ruszać. Nie mogę tego powstrzymać. Przypominam sobie, jak ojciec zabrał mnie do wesołego miasteczka przy Northfield Avenue, kiedy miałem sześć lat. Karuzele i inne atrakcje. Dom Wariatów. Tak się to nazywało. Lustra, wielkie głowy klaunów i okropny śmiech z głośników. Wszedłem tam sam. Przecież byłem dużym chłopcem. Zgubiłem drogę, kręciłem się w kółko i nie mogłem znaleźć wyjścia. Jedna z tych wielkich głów skoczyła na mnie. Zacząłem krzyczeć. Odwróciłem się. Przede mną była następna wielka głowa klauna, szydząca ze mnie.

Tak samo czułem się teraz.

Krzyknąłem, odwróciłem się. Zawołałem tatę. Wykrzyknął moje imię, wbiegł do środka, przebił się przez cienką ścianę, znalazł mnie i uspokoił.

Tato — myślę. — Tato mnie znajdzie. Lada chwila.

Jednak nikt nie przyszedł.

• • •

— Skąd znasz Ricka Collinsa?

Mówię prawdę. Znów. Jestem taki zmęczony.

— A skąd znasz Mohammada Matara?

— Nie wiem kto to taki.

— Próbowałeś go zabić w Paryżu. Potem zabiłeś go, zanim złapaliśmy cię w Londynie. Kto kazał ci go zabić?

— Nikt. Zaatakował mnie.

Wyjaśniam. Potem przydarza mi się coś strasznego, ale nie wiem co.

• • •

Idę. Ręce mam związane na plecach. Niewiele widzę, tylko plamki światła. Czyjeś dłonie trzymają mnie za ramiona. Brutalnie popychają w dół.

Leżę na plecach.

Nogi mam skrępowane razem. Pas zaciśnięty na piersi. Jestem przywiązany do jakiejś twardej powierzchni.

Nie mogę się ruszać.

Nagle plamki światła znikają. Chyba krzyczę. Może wiszę głową w dół. Nie wiem.

Wielka mokra dłoń zakrywa mi twarz. Łapie za nos. Zakrywa usta.

Nie mogę oddychać. Próbuję się wyrwać. Mam związane ręce. Nogi też.

Nie mogę oddychać. Ktoś trzyma moją głowę. Nie mogę jej obrócić. Dłoń jeszcze mocniej naciska na moją twarz. Brak powietrza.

Panika. Chcą mnie załatwić.

Próbuję wciągnąć powietrze. Otwieram usta. Oddychać. Muszę oddychać. Nie mogę. Woda wypełnia mi gardło i wdziera się do nosa.

Krztuszę się. Moje płuca płoną. Zaraz pękną. Mięśnie protestują gwałtownymi skurczami. Muszę się wyrwać. Nie mogę. Nie ma ucieczki.

Nie ma powietrza.

Umieram.

• • •

Słyszę, że ktoś szlocha, i uświadamiam sobie, że to ja. Nagły przesywający ból. Wyginam się w łuk. Wybałuszam oczy. Wrzeszczę.

— O Boże, proszę...

To mój głos, ale go nie rozpoznaję. Taki słaby, jestem tak cholernie słaby.

• • •

- Mamy do ciebie kilka pytań.
- Proszę. Już na nie odpowiedziałem.
- Mamy następne.
- A potem będę mógł odejść?
Błagalny ton.
- To twoja jedyna nadzieja.

• • •

Budzę się nagle w oślepiającym świetle skierowanym na moją twarz. Mrugam. Serce mi galopuje. Nie mogę złapać tchu. Nie wiem, gdzie jestem. Sięgam myślą wstecz. Co jest ostatnią rzeczą, którą pamiętam? Wepchnąłem lufę pod brodę tego drania i nacisnąłem spust.

Jest tam coś jeszcze, w zakamarku mojego mózgu, poza zasięgiem. Może sen. Znasz to uczucie — budzisz się i koszmar jest tak cholernie żywy, ale kiedy usiłujesz go przywołać, wspomnienie rozwiewa się jak dym na wietrze. Tak dzieje się ze mną teraz. Próbuję zatrzymać obrazy, ale one znikają.

— Myronie?

Spokojny, modulowany głos. Boję się tego głosu. Kulę się. Czuję potworny wstyd, chociaż nie wiem dlaczego.

Mój głos wydaje mi się pokorny.

— Tak?

— I tak większość tego zapomnisz. Tak będzie najlepiej. Nikt ci nie uwierzy, a nawet gdyby, to nikt nas nie znajdzie. Nie wiesz, gdzie jesteśmy. Nie wiesz, jak wyglądamy. I pamiętaj: możemy zrobić to znowu. Możemy złapać cię, kiedykolwiek zechcemy. I nie tylko ciebie. Twoją rodzinę. Twoją matkę i ojca w Miami. Twojego brata w Ameryce Południowej. Rozumiesz?

— Tak.

— Po prostu odpuść sobie. Wtedy nic ci nie będzie, tak?

Kiwam głową. Powieki mi opadają. Znow osuwam się w ciemność.

23

Budzę się przerażony.

To do mnie niepodobne. Serce wali mi jak młotem. Strach ściska pierś, aż trudno oddychać. I wszystko to, zanim jeszcze otworzyłem oczy.

Kiedy w końcu je otworzyłem, mrugając — i spojrzałem na pokój — bicie mojego serca uspokoiło się i strach ustąpił, Esperanza siedziała na krześle, zajęta swoim iPhone'em. Jej palce śmigały po klawiaturze — niewątpliwie konferuje z jednym z naszych klientów. Ja lubię nasz biznes, ale ona go kocha.

Obserwowałem ją przez chwilę, bo ten znajomy widok był tak cholernie krzepiący. Esperanza miała na sobie białą bluzkę i szarą garsonkę, w uszach kolczyki, włosy odgarnięte za uszy. Zastłona w oknie za jej plecami była odsunięta. Stwierdziłem, że jest noc.

— Którym z klientów się zajmujesz? — zapytałem.

Na dźwięk mojego głosu jej oczy się rozszerzyły. Upuściła iPhone'a na stolik i podbiegła do mnie.

— O mój Boże, Myronie. O mój Boże...

— Co to, umieram?

— Nie, dlaczego?

— Tak się na mnie rzuciłaś. Zwykle ruszasz się o wiele wolniej.

Zaczęła płakać i pocałowała mnie w policzek. Esperanza nigdy nie płacze.

-- Och, chyba jednak umieram.

— Nie bądź dupkiem — powiedziała, ocierając łzy. Uściskała mnie. — Czekaj, nie, bądź sobie dupkiem. Bądź takim cudownym dupkiem jak zawsze.

Spojrzałem jej przez ramię. Znajdowałem się w typowym szpitalnym pokoju.

— Jak długo tu siedzisz? — zapytałem.

— Niedługo — odparła Esperanza, wciąż mnie ściskając. — Co pamiętasz?

Zastanowiłem się. Karen i Teresę zostały zastrzelone. Zabił je ten facet. Ja zabiłem jego. Przełknąłem ślinę i zebrałem wszystkie siły.

— Co z Teresę?

Esperanza wstała i puściła mnie.

— Nie wiem.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwałem.

— Jak to nie wiesz?

— To trochę trudno wyjaśnić. Jaka jest ostatnia rzecz, którą pamiętasz?

Skupiłem się.

— Moje ostatnie klarowne wspomnienie — zacząłem -- to jak zabiłem tego drania, który zastrzelił Teresę i Karen. Potem rzucił się na mnie tłum facetów.

Skinęła głową.

— Ja też zostałem postrzelony, czyż nie?

— Tak.

To wyjaśniało szpital.

Esperanza znów się nade mną pochylała i szepnęła mi do ucha:

— W porządku, posłuchaj mnie przez moment. Jeśli otworzą się te drzwi i wejdzie pielęgniarka lub ktoś inny, nic nie mów. Rozumiesz?

— Nie.

— To polecenie Wina. Po prostu tak zrób, dobrze?

— Dobrze. Przyleciałaś do Londynu, żeby przy mnie być?

— Nie.

— Jak to nie?

— Zaufaj mi, dobrze? Powoli. Co jeszcze pamiętasz?

— Nic.

— Nic od czasu, gdy zostałeś postrzelony do teraz?

— Gdzie jest Teresę?

— Już ci powiedziałam. Nie wiem.

— To nie ma sensu. Jak możesz nie wiedzieć?

— To długa historia.

— Może mi ją opowiesz?

Esperanza spojrzała na mnie zielonymi oczami. Nie spodobało mi się to, co w nich zobaczyłem.

Spróbowałem usiąść.

— Jak długo byłem nieprzytomny?

— Tego też nie wiem.

— Powtarzam: jak możesz nie wiedzieć?

— Po pierwsze, nie jesteś w Londynie.

To mnie uczyło. Rozejrzałem się po szpitalnej salce, jakbym w ten sposób mógł uzyskać wyjaśnienie. I uzyskałem. Na moim kocu widniała pieczęć z napisem „New York-Presbyterian Medical Center”.

To niemożliwe.

— Jestem na Manhattanie?

— Tak.

— Przetransportowano mnie samolotem?

Nie odpowiedziała.

— Esperanzo?

— Nie wiem.

— No cóż, od jak dawna jestem w tym szpitalu?

— Może kilka godzin, ale nie jestem pewna.

— Mówisz bez sensu.

— Ja też tego nie rozumiem, wiesz? Dwie godziny temu zadzwoniono do mnie, że jesteś tutaj.

Miałem zamęt w głowie i jej wyjaśnienia nie sprawiły, że znikł.

— Dwie godziny temu?

— Tak.

— A przedtem?

— Przed tym telefonem nie mieliśmy pojęcia, gdzie jesteś.

— Używając liczby mnogiej, mówisz...

- O mnie, Winie, twoich rodzicach...
- Moich rodzicach?
- Nie martw się. Okłamaliśmy ich. Powiedzieliśmy, że jesteś w Afryce na terenie, gdzie rzadko jest zasięg.
- I nikt z was nie wiedział, gdzie jestem?
- Zgadza się.
- Jak długo to trwało?
- Tylko na mnie spojrzęła.
- Jak długo, Esperanzo?
- Szesnaście dni.
- Leżałem i milczałem. Szesnaście dni. Byłem nieprzytomny przez szesnaście dni. Kiedy spróbowałem coś sobie przypomnieć, moje serce zaczęło bić mocniej. Poczułem lęk.
- „Po prostu odpuść...”.
- Myronie?
- Pamiętam, że mnie aresztowano.
- Dobrze.
- Mówisz mi, że to było szesnaście dni temu?
- Tak.
- Kontaktowaliście się z angielską policją?
- Oni też nie wiedzieli, gdzie jesteś.
- Miałem milion pytań, ale otworzyły się drzwi, przerywając naszą rozmowę. Esperanza posłała mi ostrzegawcze spojrzenie. Zamilkłem. Weszła pielęgniarka.
- No, no, obudził się pan — powiedziała.
- Zanim drzwi za nią się zamknęły, ktoś inny otworzył je pchnięciem.
- Mój tato.
- Na widok tego zdecydowanie starszego pana poczułem coś w rodzaju ulgi. Był zasapany, niewątpliwie z powodu pośpiechu, z jakim pędził, by zobaczyć syna. Mama szła tuż za nim. Mama zawsze się na mnie rzuca, nawet podczas zwyczajnych wizyt, jakbym był świeżo uwolnionym jeńcem wojennym. Tym razem też to zrobiła, odpychając po drodze pielęgniarkę. Zwykle kiedy to robi, przewracam oczami, chociaż w głębi duszy jestem zadowolony. Tym razem nie przewracałem.
- Nic mi nie jest, mamó. Naprawdę.
- Ojciec przez moment trzymał się z tyłu, jak to ma w zwyczaju. Oczy miał mokre i zaczerwienione. Spojrzałem na jego twarz. Wiedział. Nie kupił tej bajeczki o Afryce i braku zasięgu. Zapewne pomógł sprzedać tę bujdę mamie. Jednak wiedział.
- Jesteś taki wymizerowany — białoliła mama. — Nic dawali ci tam jeść?
- Daj mu spokój — prychnął tata. — Wygląda dobrze.
- Nie wygląda dobrze. Jest chudy. I blady. Dlaczego leżysz w szpitalu?
- Mówiłem ci — powiedział tata. — Nie słuchałaś mnie, Ellen? Zatrucie pokarmowe. Nic mu nie będzie, to rodzaj dyzenterii.
- Po co w ogóle pojechałeś do Sierra Madre?
- Sierra Leone — poprawił tata.
- Myślałam, że do Sierra Madre.
- Pomyliło ci się z filmem.
- No właśnie. Z Humphreym Bogartem i Katherine Hepburn.
- To była *Afrykańska królowa*.

— Och — jęknęła mama, zrozumiawszy swoją pomyłkę. Puściła mnie. Tata podszedł, odgarnął mi włosy z czoła i pocałował w policzek. Poczułem, jak lekko drapie mnie brodą. W powietrzu unosił się przyjemny zapach Old Spice'a.

— Nic ci nie jest? — zapytał.

Pokręciłem głową. Nadal miał sceptyczną minę.

Oboje wyglądali tak staro. Tak to już jest, prawda? Kiedy przez jakiś czas nie widzisz dziecka, dziwisz się, jak bardzo urosło. Kiedy przez jakiś czas nie widzisz starszej osoby, dziwisz się, jak bardzo się zestarzała. Tak dzieje się za każdym razem. Kiedy moi pełni życia rodzice przekroczyli tę linię? Mama ma to drżenie wywołane chorobą Parkinsona. Jej stan się pogarsza. Jej umysł, zawsze nieco ekscentryczny, zaczyna sprawiać jej coraz większe kłopoty. Tata jest stosunkowo zdrowy, ma tylko drobne kłopoty z sercem, ale oboje wyglądali tak cholernie siaro.

„Twoją matkę i ojca w Miami”.

Ścisnęło mnie w piersi. Znów miałem kłopoty z oddychaniem.

— Myronie? — Tata się zaniepokoił.

— Nic mi nie jest.

Pielęgniarka precyzyjnie się do mnie. Rodzice się odsunęli. Wetknęła mi termometr do ust i zaczęła mierzyć puls.

— Już jest po godzinach odwiedzin — oznajmiła. — Wszyscy państwo będą musieli teraz wyjść.

Nie chciałem, żeby wyszli. Nie chciałem zostać sam. Byłem przerażony i bardzo zawstydzony. Z wymuszonym uśmiechem wyjąłem z ust termometr.

— Prześpijcie się trochę, dobrze? — powiedziałem z udawanym animuszem. — Zobaczmy się rano.

Napotkałem spojrzenie ojca. Wciąż sceptyczne. Szepnął coś do Esperanzy. Skinęła głową i wyprowadziła mamę z pokoju. Pielęgniarka odwróciła się w drzwiach.

— Proszę pana — powiedziała do mojego ojca — musi pan wyjść.

— Chcę przez chwilę zostać sam z moim synem. Zawahała się.

— Ma pan dwie minuty. Zostawiła nas.

— Co się z tobą działo? — zapytał tato.

— Nie wiem.

Kiwnął głową. Przysunął krzesło do łóżka, usiadł na nim i wziął mnie za rękę.

— Nie uwierzyłeś, że byłem w Afryce?

— Nie.

— A mama?

— Powiedziałem, że dzwoniłeś, kiedy jej nie było.

— Kupiła to?

Wzruszył ramionami.

— Nigdy wcześniej jej nie okłamywałem, więc owszem, kupiła to. Twoja matka nie jest już tak bystra, jak kiedyś.

Nic nie powiedziałem. Weszła pielęgniarka.

— Musi pan wyjść.

— Nie — powiedział ojciec.

— Proszę mnie nie zmuszać do wezwania ochrony. Poczułem, jak strach znów ścisną mi serce.

— W porządku, tato. Nic mi nie jest. Prześpij się trochę. Patrzył na mnie przez chwilę, po czym zwrócił się do

pielęgniarki:

— Jak się nazywasz, złotko?

— Regina.

— Regina jak?

— Monte.

— Ja jestem Al, Regino. Al Bolitar. Masz dzieci?

— Dwie córki.

— To jest mój syn, Regino. Możesz wezwać ochronę, jeśli chcesz, jednak nie zostawię mojego syna samego.

Chciałem zaprotestować, lecz znów tego nie zrobiłem. Pielęgniarka odwróciła się i wyszła. Nie wezwała ochrony. Ojciec przez całą noc siedział przy moim łóżku. Podawał mi wodę i poprawiał koc. Kiedy krzychałem przez sen, uciskał mnie, gładził moje czoło i mówił, że wszystko będzie dobrze — i przez kilka sekund mu wierzyłem.

24

Win zadzwonił z samego rana.

— Idź do pracy — polecił. — Nie zadawaj żadnych pytań.

I się rozłączył. Czasem Win naprawdę mnie wkurza.

Mój ojciec pobiegł do piekarni po drugiej stronie ulicy, ponieważ szpitalne śniadanie przypominało coś, czym małpy w zoo rzucają w ludzi. Kiedy go nie było, przyszedł lekarz i orzekł, że nic mi nie jest. Tak, istotnie zostałem postrzelony. Kula przeszła przez mój prawy bok, nad biodrem. Jednak rana została prawidłowo opatrzona.

— Czy mogła wymagać szesnastodniowej hospitalizacji? — zapytałem.

Lekarz spojrzał na mnie dziwnie, pamiętając, że wylądowałem w tym szpitalu nieprzytomny, z raną postrzałową, a teraz mając coś o szesnastu dniach. Jestem pewien, że już szykował się, by wysłać mnie do psychiatry.

— Hipotetycznie — dodałem pospiesznie, przypominając sobie ostrzeżenie Wina. Potem przestałem zadawać pytania i zacząłem przytakiwać.

Tata został przy mnie, aż mnie wypisano. Esperanza powiesiła w szafie mój garnitur. Włożyłem go i od razu poczułem się lepiej. Chciałem złapać taksówkę, ale tata uparł się, że będzie prowadził. Kiedyś był bardzo dobrym kierowcą. Kiedy byłem mały, czuł się świetnie na drodze, cicho pogwizdując do wtóru radiu, opierając nadgarstki na kierownicy. Teraz radio pozostawało wyłączone. Mrużył oczy i znacznie częściej używał hamulca.

Kiedy dotarliśmy do Lock-Horne Building przy Park Avenue — znów przypominam, że pełne nazwisko Wina to Windsor Horne Lockwood Trzeci, więc reszty możecie się, domyślić — tata zapytał:

— Mam cię tu wysadzić?

Czasem ojciec mnie zadziwia. Ojcostwo to sztuka załapania równowagi, lecz jak ktoś może robić to tak dobrze i z taką łatwością? Przez całe moje życie skłaniał umie do uzyskiwania najlepszych wyników i nigdy nie osądził. Cieszył się moimi sukcesami, lecz wydawało się, że nie przykładają do nich szczególnej wagi. Kochał mnie bezwarunkowo, a mimo to chciałem spełniać jego oczekiwania. Wiedział, tak jak teraz, kiedy być przy mnie, a kiedy lepiej się wycofać.

— Nic mi nie będzie.

Kiwnął głową. Znów ucałowałem szorstką skórę jego policzka, zauważając, że lekko obwisł, po czym wysiadłem z wozu. Drzwi windy otwierają się bezpośrednio w moim biurze. Wielka Cyndi siedziała za biurkiem, mając na sobie coś, co wyglądało jak zdarte z Bette Davis po nakręceniu tej dramatycznej sceny na plaży w *Co się zdarzyło Baby Jane*. Włosy miała związane w kucyki. Wielka Cyndi jest... no cóż, wielka — jak już mówiłem, waży ponad sto osiemdziesiąt kilo — wszędzie. Ma wielkie dłonie, wielkie stopy i wielką głowę. Meble wokół niej zawsze wyglądają jak te specjalne robione dla dzieciaków i w rezultacie Cyndi sprawia wrażenie Alicji w krainie czarów, gdy pomieszczenie i wszystko, co w nim jest, wygląda przy niej, jakby się skurczyło.

Na mój widok wstała, o mało nie wywracając biurka.

— Pan Bolitar! — wykrzyknęła,

— Cześć, Wielka Cyndi.

Wścieka się, kiedy nazywam ją tylko „Cyndi” lub... hmm... „Wielką”. Przywiązuje wagę do form. Ja jestem pan Bolitar. Ona jest Wielką Cyndi, i nawiasem mówiąc, naprawdę tak brzmi jej nazwisko. Zmieniła je legalnie ponad dziesięć lat temu.

Wielka Cyndi przeszła przez pokój ze zręcznością przeczącą jej rozmiarom. Zamknęła mnie w uścisku, a ja miałem wrażenie, że zmumifikowano mnie w wilgotnej wełnie mineralnej do ocieplania poddasza. Przyjemnie.

— Och, panie Bolitar!

— Nic mi nie jest, Wielka Cyndi.

— Przecież ktoś pana postrzelił!

Jej głos zmienia się w zależności od nastroju. Kiedy Zaczęła tu pracować, Wielka Cyndi nie mówiła — wołała warczeć. Klienci narzekali, ale nie w oczy i zwykle anonimowo. Teraz głos Wielkiej Cyndi był piskliwy i dziewczęcy, i szczerze mówiąc, o wiele bardziej przerażający od warczenia.

— Ja postrzeliłem go lepiej — zapewniłem.

Puściła mnie i zachichotała, zasłaniając usta dłonią wielkości koła od ciężarówki. Jej chichot odbił się echem w pokoju i w pobliskich trzech stanach dzieci pospiesznie złapały się matczyńskich spódnic.

Esperanza podeszła do drzwi. Niegdyś Esperanza i Wielka Cyndi były partnerkami, dwiema zapaśniczkami należącymi do federacji Wspaniałe Damy Wreściingu.

Esperanza, ze smagłą skórą i urodą, którą najlepiej można opisać — co często robili zdyszani sprawozdawcy — jako „Apetyczną”, odgrywała Małą Pocahontas, filigranową pięknosc, która zwyciężała dzięki zręczności, zanim podstępny wróg zaczął oszukiwać i zdobywać nad nią przewagę. Wielka Cyndi była jej partnerką, Wielką Szefową, która pilnowała ją, aby mogły razem i przy ryku tłumu pokonać przywdzianego i ulepszonego silikonem niegodziwego przeciwnika

I to fajna rozrywka.

— Mamy robotę — powiedziała Esperanza. — i to mnóstwo.

Nasze biuro jest raczej niewielkie. Mamy poczekalnię i dwa gabinety, jeden mój, drugi Esperanzy. Esperanza zaczęła tu pracę jako moja asystentka, sekretarka czy jak tam politycznie poprawnie nazwać żeńską odmianę Piętaszka. Ukończyła wieczorowe studia prawnicze i została moją pełnoprawną współpracowniczką mniej więcej wtedy, kiedy się załamałem i uciekłem z Teresę na wyspę.

— Co powiedziałaś klientom? — spytałem.

— Miałeś wypadek samochodowy za granicą. Skinąłem głową. Poszliśmy do jej gabinetu. Po moim ostatnim zniknięciu zrobił się bałagan w interesach. Trzeba było przeprowadzić kilka rozmów telefonicznych. Przeprowadziłem je. Utrzymaliśmy większość klientów, prawie wszystkich, poza kilkoma, którym nie podobało się to, że przez ponad dwa tygodnie nie mogą się skontaktować ze swoim agentem. Rozumiałem ich. To szczególny interes. Wymaga prowadzenia za rączkę i podbudowywania ego. Każdy klient chce mieć wrażenie, że jest jedyny, to część iluzji. Kiedy cię przy nich nie ma, nawet z istotnych powodów, ta iluzja znika.

Chciałem zapytać o Teresę, Wina i milion różnych spraw, ale przypomniałem sobie poranny telefon. Zabrałem się do pracy. Po prostu pracowałem i wyznam, że była to dobru terapia. Byłem roztrzęsiony i niespokojny z powodów, których nie potrafiłbym sensownie wyjaśnić. Gryzłem nawet paznokcie, czego nie robiłem, od kiedy skończyłem czwarty klasę, i szukałem na ciele strupków, które mógłbym obskubać. Praca mi pomogła.

Podczas przerwy poszukałem w Internecie hasel „Teresę Collins” i „Rick Collins” oraz „Karen Tower”. Najpierw wprowadziłem wszystkie trzy nazwiska. Nic się nie pojawiło. Potem

spróbowałem samą Teresę. Bardzo niewiele, wszystko z czasów jej pracy w CNN. Ktoś jeszcze prowadził stronę internetową „Teresę spikerki” z jej zdjęciami, głównie ujęciami i wideoklipami wiadomości telewizyjnych, ale nie odświeżał jej od trzech lat.

Potem wyszukałem w Google wiadomości o Ricku i Karen.

Spodziewałem się znaleźć niewiele, może nekrolog, ale siało się inaczej. Było mnóstwo wiadomości, aczkolwiek głównie z gazet Wielkiej Brytanii. Zaszokowały mnie, i jednocześnie nadawały wszystkiemu upiorny sens.

REPORTER I JEGO ŻONA ZAMORDOWANI PRZEZ TERRORYSTÓW

Komórka rozbita, jej członkowie zabici
w strzelaninie.

Zacząłem czytać. W drzwiach stanęła Esperanza.

— Myronie?

Uniesionym palcem poprosiłem o chwilę cierpliwości. Podeszła do mojego biurka i zobaczyła, co robię. Westchnęła i usiadła.

— Wiedziałaś o tym? — zapytałem.

— Oczywiście.

Według artykułu „siły specjalne zajmujące się międzynarodowym terroryzmem” osaczyły i „wylimitowały” legendarnego terrorystę Mohammada Matara, czyli „Doktora Śmierć”. Mohammad Matar urodził się w Egipcie, ale wykształcił w najlepszych szkołach Europy, w tym w Hiszpanii (stąd połączenie islamskiego imienia z nazwiskiem oznaczającym po hiszpańsku „śmierć”) i istotnie był lekarzem, który ukończył studia w Stanach Zjednoczonych. Siły specjalne zabiły także co najmniej trzech innych członków jego komórki — dwóch w Londynie i jednego w Paryżu.

Było też zdjęcie Matara. To samo policyjne ujęcie, które przesłał mi Berleand. Spojrzałem na człowieka, którego — jak to określili dziennikarze — wylimitowałem.

W dalszej części artykuł informował, że reporter wiadomości Rick Collins był bliski rozpracowania komórki, którą próbował infiltrować, gdy został zdemaskowany. Matar i jego siepacze zamordowali Collinsa w Paryżu. Matar wymknął się z sieci francuskiej policji (choć najwyraźniej jeden z jego ludzi został przy tym zabity), dotarł do Londynu i próbował zniszczyć wszelkie dowody istnienia jego komórki i „ohydnego terrorystycznego spisku”, zabijając wieloletniego współpracownika Ricka Collinsa, Maria Contuzziego, oraz żonę Collinsa, Karen Tower. To właśnie w domu Collinsa i Tower Mohammad Matar i dwaj członkowie jego grupy zostali zabici.

Spojrzałem na Esperanzę.

— Terrorysty?

Skinęła głową.

— To wyjaśnia, dlaczego Interpol wpadł w panikę, kiedy pokazaliśmy im jego zdjęcie.

— Tak.

— Gdzie jest Teresę?

— Nikt nie wie.

Usiadłem, próbując to przetrwać.

— Tutaj piszą, że agenci rządowi zabili terrorystów.

— Tak.

— Tylko że to nie oni.

- To prawda. Ty to zrobisz.
- i Win.
- Racja.
- Jednak pominęli nasze nazwiska.
- Tak.

Pomyślałem o tych szesnastu dniach, o Teresę, o badaniach krwi, o jasnowłosej dziewczynie. Co się dzieje, do diabła?!

Nie znam szczegółów. I wcale mnie nie obchodzą. Dlaczego? Esperanza tylko pokręciła głową.

— Czasem jesteś takim głupkiem. Czekałem. — Zostałeś postrzelony. Win to widział. I przez ponad dwa tygodnie nie mieliśmy pojęcia, gdzie jesteś, czy jesteś żywy, czy martwy, i co się z tobą stało.

Uśmiechnąłem się mimo woli.

- Przestań się szczerzyć jak idiota.
- Martwiłaś się o mnie.
- Martwiłam się o moją część interesu.
- Lubisz mnie.
- Jesteś wrzodem na dupie.
- Wciąż nie rozumiem. — Uśmiech znikł z mojej twarzy. — Jak mogę nie pamiętać, gdzie byłem?

„Po prostu odpuść...”

Ręce zaczęły mi drżeć. Spojrzałem na nie i spróbowałem to powstrzymać. Nie zdołałem. Esperanza też na nie patrzyła.

— Ty mi to powiedz — rzekła. — Co pamiętasz? Zaczęła mi się trząść noga. Poczułem ściskanie w piersiach. Przyptyw paniki.

- Dobrze się czujesz?
- Przydałaby mi się szklanka wody — wychrypiałem. Esperanza wyszła szybko i wróciła z kubkiem. Piłem powoli, niemal obawiając się, że się zakrztuszę. Popatrzyłem na moje dłonie. To drżenie. Nie mogłem go powstrzymać. Co, do diabła, się ze mną dzieje?

- Myronie?
- W porządku. I co teraz?
- Mamy klientów potrzebujących naszej pomocy.

Spojrzałem na nią.

Westchnęła.

- Myśleliśmy, że będziesz potrzebował trochę czasu.
- Na co?
- Na dojście do siebie.
- Po czym? Nic mi nie jest.
- Taaak, wyglądasz wspaniale. A to drżenie to niesamowity dodatek. I nie każ mi mówić o twoim nowym nerwowym tiku. Bardzo seksowny.
- Nie potrzebuję czasu, Esperanzo.
- Owszem, potrzebujesz.
- Teresę zaginęła.
- Albo zginęła.
- Próbujesz mną wstrząsnąć?
- Wzruszyła ramionami.
- Nawet jeśli nie żyje, muszę odnaleźć jej córkę.

- Nie w twoim stanie.
- Tak, Esperanzo, w moim stanie.
Nic nie powiedziała.
- O co chodzi?
- Nie sądzę, żebyś był gotowy.
- To nie twoja specjalność.
Zastanowiła się.
- Chyba nie.
- I co?
- To, że mam coś o lekarzu, z którym Collins rozmawiał o chorobie Huntingtona i tej charytatywnej organizacji od aniołków.
- Co takiego?
- To może poczekać. Jeśli mówisz poważnie i naprawdę jesteś gotowy, musisz zadzwonić na ten numer z tego telefonu.
Wręczyła mi telefon komórkowy i opuściła gabinet, zamykając za sobą drzwi. Spojrzałem na numer. Nieznany mi, ale niczego innego nie oczekiwałem. Wprowadziłem go i nacisnąłem klawisz połączenia.
Po dwóch sygnałach usłyszałem znajomy głos, mówiący:
— Witaj z powrotem w świecie żywych, przyjacielu. Spotkajmy się w tajnym lokalu. Obawiam się, że mamy dużo do omówienia.
To był Berleand.

25

„Tajny lokal” Berleanda znajdował się w Bronksie.

Ulica była nędzna, a pod podanym adresem mieściła się spelunka. Sprawdziłem jeszcze raz, ale to nie była pomyłka. Lokal ze striptizem według szyldu zwał się Upscale Pleasurus*, chociaż moim zdaniem nie spełniał żadnej z tych dwóch obietnic. Nieco mniejszy napis poniżej informował, iż jest to „pierwszorzędny bar dla dżentelmenów”. Określenie „pierwszorzędny” w tym przypadku było nie tylko wewnętrznie sprzeczne, ale przede wszystkim nieistotne. „Pierwszorzędny klub striptizowy” to trochę jak „dobry tupecik”. Może być dobry albo zły, ale zawsze to tupecik.

Sala była ciemna i bez okien, tak więc w samo południe, kiedy tam przybyłem, wyglądała tak samo jak o północy.

— Mogę w czymś pomóc? — zapytał wielki czarnoskóry mężczyzna z ogoloną głową.

— Szukam pewnego Francuza po pięćdziesiątce.

Skrzyżował ręce na piersi.

— To we wtorki.

— Nie, chodzi mi...

— Wiem, o co panu chodzi.

Powstrzymując śmiech, wskazał scenę muskularną ręką z wytatuowaną dużą zieloną literą D. Spodziewałem się, że znajdę Berleanda siedzącego w zacisznym kącie, ale nie, siedział tuż przed sceną, wpatrując się w... hm... artystkę.

— Czy to jest pański Francuz?

— Tak.

Wykidajło odwrócił się do mnie. Plakietka na jego piersi głosiła „Anthony”. Wzruszyłem ramionami. Przeszył mnie wzrokiem.

— Mogę coś jeszcze dla pana zrobić? — zapytał.

— Może mi pan powiedzieć, że nie wyglądam na faceta, który chodzi do takich lokali, szczególnie za dnia.

Anthony uśmiechnął się szeroko.

— Wie pan, jacy faceci nie przychodzą do takich lokali, szczególnie za dnia?

Czekałem.

— Ślepi.

* Upscale Pleasures (ang.) — ekskluzywne rozkosze.

Odszedł. Ruszyłem w kierunku Berleanda i baru. Z głośników płynął głos Beyonce, śpiewającej swemu chłopakowi, że i tak jej nie pozna, że w każdej chwili może wziąć sobie innego, że łatwo go zastąpić. Głupie gadanie. Do licha, przecież jesteś Beyonce. Jesteś piękna, sławna, bogata, kupujesz swojemu chłopakowi drogie samochody i ciuchy.

O rany, przecież nie zdołasz poderwać sobie innego faceta.

Te dziewczyny.

Tancerka topless na scenie poruszała się w sposób, który opisałbym jako płynny, gdyby puścić to w przyspieszonym tempie. Miała tak znudzoną minę, jakby oglądała sprawozdanie z obrad komisji ustawodawczej, a rura była dla niej nie tyle narzędziem pracy, ile protezą pozwalającą ustać. Nie chcę, by zabrzmiało to pruderyjnie, ale nie pociągają mnie kluby topless. Po prostu mnie nie kręcą. I nie chodzi o to, że tancerki są nieatrakcyjne — jedne są, inne nie. Kiedyś dyskutowałem o tym z Winem, co było błędem, jak każda rozmowa z nim o płci przeciwnej, i doszedłem do wniosku, że nie kupuję tego złudzenia. Może to słabość mojego charakteru, ale muszę wiedzieć, że dama jest naprawdę, szczerze mną zainteresowana. Wina, oczywiście, nic to nie obchodzi. Ja mogę zadowolić się czysto fizycznym kontaktem, lecz moje ego nie lubi, gdy łączy się to z interesem, niechęcią i walką klas. Nazwijcie mnie staroświeckim.

Berleand miał na sobie wystrzałową szarą kamizelkę Members Only. Wciąż poprawiał przyduże okulary i uśmiechał się do znudzonej tancerki. Usiadłem obok niego. Odwrócił się, potarł dłonie i przyglądał mi się przez chwilę.

— Wyglądasz okropnie — orzekł.

— Taaak — mruknąłem. — A ty świetnie. Nowy krem nawilżający?

Wrzucił do ust kilka orzeszków.

— To jest twój tajny lokal?

Wzruszył ramionami.

— Dlaczego tutaj? — I po chwili zastanowienia dodałem: — Czekał, rozumiem. Ponieważ to taka nora?

— Tak — potwierdził Berleand. — A ponadto lubię patrzeć na gołe baby.

Odwrócił się do tancerki. Ja miałem już dość.

— Czy Teresę żyje? — zapytałem.

— Nie wiem.

Siedzieliśmy. Zacząłem obgryzać paznokieć wskazującego palca.

— Ostrzegałeś mnie — powiedziałem. — Mówiłeś, że nie dam rady. — Obserwował tancerkę. — Powinienem być cię posłuchać.

— To niczego by nie zmieniło. I tak zabiliby Karen Tower i Maria Contuzziego.

— Ale nie Teresę.

— Przynajmniej położyłeś temu kres. To oni spieprzyli, nie ty.

— Kto spieprzył?

— No, częściowo ja. — Berleand zdjął za duże okulary i potarł twarz. — Używamy różnych nazw. Chyba najlepiej znaną jest Bezpieczeństwo Narodowe. Jak zapewne się domyśliłeś, jestem francuskim koordynatorem działań, które wasz rząd nazywa wojną z terroryzmem. Mój angielski odpowiednik powinien wykazać większą czujność,

Podeszła do nas piersiasta kelnerka z dekoltem sięgającym kolan.

— Chcą panowie szampana?

— To nie jest szampan — powiedział Berleand.

- Hę?
- To wino z Kalifornii.
- Tak?
- Szampan może być tylko z Francji. Widzi pani, Champagne to miejsce, a nie tylko napój. Ta butelka, którą trzyma pani w ręku, zawiera coś, co ludzie bez kubków smakowych nazywają „winem musującym”.
- Przewróciła oczami.
- Chcecie trochę wina musującego?
- Moja droga, ta ciecz nie nadaje się do przepłukiwania psich gardzieli. — Podał jej pustą szklaneczkę. — Proszę o kolejną porcję tej potwornie rozwodnionej whisky. — Odwrócił się do mnie. — Myronie?
- Nie sądziłem, żeby mieli tu yoo-hoo.
- Dietetyczna cola. — A kiedy odmaszerowała, spytałem: — Co więc się dzieje?
- Według moich ludzi, sprawa jest zamknięta. Rick Collins natknął się na terrorystyczny spiszek. Został zamordowany w Paryżu przez terrorystów. Ci w Londynie zabili jeszcze dwie osoby związane z Collinsem, zanim sami zostali zabici. Przez ciebie.
- Nie widziałem mojego nazwiska w gazetach.
- Oczekiwałeś pochwał?
- Skądże. Jednak zastanawiam się, dlaczego ukryli mój udział w tej sprawie.
- No pomyśl.
- Wróciła kelnerka.
- Korbel nazywa to szampanem, panie Spryciarzu. Kalifornijskim.
- Korbel powinien nazwać to popłuczynami z oczyszczalni. Byłoby to bliższe prawdy.
- Postawiła nasze drinki na stoliku i odeszła.
- Organizacje rządowe nie próbują przypisać sobie zasługi — wyjaśnił Berleand. — Nie ujawniono twojego udziału z dwóch powodów. Po pierwsze, dla twojego bezpieczeństwa. Z tego, co wiem, Mohammad Matar miał do ciebie osobistą urazę. Załatwiłeś jednego z jego ludzi w Paryżu. Chciał, żebyś patrzył, jak zabija Karen Tower i Teresę Collins, zanim zabije ciebie. Gdyby wyszło na jaw, że zabiłeś Doktora Śmierć, są tacy, którzy szukaliby zemsty na tobie i twojej rodzinie. — Berleand uśmiechnął się, do tancerki i wyciągnął do mnie rękę. — Masz jakieś jednodolarówki?
- Sięgnąłem do portfela.
- A drugi powód?
- Skoro cię tam nie było... na miejscu zbrodni w Londynie... to rząd nie musi wyjaśniać, gdzie się podziewałeś przez ostatnie dwa tygodnie z hakiem.
- Znów wrócił niepokój. Poruszyłem nogą, rozejrzałem się, chciałem wstać, Berleand tylko na mnie patrzył.
- Wiesz, gdzie byłem? — zapytałem go.
- Domyślam się. Ty też.
- Pokręciłem głową.
- Ja nie.
- Zupełnie niczego nie pamiętasz z ostatnich dwóch tygodni?
- Nie odpowiedziałem. Poczułem ucisk w piersi. Zabrakło mi tchu. Wziąłem szklanekę z colą i zacząłem pić małymi łyчками.
- Drżysz.
- Co z tego?
- Czy zeszłej nocy miałeś złe sny? Koszmary?

— Oczywiście. Byłem w szpitalu. Dlaczego pytasz?

— Czy wiesz, czym jest *twilight sleep*!

Zastanowiłem się.

— Czy to ma coś wspólnego z ciążą?

— Raczej z porodem. Było dość popularne w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Wychodzono z założenia, że matka nie musi tak okropnie cierpieć podczas porodu. W tym celu podawano rodzącym mieszaninę morfiny ze skopolaminą. W niektórych przypadkach pacjentka zasypiała. W innych, i o to właśnie chodziło, morfina uśmierzała ból, a skopolaminą sprawiała, że pacjentka nie pamiętała porodu. Analgezja połączona z amnezją, czyli *twilight sleep*. Zaprzeszono podawania tej mieszanki, ponieważ po pierwsze, niemowlęta często popadały w rodzaj narkotycznego stuporu, a po drugie, pod naciskiem zwolenników przeżywania tej doniosłej chwili. Tego drugiego nie rozumiem, ale nie jestem kobietą.

— Coś z tego wynika?

— Owszem. Tak było w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Ponad pół wieku temu. Teraz mamy inne leki i mnóstwo czasu na zabawy z nimi. Wyobraź sobie, jakim dysponowalibyśmy narzędziem, gdybyśmy udoskonalili to, co robiono ponad pięćdziesiąt lat temu. Teoretycznie mógłbyś więzić kogoś przez długi czas, a ten ktoś nawet by tego nie pamiętał.

Czekał. Nie byłem najmniej pojętym uczniem.

— I tak właśnie było ze mną?

— Nie wiem, jak było z tobą. Słyszałeś o tajnych więzieniach CIA?

— Pewnie.

— Myślisz, że one istnieją?

— Miejsca, w których CIA przetrzymuje swoich więźniów, nie mówiąc o tym nikomu? Chyba tak.

— Chyba? Nie bądź naiwny. Bush przyznał, że mamy kilka takich. Jednak one nie powstały po jedenastym września i nie zostały zlikwidowane po kilku przesłuchaniach w Kongresie. Pomyśl, co można by osiągnąć, gdyby po prostu wprowadzić więźniów w taki długotrwały sztuczny sen. Kobiety zapominały o bólach porodowych, czyli o potwornych męczarniach. Można by cię przesłuchiwać godzinami, zmusić do wyśpiewania wszystkiego, a potem niczego byś nie pamiętał.

Zacząłem nerwowo poruszać nogą.

— Diaboliczne.

— Czyżby? Powiedzmy, że złapałeś terrorystę. Znasz te odwieczne rozważania na temat tego, czy wiedząc o podłożonej bombie, masz prawo torturować go, żeby ratować życie wielu ludzi? No cóż, teraz mógłbyś wymazać mu wspomnienia o tym. Niczego by nie pamiętał. Czy przez to stałoby się to bardziej etyczne? Ty, mój drogi przyjacielu, zapewne byłeś brutalnie przesłuchiwany, może torturowany. Nie pamiętasz tego. A więc, czy to się zdarzyło?

— To jak z drzewem, które pada w lesie, gdy nie ma nikogo w pobliżu — mruknąłem.

— Właśnie.

— Wy, Francuzi, i to wasze filozofowanie.

— Ono nie kończy się tylko na „małej śmierci” Sartre'a.

— Szkoda. — Wierciłem się na krześle. — Trudno mi w to wszystko uwierzyć.

— Ja też nie jestem pewien, czy w to wierzę. Jednak zastanów się. Pomyśl o ludziach, którzy nagle znikają i nigdy się nie odnajdują. Pomyśl o ludziach w kwiecie wieku i w pełni sił, którzy nagle zostają samobójcami, bezdomnymi lub chorymi umysłowo. O tych wszystkich ludziach,

którzy zawsze wydawali się zdrowi i normalni, a nagle twierdzą, że zostali porwani przez kosmitów lub wykazują objawy szoku pourazowego.

„Po prostu odpuść...”.

Oddychanie znów przychodziło mi z trudem. Czułem ściskanie w piersi.

— To nie może być takie proste — stwierdziłem. — I nie jest. Jak powiedziałem, pomyśl o ludziach, którzy nagie tracą zmysły, lub o rozsądnych osobach, które nagle popadają w dewocję albo bredzą o kosmitach. I znów mamy moralny dylemat: czy urazy są dopuszczalne, jeśli są zadawane dla wyższych celów i natychmiast zostają zapomniane? Ludzie działający w takich tajnych ośrodkach nie są złoczyńcami. Uważają, że postępują etycznie.

Podniosłem rękę. Łzy płynęły mi po policzkach. Nie wiedziałem dlaczego.

— Spójrz na to z ich punktu widzenia — ciągnął Berleand. - Ten człowiek, którego zabiłeś w Paryżu, ten pracujący dla Mohammada Matara... Rząd uważał, że chciał przejść na naszą stronę i dostarczyć nam cenne informacje. W tych ugrupowaniach wciąż toczą się wewnętrzne spory. Dlaczego ty nagle znalazłeś się w samym środku tego wszystkiego? Zabiłeś Matara, owszem, w samoobronie, ale może, być może, wysłano cię tam, żebyś go zabił. Rozumiesz? Był powód, by przypuszczać, że wiesz coś, co może ocalić życie wielu ludziom.

— Dlatego... — zająknąłem się — mnie torturowali?

Poprawił okulary i nie odpowiedział.

— Czy gdyby tak się działo, to czy niektórzy by tego nie pamiętali? — zastanawiałem się. — Czy ktoś by tego nie ujawnił?

— Czego? Może zaczniesz sobie przypominać. I co z tym zrobisz? Nie wiesz, gdzie byłeś. Nie wiesz, kto cię przetrzymywał. I jesteś przerażony, gdyż w głębi serca wiesz, że znowu mogą cię złapać.

„Twoją matkę i ojca...”.

— Tak więc będziesz siedział cicho, ponieważ nie masz innego wyjścia. Ponadto może, ale tylko może, oni naprawdę ratują ludziom życie. Nigdy nie zastanawiało cię to, jak nam się udaje rozpracować tyle terrorystycznych spisków, zanim zostaną wprowadzone w życie?

— Torturując ludzi i sprawiając, że o tym zapominają?

Berleand wzruszył wymownie ramionami.

— Jeśli to jest takie skuteczne, to dlaczego nie użyli tego na, powiedzmy, Khalida Sheika Mohammada lub kilku innych terrorystów z Al-Kaidy?

— A kto powiedział, że nie użyli? Do dziś, pomimo całej tej gadaniny, rząd USA tylko trzykrotnie przyznał się do stosowania tortur i ani razu po dwa tysiące trzecim roku. Sądzisz, że rzeczywiście tak jest? A w przypadku Khalida patrzył cały świat. Wasz rząd dostał już nauczkę w Gitmo. Nie robi się tego tam, gdzie wszyscy patrzą.

Upiłem kolejny łyk coli. Rozejrzałem się. Lokal nie był pełny, lecz też i nie pusty. Zobaczyłem garnitury, ale także facetów w podkoszulkach i dżinsach. Widziałem białych, czarnych i Latynosów. Nie było tylko ślepych. Wykidajło Anthony miał rację.

— I co teraz? — spytałem.

— Komórka została rozbita i większość uważa, że legł w gruzach plan, który uknuli.

— Ty tak nie uważasz.

— Nie.

— Dlaczego?

— Ponieważ Rick Collins najwyraźniej sądził, że wpadł na trop czegoś dużego. Czegoś długofalowego i dalekosiężnego. Koalicja, dla której pracuję, była zła, że przesiałem ci zdjęcie Matara. Szczerze mówiąc, właśnie dlatego wypadłem z gry.

- Przykro mi.
- Nie martw się tym. Oni już szukają następnej komórki i spisku. Ja nie. Ja chcę dokładnie rozpracować ten. Mam przyjaciół, którzy chcą mi w tym pomóc.
- Jakich przyjaciół?
- Spotkałeś ich.
Zastanowiłem się.
- Mossad?
- Skinął głową.
- Collins również korzystał z ich pomocy.
- To dlatego mnie śledzili?
- Z początku myśleli, że może ty go zamordowałeś. Zapewniłem ich, że nie. Collins najwidoczniej coś wiedział, ale nie chciał powiedzieć. Prowadził własną grę, tak że w końcu trudno było stwierdzić, po której jest stronie. Według Mossadu, przestał się z nimi kontaktować i znikł na tydzień przed śmiercią.
- Masz pojęcie dlaczego?
- Nie.
Berleand zapatrzył się w głąb swojej szklaneczki. Zamieszał jej zawartość palcem.
- To dlaczego tu jesteś? — spytałem.
- Przyleciałem, kiedy usłyszałem, że cię znaleźli.
- Dlaczego?
- Upił kolejny długi tyk.
- Na dzisiaj dość pytań.
- O czym ty mówisz?
- Wstał.
- Dokąd idziesz?
- Wyjaśniłem ci sytuację.
- Racja, rozumiem. Mamy robotę do zrobienia.
- My? To już nie twoja sprawa.
- Żartujesz, prawda? Po pierwsze muszę znaleźć Teresę. Uśmiechnął się wyrozumiale.
- Mogę być brutalnie szczery?
- Nie, wolałbym, żebyś owinął wszystko w bawełnę.
- Pytam, ponieważ nie umiem przekazywać złych wieści.
- Dotychczas szło ci to całkiem dobrze.
- Nie takich. — Berleand nie patrzył na mnie, lecz na scenę, ale nie sądziłem, żeby nadał widział tancerkę. — Wy, Amerykanie, nazywacie to podsumowaniem sytuacji. Ta się ma tak: Teresę albo nie żyje, a w tym przypadku jej nic pomożesz, albo tak jak ty jest przetrzymywana w tajnym więzieniu, a w tym przypadku jesteś bezsilny.
- Nie jestem bezsilny — powiedziałem głosem, który nie mógł brzmieć bardziej bezradnie.
- Ależ tak, przyjacielu, jesteś. Jeszcze zanim się z nim skontaktowałem, Win wiedział, że powinien kazać wszystkim milczeć na temat twojego zniknięcia. Dlaczego? Ponieważ wiedział, że jeśli ktoś... twoi rodzice lub ktokolwiek... zaczną robić smród, możesz nigdy nie wrócić do domu. Możesz zginąć w zaaranżowanym wypadku drogowym lub popełnić samobójstwo. Z Teresą Collins byłoby im jeszcze łatwiej. Mogliby ją zabić, pogrzebać i powiedzieć, że znowu ukrywa się w Angoli. Albo upozorować samobójstwo i stwierdzić, że śmierć córki okazała się dla niej nie do zniesienia. Nic nie możesz dla niej zrobić. — Usiadłem.
- Musisz zadbać o siebie — dodał.
- Chcesz, żebym trzymał się od tego z daleka?

— Tak. I chociaż mówiłem szczerze, że to nie twoja wina, już raz cię ostrzegałem. Wolateś nie słuchać.

Miał rację.

— Jedno, ostatnie pytanie — powiedziałem. Czekaj.

— Dlaczego mi to wszystko powiedziałeś?

— O tajnym więzieniu?

— Tak.

— Ponieważ wbrew temu, co sądzą o działaniu tych medykamentów, nie sędzę, abyś wszystko zapomniał. Potrzebujesz pomocy, Myronie. Proszę, postaraj się o nią.

. . .

Oto, jak odkryłem, że Berleand mógł mieć rację.

Kiedy wróciłem do biura, zadzwoniłem do kilku klientów. Esperanza zamówiła kanapki od Lenny'ego, Zjedliśmy przy jej biurku. Esperanza opowiadała o swoim małym synku Hectorze. Zdaję sobie sprawę, że trudno o większy banał niż ten, że macierzyństwo zmienia kobietę, ale w przypadku Esperanzy te zmiany wyglądały szczególnie zaskakująco i nie całkiem pociągająco.

Kiedy skończyliśmy, wróciłem do mojego gabinetu i zamknąłem drzwi. Nie zapalałem światła. Przez długi czas siedziałem za biurkiem. Wszyscy miewamy chwile zadumy i depresji, ale to było coś innego, coś znacznie większego, głębszego i przytłaczającego. Nie mogłem się ruszyć. Ręce i nogi miałem jak z ołowiu. W ciągu minionych lat brałem udział w kilku strzelaninach, więc trzymam w biurze broń.

Dokładnie mówiąc, trzydziestkęsemkę Smith & Wesson.

Otworzyłem dolną szufladę, wyjąłem broń i trzymałem ją w dłoni. Po twarzy płynęły mi łzy.

Wiem, jak melodramatycznie to zabrzmie. Można się uśmieć z tego kiepskiego, żalospnego obrazu mnie siedzącego samotnie przy biurku, przygnębionego, z bronią w ręku. Gdybym miał na biurku zdjęcie Teresę, mógłbym podnieść je jak Mel Gibson w pierwszej części *Zabójczej broni* i wetknąć sobie lufę do ust.

Nie zrobiłem tego.

Jednak o tym myślałem.

Kiedy gałka w moich drzwiach zaczęła się obracać — nikt tutaj nie puka, szczególnie Esperanza — pospiesznie schowałem broń do szuflady. Esperanza weszła i spojrzała na mnie.

— Co chcesz zrobić? — zapytała.

— Nic.

— A co teraz robisz?

— Nic.

Spojrzała na mnie.

— Robisz sobie dobrze pod biurkiem?

— Tu mnie masz.

— Nadal wyglądasz strasznie.

— Tak mówią w całym mieście.

— Powiedziałabym ci, żebyś poszedł do domu, ale i tak już długo cię nie było i nie sędzę, żeby samotne nurzanie się w rozpacz wyszło ci na dobre.

- Racja. Jest jakiś powód twojego wtargnięcia?
- A musi być?
- W przeszłości nigdy go nie było — stwierdziłem. — Przy okazji, co się dzieje z Winem?
- Właśnie dlatego wtargnęłam. Dzwoni przez bat-phone'a.
Skinieniem ręki kazała mi się odwrócić.
- Na komodzie za moimi plecami stoi czerwony telefon nakryty czymś, co wygląda jak szklana pokrywa na ciasto. Jeśli oglądaliście oryginalny serial telewizyjny o Barmanie, wiecie, do czego służy. Ten czerwony aparat mrugał. Win. Podniosłem słuchawkę.
- Gdzie jesteś? — zapytałem.
- W Bangkoku — odpowiedział odrobinę zbyt optymistycznie. — To naprawdę zabawna nazwa, jeśli się przez chwilę nad tym zastanowić.
- Od kiedy? — chciałem wiedzieć.
- Czy to ważne?
- Wybrałeś sobie dziwny moment — stwierdziłem. A potem sobie przypomniałem. — Co się stało z tą próbką, którą wzięliśmy z grobu Miriam?
- Skonfiskowana.
- Przez?
- Ludzi z ładnymi odznakami i jeszcze ładniejszymi garniturami.
- Jak się o niej dowiedzieli?
- Cisza. Poczułem wstyd.
- Ode mnie?
- Nie pofatygował się, by odpowiedzieć.
- Rozmawiałeś z kapitanem Berleandem? — zapytał po chwili.
- Tak. Co sądzisz?
- Sądzę, że jego hipoteza ma podstawy.
- Nie łapię. Dlaczego jesteś w Bangkoku?
- A gdzie powinienem być?
- Tu, w domu, nie wiem.
- To zapewne w tym momencie nie jest najlepszy pomysł.
Zastanowiłem się.
- Czy to bezpieczna linia? — spytałem.
- Bardzo. A twoje biuro zostało dziś rano sprawdzone na obecność podsłuchu.
- Co się stało w Londynie?
- Widziałeś, jak zabiłem tych dwóch błaznów?
- Tak.
- Zatem znasz resztę. Wpadli agenci. W żaden sposób nie mogłem cię stamtąd wyciągnąć, więc doszedłem do wniosku, że najlepiej zrobię, zmywając się. I natychmiast wyjechałem z kraju. Dlaczego? Ponieważ, jak już powiedziałem, uważam, że teoria Berleanda ma podstawy. Z tego powodu uznałem, iż żadnemu z nas nie wyszłoby na dobre, gdybym i ja dał się aresztować. Rozumiesz?
- Tak. Jaki masz plan?
- Pozostać jeszcze przez jakiś czas w ukryciu. Najlepszy sposób na to, by wszyscy byli bezpieczni.
- To zgłębić tę aferę.
- Dobrze nawijasz, ziom — rzucił Win. Uwielbiam, jak mówi slangiem.

— W tym celu wystawiam czułki. Mam nadzieję znaleźć kogoś, kto wyjaśni mi, co się stało z panią Collins. Nie owijając w bawełnę... i tak, wiem, co do niej czujesz., jeśli Teresę została zabita, to dla nas ta sprawa się kończy. Nic jesteśmy już zainteresowani.

— A co z odnalezieniem jej córki?

— Jeśli Teresę nie żyje, to jaki to ma sens?

Zastanowiłem się. Miał rację. Chciałem pomóc Teresę.

Chciałem — ludzie, nawet myśl o tym nadal wydawała się szaleństwem — żeby odzyskała swoją zmarłą córkę. Istotnie, jaki jest sens tego, jeśli Teresę nie żyje?

Uświadomiłem sobie, że znów obgryzam paznokiec.

— I co teraz? — zapytałem,

— Esperanza mówi, że jesteś w kiepskim stanie.

— Ty też zamierzasz mnie pouczać?

Cisza.

— Win?

Win, jak nikt inny, panuje nad swoim głosem, ale teraz, chyba po raz drugi, od kiedy go znam, jego głos się załamał.

— Te ostatnie szesnaście dni były trudne.

— Wiem, kolego.

— Przetrzęsnałem każdy kąt, szukając ciebie.

Milczałem.

— Robiłem rzeczy, których nigdy byś nie zaaprobował.

Czekałem.

— A mimo to nie mogłem cię znaleźć.

Rozumiałem, co chce przez to powiedzieć. Win ma lepsze źródła niż ktokolwiek ze znanych mi ludzi. Ma pieniądze i wpływy, a ponadto kocha mnie jak brata. Mało co go przeraża. Wiedziałem jednak, że te szesnaście dni były dla niego trudne.

— U mnie już wszystko w porządku — zapewniłem. — Wróc do domu, kiedy uznasz, że możesz.

26

- Zjedz jeszcze jednego pierożka — powiedziała mama.
- Dziękuję, mam już dość.
- Jeszcze jednego. Jesteś za chudy. Spróbuj tego z wieprzowiną.
- Naprawdę za nimi nie przepadam.
- Słucham? — Mama postąpiła mi zaszokowane spojrzenie. — Przecież uwielbiałeś je w Ogrodzie Fonga.
- Mamo, Ogród Fonga zamknęli, kiedy miałem osiem lat.
- Wiem. Mimo wszystko...

Mimo wszystko. To mamine podsumowanie kończące dyskusję. Ktoś mógłby przypisać te wspomnienia o Ogrodzie Fonga niedomaganiom jej starzejącego się umysłu. Byłby to błąd. Mama wygłaszała ten komentarz co do mojej niechęci do pierożków, od kiedy skończyłem dziewięć lat,

Siedzieliśmy w kuchni naszego starego domu w Livingston w New Jersey. Teraz spędzam noce tutaj lub w luksusowym apartamencie Wina na rogu Zachodniej Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy i Central Park West. Kiedy moi rodzice przed kilkoma laty przenieśli się do Miami, odkupiłem od nich ten dom. Można by się zastanawiać nad psychologicznymi pobudkami zakupu tej nieruchomości — mieszkałem tu z rodzicami aż do trzydziestki i właściwie nadal sypiam w moim pokoju w piwnicy, który urządziłem sobie w liceum, ale rzadko się tu zatrzymuję. Livingston to miasteczko dla rodzin wychowujących dzieci, a nie dla kawalerów pracujących na Manhattanie. Mieszkanie Wina jest znacznie dogodniej zlokalizowane i z całym architektonicznym rozmysłem tylko trochę mniejsze od przeciętnego europejskiego księstwa.

Jednak mama i tata wrócili do miasteczka, więc byliśmy tutaj.

Należę do generacji konfliktu pokoleń, której wszyscy członkowie mają nie lubić swoich rodziców i w ich postępowaniu doszukiwać się powodów swoich nieszczęść w dorosłym życiu. Kocham moją mamę i mojego ojca. Uwielbiam z nimi być. Nie dlatego mieszkałem w tej piwnicy jeszcze długo po osiągnięciu dorosłości, że zmuszała mnie do tego moja sytuacja finansowa. Po prostu lubiłem być tutaj z nimi.

Skończyliśmy obiad, wyrzuciliśmy opakowania i pozmywaliśmy sztućce. Porozmawialiśmy trochę o moim bracie i siostrze. Kiedy mama wspomniała o pracy Brada w Ameryce Południowej, poczułem lekkie, lecz wyraźnie wyczuwalne ukłucie niepokoju — coś jak *deja vu*, ale o wiele mniej przyjemne. Ścisnęło mnie w dołku. Znow zacząłem obgryzać paznokcie. Moi rodzice wymienili spojrzenia.

Mama była zmęczona. Teraz szybko się męczy. Pocałowałem ją w policzek i patrzyłem, jak wchodzi po schodach. Opierała się o poręcz. Na moment wróciłem myślami do dawnych dni, kiedy wbiegała po tych schodach z impetem i podskakującym końskim ogonem, nawet nie dotykając przekłętej poręczy. Popatrzyłem na tatę. Nic nie mówił, ale chyba myślał o tym samym.

Poszliśmy razem do gabinetu. Włączył telewizor. Kiedy byłem mały, ojciec miał rozkładany fotel z podnóżkiem w ohydny kasztanowym kolorze. Udająca skórę derma

popruła się na szwach, a mój ojciec, nie najręczniejszy majster w mieście, posklejał ją taśmą izolacyjną. Wiem, że ludzie krytykują liczbę godzin spędzanych przez Amerykanów na oglądaniu telewizji — i nie bez powodu — lecz kilka moich najlepszych wspomnień łączy się z tym pokojem, gdy wieczorami tata wyciągał się na tym fotelu, a ja na kanapie. Czy ktoś jeszcze pamięta klasyczne sobotnie premiery na kanale CBS? *Ali in the Family*., *MASH*, *Mary Tyler Moore*, *Bob Newhart Show* i *Carol Burnett Show*. Tata śmiał się tak głośno z niektórych wypowiedzi Archiego Bunkera, a jego śmiech był tak zaraźliwy, że też rżałem, chociaż wielu żartów nie rozumiałem.

Al Bolitar ciężko pracował w fabryce w Newark. Nie był człowiekiem lubiącym grać w pokera, włączyć się z chłopakami czy chodzić do barów. Dom był jego przystanią. Lubił odpoczywać ze swoją rodziną. Zaczynał od zera, był bardzo inteligentny i zapewne miał marzenia wykraczające poza tę fabrykę w Newark — piękne, wspaniałe marzenia — ale nigdy się nimi ze mną nie dzielił. Byłem jego synem. Nie obciąża się swojego dziecka takim brzemieniem za nic.

Tej nocy zasnął na powtórce *Seinfelda*. Patrzyłem, jak jego pierś unosi się i opada, na siwiejący zarost. Po chwili wstałem cicho, poszedłem do mojego pokoju w piwnicy, położyłem się na łóżku i gapiłem w sufit.

Znów zaczęło mnie ścisnąć w piersi. Poczulem narastający strach. Oczy nie chciały mi się zamknąć. A kiedy się zamknęły i zdołałem rozpocząć nocną podróż, budziły mnie koszmary. Nie pamiętam ich, tylko strach. Byłem zlany polem. Siedziałem w ciemności przestraszony jak dziecko.

O trzeciej rano w moim mózgu rozbłysło nagłe wspomnienie. Pod wodą. Nie mogę oddychać. Ten obraz trwał mniej niż sekundę i natychmiast został zastąpiony innym wspomnieniem, głosowym.

Al-sabr wal-sayf...

Serce waliło mi tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

O trzeciej trzydzieści rano wszedłem na palcach po schodach i usiadłem w kuchni. Starłem się poruszać jak najciszej, ale wiedziałem. Mój ojciec miał najczujniejszy sen na świecie. Jako dzieciak próbowałem późną nocą przekradać się pod jego drzwiami, idąc do toalety, a on budził się tak gwałtownie, jakby ktoś upuścił mu lody na krocze. Tak więc teraz, jako dorosły mężczyzna w średnim wieku, uważający się za odważniejszego niż większość ludzi, wiedziałem, co się stanie, jeśli ruszę na palcach do kuchni.

— Myron?

Odwróciłem się i zobaczyłem, jak schodzi po schodach.

— Nie chciałem cię obudzić, tato.

— Och, i tak nie spałem — mruknął. Miał na sobie bokserki pamiętające lepsze dni i wytarty podkoszulek z Duke, o dwa numery za duży. — Chcesz, żebym zrobił nam jajecznicę?

— Pewnie.

Zrobił to. Siedzieliśmy i rozmawialiśmy o niczym. Starał się nie wyglądać na zbyt zatroskanego, przez co czułem się jeszcze większym ośrodkiem zainteresowania. Wróciły kolejne wspomnienia. Łzy stanęły mi w oczach i odpędziłem je, mrugając. Wstrząsała mną burza uczuć, że nie byłem w stanie powiedzieć, co czuję. Teraz wiedziałem, że czeka mnie wiele niespokojnych nocy. Mimo to jedno wiedziałem na pewno: nie potrafię dłużej siedzieć beczynnienie.

Rano zadzwoniłem do Esperanzy.

— Zanim zniknąłem, szukałaś dla mnie pewnych danych.

— Tobie też dzień dobry.

- Przepraszam.
- Nie przejmuj się tym. Co mówiłeś?
- Sprawdziłaś samobójstwo Sama Collinsa, ten szyfr z opalami oraz organizację charytatywną „Ratuj Aniołki” — przypomniałem.
- Zgadza się.
- Chcę wiedzieć, co odkryłaś.

Przez chwilę spodziewałem się sprzeciwu, lecz widocznie Esperanza usłyszała coś w moim głosie.

- W porządku, spotkajmy się za godzinę. Pokażę ci, co znalazłam.

• • •

- Przepraszam za spóźnienie — powiedziała Esperanza — ale Hector napluł mi na bluzkę, więc musiałam się przebrać, a potem opiekunka zaczęła rozmawiać ze mną o podwyżce, a Hector złapał mnie i...

- Nie przejmuj się tym.

Gabinet Esperanzy nadal był odzwierciedleniem jej barwnej przeszłości. Były tam jej zdjęcia w skąnym zamszowym kostiumie Małej Pocahontas, indiańskiej księżniczki w wersji latynoskiej. Za biurkiem wisił oprawiony w ramki międzynarodowy pas mistrzowski w zapasach par, który umieszczony wokół talii Esperanzy, zapewne sięgałby jej od żeber po kolana. Ściany były pomalowane na bladoniebiesko i w jeszcze jakimś odcieniu fioleto, którego nazwy nie mogłem sobie przypomnieć. Biurko było bogato rzeźbione i dębowe, znalezione przez Wielką Cyndi w jakimś antykwariacie, i chociaż byłem tutaj, kiedy je dostarczono, nadal nie wiem, jak zmieściło się w drzwiach.

Teraz jednak dominującym nurtem w tym pokoju, cytując podręcznik polityka, była zmiana. Zdjęcia małego synka Esperanzy, Hectora, w tak zwykłych i oczywistych pozach, graniczących z banałem, zapełniały biurko i komodę. Typowe zdjęcia dziecka — tworzące tęczowe tło jak w atelier zdjęciowym u Searsa — łącznie z takim na kolanach Świętego Mikołaja i z pisankowym wielkanocnym króliczkiem. Było zdjęcie Esperanzy i jej męża Toma, trzymający ubranego na biało Hectora do chrztu, oraz inne z jakąś disneyowską postacią, której nie rozpoznałem. Najbardziej wyeksponowana fotografia ukazywała Esperanzę i Hectora w jakimś pojeździe dla dzieci, być może miniaturowym wozie strażackim, przy czym Esperanza patrzyła w kamerę z najszerszym i najbardziej zdziwionym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widziałem na jej twarzy.

Esperanza była typowym wolnym duchem. Ostentacyjnie biseksualna, umawiała się raz z mężczyzną, raz z kobietą, to znowu z innym mężczyzną, nie przejmując się, co ktoś o tym myśli. Uprawiała zapasy, ponieważ ją to bawiło i dawało pieniądze, a kiedy jej się znudziło, ukończyła wieczorowe studia prawnicze, w dzień pracując jako moja asystentka. Wprawdzie zabrzmiało to okropnie, ale macierzyństwo trochę przytłoczyło tego jej wolnego ducha. Oczywiście nieraz już to widziałem u innych znajomych kobiet. Ze mną też trochę tak było. Nie wiedziałem o istnieniu mojego syna, dopóki nie był prawie dorosły, tak więc nigdy nie doświadczyłem tej chwili przemiany, gdy rodzi się twoje dziecko i nagle cały świat kurczy się do czegoś, co waży zaledwie trzy kilogramy. Tak właśnie było z Esperanza. Czy teraz jest szczęśliwsza? Nie wiedziałem. Jednak nasze stosunki się zmieniły, co było nieuniknione, i jako egocentrykowi niezbyt mi się to podobało.

— Oto kolejność zdarzeń — zaczęła Esperanza. — U Sama Collinsa, ojca Ricka, około czterech miesięcy temu zostaje zdiagnozowana choroba Huntingtona. Kilka tygodni później popełnia samobójstwo.

— Na pewno samobójstwo?

— Zgodnie z policyjnym raportem. Nic podejrzanego.

— W porządku, mów dalej.

— Po tym samobójstwie Rick Collins odwiedził doktor Irenę Schneider, specjalistkę od genetyki, która zajmowała się jego ojcem. Kilkakrotnie dzwonił do jej gabinetu. Pozwoliłam sobie zadzwonić do doktor Schneider. Jest bardzo zajęta, ale poświęci nam dzisiaj piętnaście minut podczas przerwy na lunch. Punktualnie o dwunastej trzydzieści.

— Jak ci się udało to załatwić?

— MB Reps przekaże dużą dotację dla ośrodka zdrowia Urance Cardinal Cooke.

— W porządku.

— Z twoich zysków.

— Dobrze, co jeszcze?

— Rick Collins dzwonił do CryoHope Center w pobliżu New York Presbyterian. Oni często zamrażają krew pępowinową, embriony i komórki macierzyste. To centrum jest prowadzone przez pięciu lekarzy różnych specjalności, więc nic da się ustalić, z którym się kontaktował. Ponadto kilkakrotnie dzwonił do organizacji charytatywnej „Ratuj Aniołki”. W porządku chronologicznym: najpierw rozmawia z doktor Schneider, cztery razy w ciągu dwóch tygodni. Potem z CryoHope. To w jakiś sposób prowadzi do „Ratuj Aniołki”.

— Dobrze — powiedziałem. — Czy możemy spotkać się z kimś z CryoHope?

— Z kim?

— Z którymś z lekarzy.

— Jest tam ginekolog położnik. Mam mu powiedzieć, że potrzebujesz wymazu z szyjki macicy?

— Mówię poważnie.

— Wiem, ale nie jestem pewna, z kim rozmawiać. Próbuję się domyślić, do którego lekarza dzwonił Collins.

— Może doktor Schneider nam pomoże?

— Możliwe.

— Och, a czy znalazłaś coś o tej notatce o opalu?

— Nie. Wprowadzałam wszystkie znaki do Google'a. Oczywiście opal daje milion trafień. Kiedy wpisałam „HHK”, na pierwszym miejscu pojawił się publiczny zakład opieki zdrowotnej. Zajmują się chorobami nowotworowymi.

— Nowotworowymi?

— Tak.

— Nie widzę związku.

Esperanza ściągnęła brwi.

— Co?

— Ja w ogóle nie widzę w tym żadnego sensu — wyznała. — Na razie wygląda mi to na zwyczajną stratę czasu.

— Jak to?

— Co właściwie masz nadzieje, odkryć? Lekarz leczył staruszkę na chorobę Huntingtona. Co to może mieć wspólnego z terrorystami mordującymi ludzi w Paryżu i Londynie?

— Nie mam pojęcia.

— Żadnych poszlak?

- Żadnych.
- Zapewne nie ma to żadnego związku — uznała.
- Zapewne.
- Nie mamy nic lepszego do roboty?
- Oto, co robimy: rzucamy się na oślep, aż znajdziemy jakiś wyłom. Cała ta historia zaczęła się od wypadku samochodowego przed dziesięcioma laty. Potem nic się nie działo aż do czasu, gdy Rick Collins odkrył, że jego ojciec ma chorobę Huntingtona. Nie znam związku między tymi wydarzeniami, tak więc jedyne, co mi przychodzi do głowy, to pójść jego śladem.

Esperanza założyła nogę na nogę i zaczęła nawijać na palec kosmyk włosów. Ma bardzo ciemne, kruczoczarne włosy, które zawsze wyglądają, jakby właśnie zrobiła trwałą. Kiedy nawija włosy na palec, oznacza to, że coś nie daje jej spokoju.

- Co?
- Nie dzwoniłam do Ali, kiedy zaginałeś — powiedziała.

Skinąłem głową.

- A ona też nie dzwoniła do mnie, tak?
- A więc zerwaliście? — spytała Esperanza.
- Najwyraźniej.
- Czy wykorzystałeś mój ulubiony zwrot pożegnalny?
- Zapomniałem go.

Esperanza westchnęła.

- Witaj w Klubie Porzuconych. Członkowie: ty.
- Hm, nie bardzo. Należałoby powiedzieć: „członkowie: ja”.
- Och. — Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. — Przykro mi — powiedziała.
- W porządku.
- Win mówił, że kotłowałeś się w pościeli z Teresą.

O mało nie powiedziałem, że Win kotłował się w pościeli z Mee, ale bałem się, że Esperanza może to błędnie zinterpretować.

- Nie widzę związku — mruknąłem.
- Nie kotłowałbyś się w pościeli, szczególnie po świeżym zerwaniu z inną kobietą, gdyby ci naprawdę nie zależało na Teresę. Bardzo.

Wyprostowałem się.

- I co?
- To, że musimy ruszyć z impetem, jeśli to ci pomoże. Musimy jednak uświadomić sobie prawdę.

- Jaką?
- Taką, że Teresę zapewne nie żyje.

Nic nie powiedziałem.

- Byłam przy tobie, kiedy traciłeś ukochane osoby. Kiepsko to znosisz.
- A kto to dobrze znosi?
- Słuszna uwaga. Ty jednak musisz także uporać się z tym, co ci się przydarzyło. To dużo.
- Nic mi nie będzie. Jeszcze coś?
- Tak — powiedziała. — Ci dwaj faceci, których pobiliście z Winem.

Trener Bobby i Asystent Trenera Pat.

- Co z nimi?
- Policja z Kasselton była tu kilka razy. Masz do nich zadzwonić, kiedy wrócisz. Wiesz, że ten facet, którego poturbował Win, jest z policji, prawda?

- Win mi mówić.
- Miał operację kolana i dochodzi do siebie. Drugi, ten który to zaczął, kiedyś miał kilka sklepów ze sprzętem A.GD. Dużi chłopcy wysadzili go z interesu i teraz pracuje jako kierownik działu w Best Buy w Paramus.
Wstałem.
- Dobrze.
- Co „dobrze“?
- Mamy chwilę czasu przed spotkaniem z doktor Schneider. Pojedźmy do Best Buy.

27

Niebieska koszulka polo z logo Best Buy opinała piwny brzuch Trenera Bobby'ego. Opierał się o telewizor, rozmawiając z parą Azjatów. Szukałem śladów pobicia, ale nie znalazłem.

Esperanza weszła tam ze mną. Gdy szliśmy przez sklep, podbiegł do niej jakiś mężczyzna we flanelowej koszuli drwala.

— Przepraszam — powiedział z twarzą rozpromienioną jak buzia dziecka w ranek przez Gwiazdką. — O mój Boże, czy pani jest Małą Pocahontas?

Powstrzymałem śmiech. Zawsze mnie zaskakuje to, że ludzie wciąż ją pamiętają. Przeszyła mnie gniewnym wzrokiem i odwróciła się do swojego fana.

— To ja.

— Oo! No, nie mogę w to uwierzyć. No, wie pani, podwójne o. To wielka przyjemność panią spotkać.

— Dziękuję.

— Miałem pani plakat w moim pokoju. Kiedy byłem szesnastolatkiem.

— Czuję się doceniona... — zaczęła.

— Było na nim trochę plam — powiedział i mrugnął — jeśli pani wie, co chcę powiedzieć.

— ... i zniesmaczona. — Pogroziła mu palcem i odwróciła się. — Cześć.

Poszedłem za nią.

— Plamy — mruknąłem. — Musisz być trochę wzruszona.

— To smutne, ale trochę jestem.

Zapomnijcie o tym, co mówiłem, że macierzyństwo stłumiło jej wolnego ducha. Esperanza wciąż jest super.

Minęliśmy Pana Posiadającego Za Dużo Informacji i ruszyliśmy w kierunku Trenera Bobby'ego. Usłyszałem, jak Azjata pyta o różnicę między telewizorem plazmowym a ciekłokrystalicznym. Trener Bobby wypiął pierś i wymienił liczne „za” oraz „przeciw”, których w ogóle nie rozumiałem. Następnie klient zapytał go o projektory multimedialne DLP. Trener Bobby lubił DLP. Zaczął wyjaśniać dlaczego.

Czekałem.

Esperanza ruchem głowy wskazała Trenera Bobby'ego.

— Wygląda na to, że zasłużył na to, co go spotkało.

— Nie. Nie walczysz z ludźmi, żeby dać im nauczkę, tylko żeby przeżyć albo w obronie własnej.

Esperanza się skrzywiła.

— Co?

— Win ma rację. Czasem gadasz jak stara baba. Trener Bobby uśmiechnął się do pary Azjatów i powiedział:

— Nie spieszcie się, zaraz wrócę i omówimy kwestię darmowej dostawy.

Podszedł do mnie i spojrzał mi w oczy.

— Czego chcesz?

— Powiedzieć „przepraszam”.

Trener Bobby stał nieruchomo. Minęły trzy sekundy ciszy.

— No, to już powiedziałaś — syknął. Odwrócił się i wrócił do klientów. Esperanza klepnęła mnie w plecy.

— Chłopie, to ci dopiero było oczyszczające.

• • •

Doktor Freida Schneider była niska i krępa, z szerokim ufnym uśmiechem. Ortodoksyjna Żydówka, w skromnej sukni i berecie. Spotkałem się z nią w bufecie ośrodka zdrowia Terence Cardinal Cooke na rogu Piątej Alei i Sto Trzeciej Ulicy. Esperanza została przed budynkiem i rozmawiała przez telefon. Doktor Schneider zapytała, czy chcę coś do zjedzenia. Podziękowałem. Zamówiła kanapkę z różnościami. Usiedliśmy. Odmówiła krótką modlitwę i rzuciła się na wspomnianą kanapkę, jakby ta paskudnie jej ubliżyła.

— Mam tylko dziesięć minut — powiedziała tytułem wyjaśnienia.

— Myślałem, że piętnaście.

— Zmieniłam zdanie. Dzięki za dotację.

— Muszę zadać pani kilka pytań na temat Sama Collinsa.

Schneider przełknęła kęs.

— Tak mówiła pańska koleżanka. Słyszał pan o tajemnicy lekarskiej, prawda? Mogę oszczędzić sobie przemowy?

— Proszę.

— On nie żyje, więc może powinien mi pan powiedzieć, dlaczego pan się nim interesuje.

— O ile wiem, popełnił samobójstwo.

— Tego nie musi mi pan mówić.

— Czy to częste u pacjentów z chorobą Huntingtona?

— Czy pan wie, na czym polega ta choroba?

— Wiem, że ma podłoże genetyczne.

— To dziedziczne schorzenie neurologiczne — wyjaśniła między kolejnymi kęsami. — Choroba nie zabija bezpośrednio, lecz w miarę rozwoju prowadzi do wielu śmiertelnych komplikacji, takich jak zapalenie płuc, zawał serca i co tylko można sobie wyobrazić. Huntington upośledza fizycznie, psychicznie i uczuciowo. To nie jest przyjemna choroba. Dlatego, i owszem, samobójstwa nie są rzadkością. Niektóre badania wykazują, że jeden pacjent na trzech podejmuje próby samobójcze, które w siedmiu procentach zostają uwieńczone powodzeniem, aczkolwiek takie określenie wydaje się ironią, gdy mowa o samobójstwie.

— Tak było z Samem Collinsem?

— Miał depresję, zanim jeszcze zdiagnozowano chorobę. Trudno powiedzieć, co było pierwsze. Choroba Huntingtona zwykle zaczyna się od zaburzeń fizjologicznych, ale często poprzedzają je zaburzenia psychiki i kojarzenia. Tak więc jego depresja mogła być w istocie pierwszym objawem nierozpoznanego choroby Huntingtona. Właściwie to bez znaczenia. Tak czy inaczej, umarł z powodu choroby Huntingtona, gdyż samobójstwo było po prostu jeszcze jedną z wywołanych przez nią komplikacji.

- Rozumiem, że choroba Huntingtona jest dziedziczna.
- Tak.
- I jeśli występuje u jednego z rodziców, dziecko ma pięćdziesiąt procent szans.
- Upraszczając sprawę tak, to się zgadza.
- A jeśli rodzice nie są na to chorzy, dziecko też nie będzie. W tym rzecz. Pula genowa jest czysta.
- Proszę dalej.
- Zatem oznacza to, że jedno z rodziców Sama Collinsa było chore — podsumowałem.
- Zgadza się. Jego matka dożyła osiemdziesiątki bez objawów Huntingtona, tak więc zapewne odziedziczył chorobę po ojcu, który zmarł młodo i dlatego nie uwidoczniły się u niego żadne objawy.
 - Nachyliłem się do niej.
- Badała pani dzieci Sama Collinsa?
- To naprawdę nie pańska sprawa.
- Chodzi mi szczególnie o Ricka Collinsa. Który nie żyje. Został zamordowany.
- Według tego, co podano w wiadomościach, przez terrorystów.
- Tak.
- Pan jednak uważa, że wykryta u jego ojca choroba Huntingtona ma jakiś związek z tym morderstwem?
- Tak uważam.
 - Freida Schneider ugryzła kolejny kęs i pokręciła głową.
- Rick Collins miał syna — powiedziałem.
- Jestem tego świadoma.
- I być może córkę.
 - Znieruchomiła w połowie kęsa.
- Słucham?
 - Nie wiedziałem, jak to rozegrać.
- Rick Collins mógł nie wiedzieć, że ona żyje.
- Zechce pan to rozwinąć?
- Niechętnie. Mamy tylko dziesięć minut.
- To prawda.
- A więc?
 - Westchnęła.
- Rick Collins został zbadany, owszem.
- I?
 - Badanie krwi wykazało wielokrotne powtórzenia CAG w każdej alleli HTT.
 - Tylko na nią popatrzyłem.
- Racja, nieważne. Krótko mówiąc, wynik niestety był dodatni. Nie uważamy wyniku badania krwi za ostateczną diagnozę, ponieważ mogą minąć lata, a nawet dziesięciolecia, zanim ujawnią się symptomy. Jednak u Ricka Collinsa już ujawniła się płasawica, czyli nerwowe ruchy, których nie można opanować. Poprosił nas, abyśmy zachowali to w tajemnicy. Oczywiście zrobiliśmy to.
 - Zastanowiłem się nad tym. Rick miał Huntingtona. Już pojawiły się objawy. Jak wyglądałyby ostatnie lata jego życia? Jego ojciec zadał sobie to pytanie i popełnił samobójstwo.
- Czy syn Ricka został zbadany?

- Tak, Rick na to nalegał, co, przyznaję, było trochę niezwykle. Badanie, szczególnie dziecka, nadal jest kwestią sporną. Na przykład powiedzmy, że ustalimy, iż u małego chłopca w przyszłości rozwinie się ta choroba... czy to nie jest okropne brzemię, z którym trzeba żyć? A może lepiej wiedzieć od razu, żeby żyć pełnią życia? A jeśli masz płaswicę Huntingtona, czy powinieneś mieć dzieci, u których ryzyko odziedziczenia tej choroby wynosi pięćdziesiąt procent? I nawet, jeżeli to wiesz, czy mimo to nie warto dać im życia? Kwestie etyczne są tu naprawdę bardzo złożone.
- Jednak Rick zbadał swojego syna?
- Tak. Rick był reporterem do szpiku kości. Nie chciał chować głowy w piasek. Jego syn, Bogu dzięki, miał wynik ujemny.
- Rick na pewno przyjął to z ulgą.
- Tak.
- Co pani wie o CryoHope Center?
Zastanowiła się.
- Chyba zajmują się badaniami i przechowywaniem. Głównie banki komórek macierzystych i tym podobne rzeczy, prawda?
- Po wizycie u pani Rick Collins złożył im wizytę. Wie pani dlaczego?
- Nie.
- A organizacja charytatywna „Ratuj Aniołki”? Słyszała pani o niej?
Schneider pokręciła głowę.
- Nie ma lekarstwa na chorobę Huntingtona, zgadza się? — spytałem.
- Zgadza.
- Może dałyby coś badania nad komórkami macierzystymi?
- Niech pan poczeka, panie Bolitar, wróćmy do tego, co pan powiedział, że Rick Collins mógł mieć córkę.
- Tak.
- Zechciałby mi pan to wyjaśnić?
- Czy powiedział pani, że miał córkę, która dziesięć lat temu zginęła w wypadku samochodowym?
- Nie. Dlaczego miałby o tym mówić?
Przetrawiłem to.
- Kiedy w Paryżu znaleziono ciało Ricka, na miejscu zbrodni były ślady krwi. Badanie DNA wykazało, że należała do jego córki.
- Przecież dopiero co pan powiedział, że jego córka nie żyje. Nie rozumiem.
- Ja też nie. Proszę mi coś powiedzieć o badaniach nad komórkami macierzystymi.
Wzruszyła ramionami.
- W tym stadium to jeszcze głównie spekulacje. Teoretycznie można zastąpić zniszczone neurony mózgu przez transplantację komórek macierzystych z krwi pępowinowej. Zaobserwowano zachęcające wyniki u zwierząt, ale jeszcze nie przeprowadzono badań klinicznych na ludziach.
- Jednak umierający i zdesperowany... Do bufetu weszła jakaś kobieta.
- Doktor Schneider?
Doktor skinęła głową, pochłonęła ostatni kawałek kanapki i wstała.
- U umierających i zdesperowanych, owszem, wszystko jest możliwe. Wszystko: od cudownych ozdowień po... no cóż... samobójstwo. Pańskie dziesięć minut minęło, panie Bolitar. Proszę kiedyś tu wrócić, to oprowadzę pana po ośrodku, Będzie pan zdziwiony jego

możliwościami i wynikami. Dziękuję za dotację i życzę powodzenia w tym, czego próbuje pan dokonać.

28

ClyoHope błyszczał jak, no cóż, idealne połączenie nowoczesnej placówki medycznej z ekskluzywnym bankiem. Pulpit recepcji był wysoki i zrobiony z jakiegoś ciemnego drewna. Podszedłem do niego chyłkiem z Esperanzą u boku. Zauważyłem, że recepcjonistka, hoża dziewczyna, nie ma na palcu obrączki. Rozważałem zmianę planu. Samotna kobieta. Mógłbym włączyć swój urok osobisty, a ona da się oczarować i odpowie na wszystkie moje pytania. Esperanza domyśliła się, o czym myślę, i przeszyła mnie wzrokiem. Wzruszyłem ramionami. Poza tym ta recepcjonistka i tak pewnie nic nie wie.

— Moja żona spodziewa się dziecka — powiedziałem, ruchem głowy wskazując Esperanzę.

— Chcielibyśmy porozmawiać z kimś o przechowaniu krwi pępowinowej naszego dziecka.

Hoża dziewczyna obdarzyła mnie wyćwiczonym uśmiechem. Wręczyła nam plik czterokolorowych broszurek na kredowym papierze i zaprowadziła do pokoju z miękkimi fotelami. Na ścianie wisiały duże artystyczne fotografie dzieci oraz jeden z tych przekrojów ludzkiego ciała, przypominający lekcje biologii w dziewiątej klasie. Wypełniliśmy formularz CryoHope. Pytali o moje nazwisko. Miałem ochotę wpisać I.P. Daily lub Wink Martindale, ale w końcu podałem się za Marka Kadisona, ponieważ był moim znajomym. Gdyby do niego zadzwonili, tylko by się uśmieł.

— O, cześć!

Do poczekalni wszedł mężczyzna w białym laboratoryjnym fartuchu i okularach w czarnych oprawkach, jakie zakładają aktorzy, kiedy chcą inteligentnie wyglądać. Uścisnął nam dłonie i usiadł w wolnym fotelu.

— A zatem — zaczął — jak zaawansowana jest ciąża?

Spojrzałem na Esperanzę.

— Trzeci miesiąc — odpowiedziała.

— Gratulacje. Wasze pierwsze?

— Tak.

— Cóż, cieszę się, że podjęliście dojrzałą decyzję i zastanawiacie się nad zamrożeniem krwi pępowinowej waszego dziecka.

— Może nam pan podać wysokość opłaty? — zapytałem.

— Tysiąc dolarów za obróbkę i transport. Potem coroczna opłata za przechowywanie. Wiem, że to może wydawać się drogo, ale to jedyna okazja. Krew pępowinowa zawiera komórki macierzyste, które ratują życie. Tak po prostu. Mogą leczyć anemie i białaczki. Zwalczać infekcje i pomagać w niektórych rodzajach raka. Jesteśmy w przededniu odkryć, które mogą doprowadzić do wyleczenia schorzeń układu krążenia, choroby Parkinsona, cukrzycy. Nie, jeszcze nie potrafimy ich wyleczyć. Jednak kto wie, co wydarzy się w ciągu kilku następnych lat? Wiecie coś o przeszczepach szpiku kostnego?

— Trochę — bąknąłem.

— Transplantacja krwi pępowinowej jest skuteczniejsza i oczywiście bezpieczniejsza, gdyż nie wymaga chirurgicznego zabiegu przy pobieraniu. Udany przeszczep szpiku kostnego wymaga osiemdziesięcioprocentowej zgodności HLA. W przypadku krwi pępowinowej

wystarczy sześćdziesięciosiedmioprocentowa. Tak jest teraz, już teraz. Już dziś ratujemy życie dzięki takim przeszczepom krwi pępowinowej. Nadążacie?

Oboje kiwnęliśmy głowami.

— A teraz najważniejsze: jedyną okazję zamrożenia krwi pępowinowej ma się zaraz po narodzinach dziecka. W tym rzecz. Nie można podjąć takiej decyzji, kiedy dziecko ma trzy latka, albo, Boże uchowaj, gdy zachoruje któreś z jego rodzeństwa.

— A jak właściwie to się robi? — spytałem.

— Zabieg jest bezbolesny i prosty. Po porodzie pobiera się krew z pępowiny, następnie wyodrębniamy z niej komórki macierzyste i zamrażamy.

— Gdzie są przechowywane te komórki macierzyste?

Rozłożył ręce.

— Właśnie tutaj, w odpowiednich i bezpiecznych warunkach. Mamy strażników, awaryjne generatory prądotwórcze i sejf. Taki sam, jaki można znaleźć w każdym banku. Usługa, którą wykonujemy najczęściej i którą gorąco polecam, jest nazywana depozytem rodzinnym. Krótko mówiąc, przechowujecie u nas komórki macierzyste waszego dziecka do przyszłego wykorzystania. Może będą potrzebne waszemu dziecku. Jego rodzeństwu. Może nawet jednemu z was, wujowi lub ciotce. Komukolwiek.

— Skąd wiadomo, że te komórki z krwi pępowinowej nie zostaną odrzucone przez biorcę?

— Nie ma żadnych gwarancji. Powinniście o tym wiedzieć. Jednak, oczywiście, szansę znacznie rosną w przypadku zgodności. Ponadto... no cóż, wygląda na to, że jesteście parą mieszaną etnicznie. Trudniej byłoby wam znaleźć ewentualnego dawcę, tak więc nasze usługi mogą być dla was szczególnie ważne. Och, i pozwólcie mi przypomnieć, że komórki macierzyste, o których mówimy, pochodzą z krwi pępowinowej, nie mają więc nic wspólnego z kontrowersjami dotyczącymi embrionalnych komórek macierzystych, o których zapewne czytaliście,

— Nie przechowujecie zarodków?

— Och tak, ale to coś zupełnie innego od tego, co was interesuje. Przechowujemy je, aby pomagać w przypadkach niepłodności i temu podobnych. Proces wyodrębniania i przechowywania komórek macierzystych z krwi pępowinowej nie ma nic wspólnego z zarodkami. Chciałem, żeby to było jasne.

Uśmiechał się szeroko.

— Jest pan lekarzem? — zapytałem.

Jego uśmiech nieco przygał.

— Nie, ale mamy ich tu pięciu.

— Jakiej specjalności?

— CryoHope ma czołowych przedstawicieli z każdej dziedziny. — Wręczył mi broszurę i wskazał listę pięciu nazwisk. — Mamy genetyka, który zajmuje się chorobami dziedzicznymi. Hematologa zajmującego się transplantacjami. Ginekologa-położnika, który jest pionierem w dziedzinie leczenia bezpłodności. Mamy pediatrę onkologa prowadzącego badania nad zastosowaniem komórek macierzystych w leczeniu nowotworów u dzieci.

— Pozwoli pan, że zadam panu hipotetyczne pytanie.

Nachylił się do mnie.

— Przechowuję krew pępowinową mojego dziecka. Mijają lata. Nagle na coś zachoruję. Może jeszcze nie ma na to lekarstwa, ale chcę spróbować eksperymentalnej metody leczenia. Czy mogę wykorzystać krew pępowinową?

— Jest pańska, panie Kadison. Może pan z nią zrobić, co pan chce.

Nie miałem pojęcia, co dalej. Spojrzałem na Esperanzę. Niczego mi nie podsunęła.

- Mógłbym porozmawiać z jednym z waszych lekarzy? — zapytałem.
- Czy są jakieś pytania, na które nie odpowiedziałem?
Próbowałem wymyślić inny sposób.
- Czy macie klienta nazywającego się Rick Collins?
- Słucham?
- Rick Collins. To mój znajomy, który mi was polecił. Chciałem się upewnić, że jest waszym klientem.
- To byłaby poufna informacja. Jestem pewny, że pan to rozumie. Gdyby ktoś pytał o pana, powiedziałbym to samo.
Ślepa uliczka.
- Czy słyszał pan o organizacji dobroczynnej zwanej „Ratuj Aniołki”?
- Zjeżył się.
- Słyszał pan o takiej?
- A o co chodzi?
- Tylko zapytałem.
- Wyjaśniłem państwu, na czym polega nasza usługa — rzekł, wstając. — Proponuję, żebyście przeczytali państwo te materiały. Mamy nadzieję, że wybieriecie CryoHope. Życzę państwu szczęścia.

• • •

- Naciąganie frajerów — orzekłem, kiedy wyszliśmy na ulicę.
- Taaa.
- Win wcześniej miał teorię, że może krew znaleziona na miejscu zbrodni była krwią pępowinową.
- To by wiele wyjaśniało — przyznała Esperanza.
- Tylko że nie widzę jak. Powiedzmy, że Rick Collins oddał na przechowanie krew swojej córki Miriam. I co z tego? Przychodzi tu, każe ją... no, odmrozić, zawozi do Paryża i rozlewa na podłodze, kiedy go mordują?
- Nie.
- A co?
- Nie dostrzegamy czegoś oczywistego. Jakiegoś faktu lub kilku faktów — odrzekła Esperanza. — Może kazał wysłać zamrożoną próbkę do Paryża? Może pracował z jakimiś lekarzami nad eksperymentalną metodą leczenia wypróbowywaną na ludziach, której nasz rząd by nie aprobował? Nie wiem, ale powtarzam: czy bardziej sensowna jest teoria, że ta dziewczynka przeżyła wypadek i ukrywała się przez dziesięć lat?
- Widziałeś jego minę, kiedy wspomnieliśmy o „Ratuj Aniołki”?
- Trudno się dziwić. To grupa protestująca przeciwko aborcji i badaniom nad zarodkowymi komórkami macierzystymi. Czy zauważyłeś, jak w swojej wyćwiczonej przemowie podkreślał, że krew pępowinowa nie ma nic wspólnego z zarodkami?
Rozważyłem to.
- Tak czy inaczej, musimy przyjrzeć się tej organizacji charytatywnej.
- Nie odbierają telefonów — powiedziała.
- Masz ich adres?
- Są w New Jersey, ale...

— Ale co?

— Kręcimy się w kółko. Niczego się nie dowiedzieliśmy. A rzeczywistość skrzeczy: nasi klienci zasługują na coś lepszego. Pracujemy dla nich, i to ciężko. Nie teraz.

Stałem i słuchałem.

— Jesteś najlepszym z agentów — ciągnęła Esperanza. — A ja jestem dobra w tym, co robię. Jestem bardzo dobra. Jestem lepszą negocjatorką, niż ty będziesz kiedykolwiek, i umiem znaleźć dla naszych klientów więcej źródeł dochodów niż ty. Jednak mamy klientów, ponieważ ci ufają. Gdyż tak naprawdę chcą tylko, żeby ich agent się o nich troszczył. A w tym jesteś świetny. Wzruszyła ramionami i czekała, co powiem.

— Rozumiem, co chcesz powiedzieć. Często pakuję nas w tarapaty, żeby chronić klienta. Jednak tym razem to duża sprawa. Bardzo duża. Chcecie, żebym pilnował naszych interesów. Rozumiem to. Jednak muszę rozwikłać tę zagadkę.

— Masz kompleks bohatera — stwierdziła.

— Ojej. To raczej nic nowego.

— Czasem przez to rzucasz się na oślep w ogień. A jesteś najlepszy, kiedy wiesz, co robisz.

— Teraz jadę do New Jersey — oznajmiłem. — Ty wracaj do biura.

— Mogę pojechać z tobą.

— Nie potrzebuję niańki.

— To niedobrze, bo już ją masz. Pojedziemy do „Ratuj Aniołki”. Jeśli to będzie ślepa uliczka, wrócimy do biura i będziemy pracowali przez całą noc. Umowa stoi?

— Stoi.

29

Ślepa uliczka. Dosłownie.

Słuchając wskazówek GPS, dotarliśmy do biurowca znajdującego się w Ho-Ho-Kus w New Jersey, na końcu ślepej uliczki. Był tam sklep sportowy Eda, klub karate o nazwie „Tygrysi Pazur” oraz wyjątkowo nędzny zakład fotograficzny „Oficjalne portrety Albina Laramiego”. Kiedy przechodziliśmy obok, wskazałem wytrawiony w szkłe napis.

— Oficjalne, Ponieważ w żadnym razie nie chciałoby się oglądać nieoficjalnych portretów Albina Laramiego.

Były tam zdjęcia ślubne wykonane tak miękkim obiektywem, że trudno było powiedzieć, gdzie zaczyna się pan młody, a kończy panna młoda. Były modelki w prowokacyjnych pozach, głównie w bikini. A także okropne kolorowe zdjęcia niemowląt w odcieniach sepii, udające stare fotografie. Dzieci miały na sobie powiewne sukienki i wyglądały upiornie. Ilekroć widzę prawdziwe stare zdjęcie dziecka, nie mogę oprzeć się myśli, że osoba widoczna na tej fotografii jest już martwa i pogrzebana. Może większy ze mnie ponurak niż inni, ale komu potrzebne takie przesadnie stylizowane zdjęcia?

Weszliśmy do budynku i sprawdziliśmy spis. „Ratuj Aniołki” miała się znajdować w apartamencie 3B, ale drzwi były zamknięte. Zobaczyliśmy na drzwiach ślad po zdjętej tabliczce.

Najbliższe biuro zajmował dyplomowany księgowy Bruno i jego współpracownicy.

Zapytaliśmy tam o organizację charytatywną z sąsiedztwa.

— Och, nie ma ich już od kilku miesięcy — powiedziała recepcjonistka. Identyfikator na jej piersi głosił „Minerva”. Nie wiedziałem, czy to jej imię, czy nazwisko. — Wyprowadzili się zaraz po włamaniu.

Uniosłem brew i nachyliłem się do niej,

— Włamaniu?

Jestem mistrzem przysłuchań.

— Tak. Wynieśli się stąd. To było chyba... — Zrobiła skupioną minę. — Hej, Bob, kiedy u sąsiadów było to włamanie?

— Trzy miesiące temu.

To właściwie było wszystko, co Minerva i Bob mieli nam do powiedzenia. W telewizji detektywi pytają, czy lokator zostawił swój nowy adres. W prawdziwym życiu nigdy nie widziałem, żeby ktoś to robił. Wróciliśmy i jeszcze przez moment patrzyliśmy na drzwi, na których kiedyś była tabliczka „Ratuj Aniołki”. Nie miały nam nic do powiedzenia.

— Jesteś gotowy wrócić do pracy? — spytała Esperanza. Skinąłem głową. Wyszliśmy z budynku. Zamrugałem, oślepiiony słońcem, i usłyszałem głos Esperanzy.

- No cóż, witaj.

- Co?

Pokazała samochód stojący po drugiej stronie ulicy.

— Spójrz na nalepkę na tylnym zderzaku.

Znacie je. To białe owalne naklejki z czarnymi literami mówiące o tym, gdzie byliście. Ta moda przyszła chyba z Europy. Turysta wracający z Włoch nakleja sobie „ROM” na tylnym zderzaku. Teraz każde miasto ma swój skrót, ukazując w ten sposób lokalny patriotyzm lub coś takiego.

Ta nalepka głosiła „HHK”.

— Ho-Ho-Kus — powiedziałem.

— Tak.

Wróciłem myślą do szyfru.

— Opal w Ho-Ho-Kus. Może cztery-siedem-dwa to numer domu?

— Opal może być nazwiskiem.

Ruszyliśmy w kierunku naszego zaparkowanego samochodu, gdzie czekała na nas kolejna niespodzianka. Za naszym wozem stał czarny cadillac escalade, blokując wyjazd. Zobaczyłem idącego ku nam krępego mężczyznę w brązowym garniturze wicedyrektora. Był ostrzyżony na jeża, miał szeroką kwadratową twarz i wyglądał jak agresywny gracz pierwszoliniowy Green Bay Packer z 1953 roku.

— Pan Bolitar?

Rozpoznałem ten głos. Słyszałem go już dwukrotnie. Raz przez telefon, kiedy dzwoniłem do Berleanda, i raz w Londynie, kilka sekund przed tym, zanim straciłem przytomność.

Esperanza wysunęła się przede mnie, jakby chciała mnie chronić. Delikatnie położyłem dłoń na jej ramieniu, dając znak, że nic mi nie jest.

— Agent specjalny Jones — powiedział.

Z escalade'a wysiedli dwaj kolejni mężczyźni, zapewne też agenci. Stali przy otwartych drzwiach, opierając się o samochód. Obaj nosili okulary przeciwsłoneczne.

— Zamierzam nalegać, żeby pojechał pan ze mną — powiedział.

— Czy jestem aresztowany?

— Jeszcze nie. Jednak naprawdę powinien pan pojechać ze mną.

— Zaczekajmy na nakaz aresztowania — powiedziałem. — I przyprowadzę mojego adwokata. Tym razem załatwimy to zgodnie z procedurą.

Jones podszedł krok bliżej.

— Wolałbym nie stawiać oficjalnych zarzutów. Jednak wiem, że popełnił pan szereg przestępstw.

— Był pan tego świadkiem, no nie?

Jones wzruszył ramionami.

— Dokąd mnie zabraliście po tym, jak straciłem przytomność?

Udał zdziwienie.

— Z całą pewnością nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Jednak obaj nie mamy na to czasu. Przejdźmy się, dobrze?

Wyciągnął rękę, zamierzając złapać mnie za ramię.

— Specjalny agencie Jones — powiedziała Esperanza.

Spojrzał na nią.

— Ktoś chce z panem porozmawiać.

Wręczyła mu swój telefon komórkowy. Ściągnął brwi, ale go od niej wziął. Ja też ściągnąłem brwi i popatrzyłem na nią. Z jej twarzy niczego nie zdołałem wyczytać.

— Halo? — powiedział Jones.

Telefon był przełączony na tryb głośnomówiący, tak że wyraźnie słyszałem głos dzwoniącego.

— Chromowana, wojskowy styl, z logo Gucciego wygrawerowanym w dolnym lewym rogu.

Dzwonił Win.

— Co? — zdziwił się Jones.

— Widzę klamrę twojego paska przez lunetę mojego karabinu, chociaż celuję dziesięć centymetrów niżej — mówił Win. — Może w twoim przypadku odpowiednie byłoby siedem centymetrów.

Spojrzałem na klamrę paska Jonesa. Rzeczywiście. Nie miałem pojęcia, co oznacza „chromowana, wojskowy styl”, ale istotnie w lewym dolnym rogu było wygrawerowane logo Gucciego.

— Gucci z rządowej pensyjki? — drwił Win. — Musi być powalająca.

Nie odrywając aparatu od ucha, Jones zaczął się rozglądać.

— Zakładam, że to pan Windsor Horne Lockwood — powiedział.

— Z całą pewnością nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

— Czego pan chce?

— To proste. Pan Bolitar nie jedzie z wami.

— Grozi pan urzędnikowi federalnemu. To poważne przestępstwo.

— Jak tylko komentuję pański gust — odrzekł Win. — A ponieważ pański pasek jest czarny, a buty brązowe, jedyną obecną tu osobą, która popełniła zbrodnię, jest pan.

Jones podniósł wzrok i spojrzał mi w oczy. Był dziwnie spokojny jak na faceta, któremu ktoś mierzy w krocze. Zerknąłem na Esperanzę. Ona nie patrzyła mi w oczy. Uświadomiłem sobie coś oczywistego. Win nie jest w Bangkoku, Okłamał mnie.

— Nie chcę tu żadnych scen — powiedział Jones. Podniósł obie ręce. — Zatem w porządku, nikt tu nikogo do niczego nie zmusza. Miłego dnia.

Odwrócił i zaczął odchodzić w stronę swojego samochodu.

— Jones?! — zawołałem za nim. Obejrzał się, osłaniając dłonią oczy.

— Czy pan wie, co się stało z Teresą Collins?

— Tak.

— Niech pan powie.

— Jeśli pojedzie pan ze mną.

Spojrzałem na Esperanzę. Znowu podała komórkę Jonesowi.

— Tylko żeby wszystko było jasne: nie zdołasz się ukryć — powiedział Win. — Twoja rodzina nie zdoła się ukryć. Jeśli coś mu się stanie, nastąpi totalna destrukcja. Wszystkiego, co kochasz, i na czym ci zależy. I nie, to nie jest groźba.

Przerwał połączenie.

Jones spojrzał na mnie.

— Słodki facet.

— Nie ma pan pojęcia, jak bardzo.

— Jest pan gotowy?

Poszedłem za nim do escalade'a i wsiadłem.

30

Przejechaliśmy przez most Jerzego Waszyngtona i z powrotem na Manhattan. Jones przedstawił mi dwóch agentów siedzących z przodu, ale nie zapamiętałem ich nazwisk. Escalade wjechał na Zachodnią Siedemdziesiątą Dziewiątą Ulicą. Po kilku minutach zatrzymał się przy zachodniej części Central Parku. Jones otworzył drzwi i wziął swoją walizeczkę.

— Przejdźmy się — powiedział. Wysiadłem. Dzień wciąż był słoneczny.

— Co się stało z Teresą? — zapytałem.

— Najpierw powinien pan dowiedzieć się reszty.

Nie miałem na to ochoty, ale nie było sensu za bardzo naciskać. I tak mi powie. Jones zdjął brązową marynarkę i położył ją na tylnym siedzeniu. Oczekiwałem, że dwaj pozostali agenci zaparkują wóz i też wysiądą, ale Jones klepnął w dach i samochód odjechał.

— Tylko my? — zdziwiłem się.

— Tylko my.

Jego walizeczka była z innej epoki, idealnie prostokątna, z szyfrowymi zamkami przy obu zatraskach. Mój tata miał kiedyś taką — nosił w niej umowy, rachunki, długopisy i maleńki dyktafon do swojego biura w fabryce w Newark i z powrotem.

Jones wszedł do parku na wysokości Zachodniej Sześćdziesiątej Siódmej Ulicy. Minęliśmy restaurację parkową z pogaszonymi lampionami na drzewach. Dogoniłem go.

— To trochę jak ze szpiegowskiego filmu — zauważyłem.

— Tylko ostrożność. Zapewne zbyteczna. Jednak robiąc to, co robię, czasem chcę wiedzieć dlaczego.

Uznałem to za odrobinę melodramatyczne, ale nie chciałem naciskać. Jones nagle wpadł w ponury i refleksyjny nastrój, a ja nie miałem pojęcia, co jest tego przyczyną. Patrzył na biegaczy, na wrotkarzy, rowerzystów i na matki z wózkami od znanych projektantów.

— Wiem, że to cikliwe — rzekł — ale oni sobie jeżdżą, biegają, pracują, Kochają, śmieją się lub grają we frisbee i nie mają pojęcia, jakie to jest kruche.

Skrzywiłem się.

— Niech zgadnę. Pan, agent specjalny Jones, jest tym milczącym strażnikiem, który ich chroni, poświęcając swoje człowieczeństwo, żeby obywatele mogli spać spokojnie, zgadza się?

Uśmiechnął się.

— Chyba na to zasłużyłem.

— Co się stało z Teresą?

Jones szedł dalej.

— To pan przejął mnie w Londynie?

— Tak.

— A potem?

Wzruszył ramionami.

— Podział obowiązków. Nie wiem. Przekazałem pana komuś z innego wydziału. Moje zadanie było zakończone.

— Etycznie wygodne.

Skrzywił się, ale szedł dalej.

— Co pan wie o Mohammadzie Matarze? — zapytał.

— Tylko tyle, ile wyczytałem w gazetach. Zakładam, że był bardzo złym facetem.

— Najgorszym z najgorszych. Radykalny ekstremista z wyższym wykształceniem, przed którym trzęśli się ze strachu inni radykalni ekstremiści. Matar uwielbiał torturować. Uważał, że jedyną drogą do pokonania niewiernych jest przeniknąć do ich społeczności i żyć wśród nich. Założył terrorystyczną organizację zwaną „Zielona Śmierć”. Ich hasłem przewodnim było: *Al-sabr wal-sayf sawf yudammir al-kafimn*.

Skręciło mnie.

— *Al-sabr wal-sayf*. Co to oznacza? — zapytałem.

— Cierpliwość i miecz zniszczą grzeszników.

Pokręciłem głową, próbując rozjaśnić myśli.

— Mohammad Matar spędził niemal całe swoje życie na Zachodzie. Gównie w Hiszpanii, gdzie dorastał, ale także we Francji i Anglii. A Doktor Śmierć to nie tylko pseudonim. Uczęszczał na studia medyczne w Georgetown i odbył staż tutaj, w Nowym Jorku. Pod różnymi przybranymi nazwiskami spędził dwanaście lat w USA. Niech pan zgadnie, kiedy opuścił Stany?

— Naprawdę nie jestem w nastroju do zgadywania.

— Dziesiątego września dwa tysiące pierwszego roku.

Obaj zamilkliśmy na chwilę, niemal podświadomie spoglądając na południe. Nie, nie zobaczylibyśmy stąd wież, nawet gdyby wciąż stały. Jednak trzeba oddać hołd zabitym. Teraz i — miejmy nadzieję — zawsze.

— Chce pan powiedzieć, że był w to zamieszany?

— Zamieszany? Trudno powiedzieć. Jednak Mohammad o tym wiedział. Jego wyjazd nie był zbiegiem okoliczności. Mamy świadka, który kilkanaście dni wcześniej widział go w Pink Pony. Czy ta nazwa brzmi znajomo?

— Czy to nie ten klub striptizowy, w którym terroryści spotkali się przed jedenastym września?

Jones skinął głową. Przed nami przeszła wycieczka szkolna. Wszystkie dzieci — wyglądające na dziesięcio- lub jedenastoletnie — nosiły identyczne zielone koszule z emblematem szkoły na piersi. Jeden dorosły opiekun szedł z przodu, drugi zamykał pochód.

— Zabił pan przywódcę terrorystów — powiedział Jones. — Czy ma pan pojęcie, co zrobiliby jego zwolennicy, gdyby odkryli prawdę?

— To dlatego przypisaliście tę zasługę sobie?

— Dlatego nie ujawniliśmy pańskiego nazwiska.

— Jestem głęboko wdzięczny.

— Czy to sarkazm? — Sam nie byłem pewien.

— Jeśli nadal będzie pan się w tym grzebał, prawda wyjdzie na jaw. Rozdrażni pan rój i przyleci tu chmara terrorystów.

— Załóżmy, że się ich nie boję.

— Więc postradał pan zmysły.

— Co się stało z Teresą?

Przystanęliśmy przy ławce. Wciąż stojąc, Jones oparł jedno kolano o ławkę i postawił walizeczkę na udzie. Poszperał w niej.

— Zanim zabił pan Mohammada Matara, wykopał pan w nocy szczątki Miriam Collins, żeby zrobić badanie DNA.

— Ma pan nadzieję, że przyznam się do winy?

Jones pokręcił głową.

— Pan nie rozumie.

— Czego?

— Skonfiskowaliśmy te szczątki. Zapewne pan o tym wie.

Czekałem.

Jones wyjął z walizeczki brązową kopertę.

— Tu są wyniki badania DNA, o które panu chodziło. Wyciągnąłem rękę. Jones przez moment ociągał się, jakby rozważał, czy mi je pokazać, czy nie. Jednak obaj wiedzieliśmy, że pokaże. Po to mnie tu przyprowadził. Dał mi tę brązową kopertę. Zajrzałem do niej. Na samym wierzchu było zdjęcie kawałka kości, który zabraliśmy z Winem tamtej nocy. Chciałem spojrzeć na następną stronę, ale Jones już odchodził.

— Wyniki badania są jednoznaczne. Kości, które wykopaliście, należą do Miriam Collins. DNA wskazuje na Ricka Collinsa jako ojca i Teresę Collins jako matkę. Co więcej, wielkość i stopień rozwoju wyraźnie świadczą o tym, że jest to szkielet siedmioletniej dziewczynki.

Przeczytałem raport. Jones się nie zatrzymał.

— To mogłoby być sfałszowane — powiedziałem.

— Mogłoby — przyznał Jones.

— Jak pan wyjaśni ślady krwi znalezione na miejscu zbrodni w Paryżu?

— Właśnie poruszył pan interesującą kwestię.

— Czyli?

— Może tamte wyniki zostały sfałszowane? — Przystanąłem. — Dopiero co powiedział pan, że mogłem sfałszować wynik badania DNA. Czy nie byłoby sensowniej zakładać, że zrobili to Francuzi?

— Berleand? — spytałem. Jones wzruszył ramionami.

— Po co miałyby to robić?

— A ja? Jednak nie musi mi pan wierzyć na słowo. W tej walizeczce mam oryginalny kawałek tej kości. Kiedy zakończymy tę rozmowę, dam ją panu. Może pan sam przeprowadzić badanie DNA, jeśli pan chce.

Kręciło mi się w głowie. On wciąż szedł. To miało sens. Jeśli Berleand kłamał, wszystko układało się w logiczną całość. Odsuwając na bok emocje i pobożne życzenia, co wygląda bardziej prawdopodobnie: to, że Miriam Collins przeżyła wypadek i znalazła się po latach w pokoju jej zamordowanego ojca, czy że Berleand podał fałszywy wynik badania DNA?

— Wplątał się pan w to, ponieważ chciał pan znaleźć Miriam Collins — mówił Jones. — Teraz ją pan ma. Resztę powinien pan zostawić nam. Cokolwiek jeszcze się dzieje, teraz wie pan na pewno, że Miriam Collins nie żyje. Ten kawałek kości da panu dowód, którego pan szuka.

Pokręciłem głową.

— Za dużo tutaj dymu, żeby nie było ognia.

— Jakiego ognia? Terrorysty? Prawie cały ten dym można przypisać podjętej przez Ricka Collinsa nieudanej próbie rozpracowania komórki terrorystycznej.

— Ta jasnowłosa dziewczyna.

— Co z nią?

— Złapaliście ją w Londynie?

— Nie. Znikła, zanim tam dotarliśmy. Wiemy, że ją pan widział. Mamy świadka, sąsiada Maria Contuziego, który twierdzi, że widział, jak pan ją gonił.

— Kim była?

— Członkinią komórki.

Uniosłem brew.

— Blondynka dżihadystka?

— Jasne. Komórki zawsze mają mieszany skład. Rozczarowani emigranci arabskiego pochodzenia i paru stukniętych obywateli Zachodu. Wiemy, że komórki terrorystyczne zwiększają wysiłki zmierzające do werbowania cudzoziemców rasy białej, szczególnie kobiet. Powód jest oczywisty: ładna blondynka dostanie się tam, gdzie Arab nie może. Te dziewczyny na ogół miały poważne problemy w relacjach z ojcami. Wie pan, jak to się kończy. Jedne zostają gwiazdami porno, inne sypiają z radykałami.

Nie byłem pewny, czy to kupuję.

Na jego wargach pojawił się nikły uśmiech.

— Dlaczego nie powie mi pan, co jeszcze pana dręczy?

— Wiele rzeczy — mruknąłem. Jones pokręcił głową,

— Na pewno nie, Myronie. Teraz wszystko sprowadza się właściwie do jednego, prawda? Zastanawia się pan nad tym wypadkiem samochodowym.

— Oficjalna wersja to kłamstwo. Rozmawiałem z Karen Tower, zanim została zamordowana. Rozmawiałem z Nigelem Mandersonem. Ten wypadek miał inny przebieg, niż podano.

— To jest ten dym?

— Tak.

— I jeśli go rozwieję, zostawi pan tę sprawę?

— Oni ukrywali coś związanego z tamtym wypadkiem.

— I jeżeli rozwieję te wątpliwości, zostawi pan to? — powołał pytanie.

— Chyba tak.

— W porządku, więc przedyskutujmy inne teorie — rzekł Jones, nie zwalniając kroku. — Ten wypadek samochodowy sprzed dziesięciu lat. Sądzi pan, że w rzeczywistości... — Przystanął i odwrócił się do mnie. — Cóż, nie, niech pan mi to powie. Jak pan myśli, co oni ukrywali?

Nie odpowiedziałem.

— Samochód się rozbił. Chyba z tym się pan zgadza. Teresę została przewieziona do szpitala. Tego pewnie też pan nie kwestionuje. Zatem, co się nie zgadza? Sądzi pan, Myronie... i proszę, powiedz, jeśli się mylę... że klika złożona z najlepszej przyjaciółki Teresę Collins i co najmniej paru policjantów z jakiegoś powodu ukryła przed nią jej siedmioletnią córkę i w tajemnicy wychowywała ją przez te wszystkie lata... A potem?

Nadal milczałem.

— Ta pańska teoria spiskowa opiera się na założeniu, że sfałszowałem wynik badania DNA, co teraz, wykonując badanie w niezależnym laboratorium, może pan wykluczyć.

— Oni coś ukrywali — upierałem się.

— Tak — potwierdził. — Ukrywali.

Czekałem. Przeszliśmy obok karuzeli.

— Wypadek miał taki przebieg, jaki panu podano. Ciężarówka wjechała na A-czterdzieści. Pani Collins gwałtownie skręciła i cóż... stało się. Katastrofa. Zna pan tło tego zdarzenia. Była w domu. Otrzymała telefon wzywający ją do pracy, żeby poprowadziła program w najlepszym czasie antenowym. Tamtej nocy nie zamierzała już nigdzie wychodzić, więc zapewne to zrozumiała.

— Co?

— Jest takie greckie przysłowie: „Garbaty nigdy nie widzi swojego garbu”. — Co to ma z tym wspólnego?

— Może nic. To przysłowie mówi o wadach. Szybko znajdujemy wady u innych. U siebie już nie. Ponadto nie potrafimy należycie ocenić własnych możliwości, szczególnie kiedy ktoś macha nam przed nosem marchewką.

— Nic z tego nie rozumiem.

— Ależ rozumie pan. Chce pan wiedzieć, co ukryto, a przecież to oczywiste. Czy Teresę Collins nie została dostatecznie ukarana śmiercią swojej córki? Nie wiem, czy martwili się prawnymi konsekwencjami, czy poczuciem winy, jakie miałyby z tego powodu. Teresę Collins była tamtej nocy pijana. Czy zdołałaby uniknąć wypadku, gdyby była trzeźwa? Kto wie? Wina leżała po stronie kierowcy ciężarówki, ale może gdyby czas jej reakcji był krótszy...

Próbowałem to ogarnąć.

— Teresę była pijana?

— Badanie krwi wykazało przekroczenie dopuszczalnej zawartości alkoholu, więc tak.

— I to ukrywano?

— Tak

Kłamstwo ma charakterystyczny zapach. Prawda też.

— Kto o tym wiedział? — zapytałem.

— Jej mąż. I Karen Tower. Zatuszowali to, ponieważ obawiali się, że prawda zniszczy Teresę.

Prawda być może i tak to zrobiła, pomyślałem. Zrobiło mi się ciężko na sercu, gdy zrozumiałem jeszcze jedno: Teresę zapewne wiedziała. Podświadomie wiedziała, że jest współwinna. Taka tragedia może załamać każdą matkę, ale teraz, po dziesięciu latach, Teresę wciąż próbowała wszystko naprawić.

Jak to ujęła, kiedy dzwoniła do mnie z Paryża? Nie chce odbudować swego życia.

Wiedziała. Może tylko podświadomie. Jednak wiedziała.

Przystanąłem.

— Co się stało z Teresę?

— Czy to rozwiewa ten dym, Myronie?

— Co się z nią stało? — ponowiłem pytanie. Jones odwrócił się i spojrzał mi w oczy.

— Chcę, żebyś to zostawił, dobrze? Nie jestem z tych, którzy uważają, że cel uświęca środki. Znam wszystkie argumenty przeciwko stosowaniu tortur i zgadzam się z nimi. Jednak to nie jest takie proste. Powiedzmy, że łapiesz terrorystę, który już zabił tysiące, a teraz ukrył gdzieś bombę, która zabije miliony dzieci. Czy rąbniesz go w twarz, żeby uzyskać odpowiedź i ocalić te dzieci? Oczywiście, że tak. A jeśli dzieci będzie tylko tysiąc, sto lub jedno? Każdy, kto nie chce wziąć tego pod uwagę... No cóż, byłbym ostrożny z kimś takim. To również ekstremista.

— O co ci chodzi?

— Chcę, żebyś odzyskał swoje życie. — Jones mówił teraz łagodnie, niemal błagalnie. — Wiem, że tego nie kupujesz. Jednak nie podoba mi się to, co ci się przydarzyło. Dlatego mówię ci to wszystko. Jestem bezpieczny. Tak naprawdę nie nazywam się Jones i jesteśmy w tym parku, ponieważ nie mam biura. Nawet twój przyjaciel Win miałby kłopot z odszukaniem mnie. Teraz wiem o tobie wszystko. Znam twoją przeszłość. Wiem, że miałeś kontuzję kolana i próbowałeś wrócić na boisko. Nieczęsto dostaje się drugą szansę. Teraz ci taką daję. — Spojrzał w dal. — Musisz dać temu spokój i żyć dalej. Dla swojego dobra. — Wskazał ruchem brody. — I jej.

Przez moment bałem się popatrzeć. Podążyłem wzrokiem za jego spojrzeniem, od lewej do prawej, i nagle zamarłem.

Moja ręka sama powędrowała do ust. Zachwiałem się, jakby ktoś uderzył mnie w pierś. Na bezmiarze zielonego trawnika, patrząc na mnie ze łzami w oczach, lecz wyglądając tak boleśnie pięknie, jak zawsze, stała Teresę.

31

Podczas ataku terrorystów w Londynie Teresę została postrzelona w kark.

Znów delikatnie całowałem to cudowne ramię, gdy zobaczyłem bliznę. Nie, nie została odurzona ani zabrana do tajnego więzienia. Przewieziono ją do szpitala pod Londynem, a potem samolotem do Nowego Jorku. Jej obrażenia były poważniejsze od moich. Straciła dużo krwi. Wciąż ją bolało i poruszała się ostrożnie.

Znów byliśmy w apartamencie Wina, w mojej sypialni, objęci, patrząc w sufit. Oparła głowę na mojej piersi. Czuję bicie mego serca przy jej sercu.

— Wierzysz w to, co powiedział Jones? — zapytałem.

— Tak.

Przesunąłem dłoń w dół jej pleców i przyciągnąłem ją jeszcze bliżej. Poczułem, że drży. Nie chciałem ani na moment stracić jej z oczu.

— Chyba zawsze wiedziałam, że sama się oszukuję — wyznała. — Tak bardzo tego pragnęłam. Tej szansy odkupienia, wiesz? Żeby moje dawno utracone dziecko było gdzieś tam i żebym miała szansę je uratować.

Rozumiałem to uczucie.

— I co teraz zrobimy? — zapytałem.

— Chcę tylko leżeć tu z tobą i po prostu być. Możemy?

— Możemy. — Wpatrywałem się w panele sufitu. A potem, ponieważ nigdy nie potrafię odpuścić, zapytałem: — Kiedy urodziła się Miriam, czy oddaliście z Rickiem na przechowanie jej krew pępowinową?

— Nie.

Ślepa uliczka.

— Nadal chcesz wykonać to badanie DNA, żeby mieć pewność?

— A co ty o tym myślisz?

— Myślę, że powinniśmy — odparłem.

— Zatem zróbmy to.

— Będziesz musiała dać próbkę swojego DNA — powiedziałem. — Żebyśmy mogli je porównać. Nie mamy DNA Ricka, ale jeśli potwierdzi się, że dziecko było twoje... no cóż, zakładam, że urodziłaś tylko raz?

Cisza.

— Teresę?

— Urodziłam tylko to jedno dziecko.

Znów zamilkła.

— Myronie?

— Tak?

— Nie mogę mieć więcej dzieci.

Milczałem.

— Narodziny Miriam to był cud. Jednak potem musieli mi zrobić histerektomię z powodu zwłóknowacenia. Nie mogę już mieć dzieci.

Zamknąłem oczy. Chciałem powiedzieć coś pocieszającego, ale wszystko zabrzmiałoby zbyt protekcyjnie lub powierzchownie. Tak więc tylko przytuliłem ją mocniej. Nie chciałem patrzeć w przyszłość. Chciałem tylko leżeć i trzymać ją w ramionach.

Znowu przypomniało mi się to żydowskie przysłowie: „Człowiek planuje, Bóg z tego żartuje”.

Poczułem, że zaczyna się ode mnie odsuwać. Przyciągnąłem ją powrotem.

— Za wcześniej na taką rozmowę? — zapytała.

Zastanowiłem się.

— Zapewne za późno — odrzekłem.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Teraz chcę po prostu leżeć tu z tobą i być.

. . .

Teresę mocno spała, gdy usłyszałem chrobot klucza w zamku frontowych drzwi. Zerknąłem na zegar. Pierwsza w nocy.

Narzuciłem szlafrok, gdy wszedł Win z Mee. Pozdrowiła mnie uniesioną dłonią.

— Cześć, Myronie.

— Cześć, Mee.

Skierowała się do następnego pokoju.

— Jeśli chodzi o seks — powiedział Win, kiedy znikła — preferuję podejście „Mee pierwsza”.

Tylko na niego popatrzyłem.

— A najlepsze jest to, że naprawdę niewiele trzeba, żeby była zadowolona.

— Proszę, przestań — jęknąłem. Win podszedł i mocno mnie uściskał.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

— Nic mi nie jest.

— Chcesz usłyszeć coś dziwnego?

— Co?

— To nasze najdłuższe rozstanie od czasów studenckich. Kiwnąłem głową, zczekałem, aż mnie puści, i cofnąłem się o krok.

— Skłamałeś o Bangkoku — powiedziałem.

— Nie, nie skłamałem. Naprawdę uważam, że to zabawna nazwa. Bang. Cock. Ach, te sekskluby...

Pokręciłem głową. Przeszliśmy do salonu w stylu Ludwika któregoś tam, z ciężkimi meblami, bogatymi rzeźbieniami i popiersiami długowłosych facetów. Zasiadliśmy w skórzanych fotelach przed marmurowym kominkiem. Win rzucił mi yoo-hoo, a sobie nalał dużą porcję szkockiej z karafki.

— Zamierzałem wypić kawę — poinformował — ale po niej Mee nie może zasnąć do rana.

Skinąłem głową.

— Skończyły ci się już żarty o Mee?

— Boże, mam nadzieję, że nie — westchnął.

— Dlaczego skłamałeś o Bangkoku?

— A jak myślisz? — odpowiedział pytaniem na pytanie. Odpowiedź była oczywista. Znowu poczułem przyływ zawstydenia.

— Wydałem cię, prawda?

— Tak.

Poczułem łyzy napływające do oczu, strach, znajomy brak tchu. Moja prawa noga zaczęła się trząść.

— Bałeś się, że znowu mnie złapią — powiedziałem. — Gdyby to zrobili i znów mnie złamali, podałbym im błędne informacje.

— Tak.

— Przepraszam.

— Nie masz za co przepraszać.

— Myślałem... sądziłem, że jestem silniejszy.

Win upił łyk whisky.

— Jesteś najsilniejszym facetem, jakiego znam — powiedział.

Odczekałem moment, a potem, nie mogąc się powstrzymać, zapytałem:

— Silniejszym niż Mee?

— Silniejszym. Jednak nie tak elastycznym.

Siedzieliśmy w miłym milczeniu.

— Pamiętasz cokolwiek? — zapytał.

— Słabo.

— Będziesz potrzebował fachowej pomocy.

— Wiem.

— Masz tę próbkę kości do badania DNA?

Skinąłem głową.

— Jeśli ono potwierdzi to, co powiedział ci ten cały Jones, sprawa będzie zakończona?

— Jones odpowiedział na większość moich pytań.

— Słyszę jakieś „ale”.

— Właściwie jest ich kilka.

— Słucham.

— Zadzwoń mi pod numer, który dał mi Berleand — powiedziałem. — Nikt nie odpowiada.

— To żadne „ale”.

— Znasz jego teorię odnośnie do spisku Mohammada Matara?

— Tę, że spiszek przetrwał jego śmierć? Tak.

— Jeśli to prawda, stanowi zagrożenie dla wszystkich. Mamy obowiązek pomóc.

Win poruszył głowę w przód i w tył.

— Eee — mruknął.

— Jones uważa, że jeżeli zwolennicy Matara odkryją, co zrobiłem, zechcą mnie dopaść. Nie mam ochoty na to czekać ani żyć w strachu.

To bardziej mi się spodobało.

— Wolałbyś zastosować bardziej aktywną taktykę? — spytał.

— Raczej tak. Skinąłem głową.

— Co jeszcze?

Upiłem kolejny łyk.

— Widziałem tę blondynkę. Widziałem, jak chodzi. Widziałem jej twarz.

— Ach — westchnął Win. — Jak stwierdziłeś wcześniej, dostrzegłeś podobieństwa, być może genetyczne, pomiędzy nią a apetyczną panią Collins?

Piłem yoo-hoo.

— Czy pamiętasz te gry oparte na złudzeniach optycznych, w które graliśmy, kiedy byliśmy dziećmi? — zapytał Win. — Patrzyłeś na obrazek i widziałeś starą wiedźmę albo śliczną dziewczynę? Był też taki ukazujący królika lub kaczkę.

- To nie jest podobny przypadek.
- Zadaj sobie pytanie; gdyby Teresę nie wezwała cię do Paryża. Gdybyś szedł ulicą do swojego biura i minęła cię ta jasnowłosa dziewczyna, czy przystanąłbyś, myśląc: o rany, to musi być córka Teresę?
- Nie.
- Zatem to wynik specyficznej sytuacji. Rozumiesz?
- Tak,
Jeszcze przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.
- Oczywiście to wcale nie oznacza, że się mylisz — odezwał się wreszcie Win.
- Właśnie.
- Ponadto załatwienie groźnego terrorysty może być dobrą zabawą.
- Jesteś ze mną?
- Jeszcze nie. Będę, kiedy dopiję tego drinka i złożę wizytę w mojej sypialni.

32

Umysł potrafi płatać figle.

Logiczne myślenie nigdy nie przebiega liniowo. Śmiga tu i tam, obija się o ściany, robi gwałtowne skręty i gubi się podczas objazdów. Wszystko może być katalizatorem, zazwyczaj coś niemającego bezpośredniego związku z danym zadaniem i rykoszetem odbijającego myśli w nieoczekiwanym kierunku — takim, który nieuchronnie prowadzi do rozwiązania, do jakiego nigdy nie doprowadziłoby logiczne liniowe rozumowanie.

Tak było ze mną. W ten sposób zacząłem składać wszystko w całość.

Teresę poruszyła się, gdy wróciłem do sypialni. Nie powiedziałem jej o moich wnioskach co do jasnowłosej dziewczyny, czy były wynikiem specyficznej sytuacji, czy nie. Nie chciałem niczego przed nią ukrywać, ale na razie nie było powodu, by jej o tym mówić. Stara się dojść do siebie. Dlaczego miałbym rozdrapywać rany, zanim dowiem się wszystkiego?

Znów zasnęła. Objąłem ją i zamknąłem oczy. Uświadomiłem sobie, jak mało spałem, od kiedy wróciłem po szesnastodniowej nieobecności. Zapadłem w świat sennych koszmarów i gwałtownie ocknąłem się koło trzeciej rano. Serce biło mi jak szalone. Miałem łzy w oczach. Pamiętałem tylko wrażenie ogromnego ciężaru, który przygniatał mnie tak, że nie mogłem oddychać. Wstałem z łóżka. Teresę wciąż spała. Pochyliłem się i delikatnie ją pocałowałem.

W pokoju przylegającym do sypialni był laptop. Załogowałem się do Internetu i poszukałem „Ratuj Aniołki”. Pojawiła się strona internetowa. Banner na górze głosił RATUJ ANIOŁKI oraz nieco mniejszymi literami CHRZEŚCIJAŃSKIE ROZWIĄZANIA. Na stronie głoszone pochwałę życia, miłości i Boga. Mówiono o zastąpieniu słowa „wybór” słowem „rozwiązania”. Były tam wypowiedzi kobiet, które preferowały „rozwiązanie adopcyjne” zamiast „morderstwa”. Pary mające problem z bezpłodnością mówiły o tym, jak to rząd chce „okrutnie eksperymentować” na ich „nienarodzonych”, podczas gdy „Ratuj Aniołki” może pomóc zamrożonemu embrionowi „zrealizować cel jego istnienia — życie” poprzez chrześcijańskie rozwiązanie, jakim jest pomoc innej bezpłodnej parze.

Słyszałem już te argumenty i przypomniałem sobie, jak wspomniał o nich Mario Contuzzi. Powiedział, że ta organizacja sprawiała wrażenie prawicowej, ale nie ekstremistycznej. Byłem gotów się z nim zgodzić. Surfowałem dalej. Podali, że ich celem jest dzielenie się miłością Boga i ratowanie nienarodzonych dzieci. Było tam wyznanie wiary, zaczynające się od stwierdzenia, iż Biblia jest „pełnym, duchowym i nieomylnym słowem Bożym”. Klikając na odpowiednie przyciski, można było przejść do kwestii adopcyjnych, prawnych, informacji i pomocy dla ciężarnych.

Przeszedłem do działu najczęściej zadawanych pytań, patrząc, co odpowiadają na „Jak” i „dlaczego”: jak pomagać niezamężnym matkom, znajdować embriony bezpłodnym parom, wypełniać formularze, obliczać koszty, składać dotacje i dołączyć do zespołu „Ratuj Aniołki”, wszystko to naprawdę robiło wrażenie. Dalej była galeria zdjęć. Kliknąłem na pierwszą stronę. Zobaczyłem zdjęcia dwóch dość okazałych schronisk dla niezamężnych matek. Jedna wyglądała jak budynek, jaki można zobaczyć na plantacji w Georgii, cała biała z marmurowymi kolumnami i otaczającymi ją wierzbami płaczącymi. Drugi dom był jak typowy pensjonat — malowniczy, niemal przesadnie wiktoriański dom z blankami, wieżyczkami,

witrażowymi oknami, przestronnym gankiem i niebieskoszarym mansardowym dachem. W podpisie podkreślano poufność zarówno lokalizacji, jak i mieszkank — żadnych nazwisk i adresów — a na widok pięknych pocztówkowych zdjęć niemal chciało się, żeby ktoś cię zapłodnił.

Kliknąłem na drugą stronę galerii — i wtedy mój uparty, powolny, nieliniowy, katalityczny umysł doznał olśnienia.

Były tam zdjęcia niemowląt. Fotografie były piękne, wspaniałe i ujmujące, z rodzaju tych, które mają budzić podziw i entuzjazm u każdego, kto ma serce.

Mój uparty umysł lubi przeciwieństwa. Patrzysz na dennego komika i myślisz, jaki dobry jest Chris Rock. Oglądasz film, który próbuje przerazić nadmiarem krwi w technicolorze, a myślisz, w jakim napięciu trzymał cię Hitchcock, nawet na czarno-białej taśmie. Teraz, patrząc na „uratowane aniołki”, myślałem o tym, jak doskonałe są te zdjęcia w porównaniu z tamtymi okropnymi wiktoriańskimi fotografiami, które widziałem nieco wcześniej tego dnia na wystawie nędznego zakładu fotograficznego. To mi przypomniało o czymś jeszcze, czego się tu dowiedziałem — o tym, że HHK może oznaczać Ho-Ho-Kus, na co wpadła Esperanza.

I znów ta praca ludzkiego mózgu — miliardy synaps trzeszczących, łączących się, skręcających i iskrzących. Trudno to sobie wyobrazić, ale tak właśnie musiało to przebiegać w mojej głowie: „Oficjalne portrety”, HHK, Esperanza, jak się poznaliśmy, kiedy walczyła na ringu, WDW, czyli skrót od Wspaniałych Dam Wrestlingu.

Nagle wszystko połączyło się w całość. No, może nie wszystko. Ale część. Wystarczająca, abym wiedział, dokąd udam się rano.

Do tego nędznego zakładu fotograficznego w Ho-Ho-Kus. „Oficjalne portrety Albina Laramiego”, czyli, gdyby napisać to w skrócie, OPAL.

• • •

Mężczyzna za kontuarem studia „Oficjalne portrety Albina Laramiego” niewątpliwie był Albinem. Nosił pelerynkę. Błyszcząca. Jakby był Batmanem lub Zorro. Jego zarost wyglądał jak wytrawiony, włosy miał w artystycznym nieładzie i cały jego wygląd wołał głośno, że nie jest tylko artystą, ale „Artystą”. Rozmawiał przez komórkę i kiedy wszedłem, ściągnął brwi.

Ruszyłem w jego stronę. Palcem dał mi znak, żebym zaczekał.

— On tego nie czuje, Leopoldzie. Co mogę ci powiedzieć? Ten człowiek nie czuje kątów, tekstury ani koloru. Nie ma oka.

Znów uniósł palec, żebym zaczekał jeszcze chwilę. Zrobiłem to. Rozłączył się i westchnął teatralnie.

— Mogę w czymś pomóc?

— Cześć — rzuciłem. — Nazywam się Bemie Worley.

— A ja jestem Albin Laramie — rzekł, kładąc dłoń na sercu.

Oznajmił to z dumą i weną. Przypominał mi Mandy Patinkina w *Narzeczonym księżniczki*. Niemal spodziewałem się, że powie mi, iż zabiłem jego ojca i mam szykować się na śmierć.

Posłałem mu znużony uśmiech.

— Żona prosiła mnie, żebym odebrał kilka zdjęć.

— Ma pan kwit?

— Zgubiłem.

Albin zmarszczył czoło.

- Jednak mam numer zlecenia, jeśli to pomoże.
- Możliwe. — Wyciągnął klawiaturę, przyszykował palce i obrócił się do mnie. — Tak?
- Cztery, siedem, jeden, dwa.

Popatrzył na mnie, jakbym był najgłupszym stworzeniem bożym na kuli ziemskiej.

- To nie jest numer zlecenia.
- Och. Jest pan pewien?
- To numer sesji.
- Sesji?

Odgarnął do tyłu poły płaszcza, jak ptak zamierzający rozłożyć skrzydła.

- Sesji zdjęciowej.

Zadzwoił telefon i Albin odwrócił się do mnie plecami, jakby o mnie zapominał. Traciłem z nim kontakt. Cofnąłem się o krok i odegrałem swoją rolę. Zamrugałem i ułożyłem usta w idealne „O”. Myron Bolitar zdjęty podziwem. Albin przyglądał mi się teraz z zaciekawieniem. Krążyłem po zakładzie, pełen podziwu.

- Jakiś problem? — zagadnął.

— Pańskie dzieła są zdumiewające — westchnąłem. Nastroszył piórka. W prawdziwym życiu nieczęsto można zobaczyć, jak dorosły mężczyzna się puszy. Przez prawie dziesięć minut wychwalałem jego prace, pytając o inspirację i pozwalając mu bredzić o odcieniach, tonach, stylu, oświetleniu i tym podobnych rzeczach.

— Marge i ja mamy dziecko — powiedziałem, kręcąc z podziwem głową nad odrażającym stylizowanym na wiktoriańskie zdjęciem, na którym skądinąd ładny malec wyglądał jak mój wujek Morty chory na półpasiec. — Powinniśmy umówić się na sesję.

Albin nadal puszył się w swojej pelerynce. Pomyślałem, że puszenie się idealnie pasuje do mężczyzny w pelerynce. Omówiliśmy cenę, która była tak potwornie zawyżona, że musiałbym wziąć drugą pożyczkę hipoteczną. Mimo to nadal grałem swoją rolę

— Widzi pan — powiedziałem w końcu — to jest numer, który dała mi żona. Numer sesji. Powiedziała, że kiedy zobaczę te zdjęcia, po prostu mnie powalą. Myśli pan, że mógłbym zobaczyć te ujęcia z sesji numer cztery-siedem-jeden-dwa?

Nawet jeśli uznał za dziwne, że przyszedłem tu, twierdząc, że chcę odebrać zdjęcia, a teraz chciałem tylko je obejrzeć, to nutę zdziwienia zagłuszył tubalny głos prawdziwego geniuszu.

— Tak, oczywiście, są w komputerze. Muszę panu powiedzieć, że nie lubię fotografii cyfrowej. W przypadku małej dziewczynki wolę posługiwać się klasycznym aparatem skrzynkowym. Ta daje zdjęciom właściwą teksturę.

— To byłoby wspaniale.

— Mimo to używam cyfrówki do przechowywania zdjęć w komputerze. — Postukał w klawiaturę i wcisnął „enter”. — Cóż, to nie są zdjęcia dziecka, to pewne. Proszę spojrzeć.

Albin obrócił monitor ekranem do mnie. Zobaczyłem mnóstwo ikonek. Zaparło mi dech, zanim jeszcze nacisnął jedną, powiększając obraz tak, że zajął cały ekran. Nie było żadnych wątpliwości.

Na zdjęciu była jasnowłosa dziewczyna. Starałem się udawać spokój.

- Będę potrzebował odbitkę.
- Jakiego formatu?
- Obojętnie, wystarczy pocztówkowy,
- Będzie gotowa w następny wtorek.
- Potrzebna mi teraz.
- Niemożliwe.

- Do pańskiego komputera jest podłączona kolorowa drukarka — zauważyłem.
- Tak, ale z niej nie uzyska się odbitki odpowiedniej jakości.
Nie było czasu na wyjaśnienia. Wyjąłem portfel.
- Dam panu dwieście dolarów za komputerowy wydruk tego zdjęcia.
Zmrużył oczy, ale tylko na moment. W końcu zaświtało mu, że coś jest nie tak, ale był fotografem, a nie prawnikiem czy lekarzem. Nie obowiązywała go tajemnica zawodowa. Wręczyłem mu dwieście dolarów. Podeszedł do drukarki. Zauważyłem link opisany jako „Personal Info”. Kliknąłem go, gdy Albin wyjmował zdjęcie z drukarki.
- Pan wybaczy? — rzekł Albin.
Cofnąłem się, ale już dość zobaczyłem. Było tam tylko imię tej dziewczyny: Carrie. A adres? Tuż obok. Pod opieką fundacji „Ratuj Aniołki”.

• • •

Albin nie znał nazwiska Carrie. Kiedy zacząłem naciskać, powiedział mi, że robi zdjęcia dla „Ratuj Aniołki”, i nic więcej. Podają mu tylko imiona. Wziąłem odbitkę i wróciłem do sąsiedniego budynku. Fundacja nadal była zamknięta. Żadna niespodzianka. Znalazłem Minervę, moją ulubioną recepcjonistkę u Bruna i jego współpracowników. Pokazałem jej zdjęcie jasnowłosej Carrie.

- Zna ją pani?
Minerva spojrzała na mnie.
- Zaginęła — wyjaśniłem. — Próbuję ją odnaleźć.
- Jest pan prywatnym detektywem?
- Jestem.
To było prostsze niż wyjaśnienia.
- Super.
- Tak. Ma na imię Carrie. Rozpoznaje ją pani?
- Pracowała tu.
- W „Ratuj Aniołki”?
- No, właściwie nie pracowała. Była jedną z praktykantek. Widywałam ją tu w lecie przez kilka tygodni.
- Może mi pani coś o niej powiedzieć?
- Jest piękna, prawda?
Nie odpowiedziałem.
- Nie znam jej nazwiska. Nie była zbyt miła. Prawdę mówiąc, żadna z tych praktykantek nie była miła. Chyba bardzo kochają Boga, ale nie ludzi. No cóż, nasze biura mają wspólną toaletę na końcu korytarza. Mówiłam „cześć”. Patrzyła na mnie jak na powietrze. Wie pan, o czym mówię?

Podziękowałem Minervie i skierowałem się do apartamentu 3B. Stałem tam i patrzyłem na drzwi fundacji „Ratuj Aniołki”, I znów ten mój umysł. Pozwoliłem, by kawałki łamigłówek wirowały w mojej starej łepetynie jak skarpetki w suszarce. Myślałem o witrynie internetowej, po której surfowałem zeszłej nocy, i o samej nazwie organizacji. Spojrzałem na fotografię. Te jasne włosy. Piękna twarz. Niebieskie oczy ze złotymi obwódkami wokół źrenic.

Jednak ujrzałem właśnie to, o czym mówiła Minerva.

Nie było mowy o pomyłce.

Czasem dostrzegasz w twarzy wyraźne genetyczne podobieństwo, takie jak te złote obwódki wokół źrenic, a czasem także coś jak echo. Właśnie to zobaczyłem na twarzy tej dziewczyny. Echo.

Byłem pewny, że to echo jej matki.

Znów popatrzyłem na drzwi. I na fotografię. Kiedy pojąłem prawdę., przeszedł mnie zimny dreszcz.

Berleand nie kłamał.

Zadzwoił mój telefon komórkowy. Win.

— Zakończyli badanie DNA tej kości.

— Nie mów. Wykazało, że Teresę jest matką. Jones mówił prawdę.

— Tak.

Jeszcze raz spojrzałem na zdjęcie.

— Myronie?

— Chyba teraz rozumiem. Myślę, że wiem, co się dzieje — powiedziałem.

33

Pojechałem do centrum Nowego Jorku — ściśle mówiąc, do CryoHope.

To niemożliwe.

Ta myśl nieustannie tłukła mi się w głowie. Sam nie wiem, czy miałem nadzieję, że się mylę, czy nie, jednak, jak już powiedziałem, prawda ma charakterystyczny zapach. Co zaś do aspektu „to niemożliwe”, znów przypomnę aksjomat Sherlocka Holmesa: kiedy wyeliminuje się niemożliwe, to, co pozostaje, obojętnie jak nieprawdopodobne, musi być prawdą.

Chciałem zadzwonić do agenta specjalnego Jonesa. Teraz miałem zdjęcie dziewczyny. Ta Carrie zapewne była terrorystką, sympatykiem lub — w najlepszym wypadku — przetrzymywano ją wbrew jej woli. Jednak na taki telefon było jeszcze za wcześnie. Mógłbym porozmawiać z Teresą omówić z nią tę ewentualność, ale i to wydawało się przedwcześnie.

Musiałem mieć całkowitą pewność, zanim obudzę, — lub przekreślę — nadzieje Teresę.

• • •

CryoHope miała parking z obsługą. Dałem parkingowemu kluczyki i wszedłem do środka. Rick Collins przyszedł tutaj, gdy tylko dowiedział się, że jest chory na płąsawicę Huntingtona. Pozornie miało to sens. CryoHope była liderem w dziedzinie badań nad komórkami macierzystymi. Można było przyjąć, że przyszedł tu w nadziei znalezienia czegoś, co mogłoby go uchronić od losu, na jaki skazały go geny.

Tak jednak nie było.

Przypomniałem sobie nazwisko jednego z lekarzy wymienionych w ulotce.

— Chcę się zobaczyć z doktorem Sloanem — powiedziałem recepcjonistce.

— Pańskie nazwisko?

— Myron Bolitar. Proszę mu powiedzieć, że chodzi o Ricka Collinsa. I o dziewczynę imieniem Carrie.

• • •

Kiedy wychodziłem, Win czekał przy frontowych drzwiach, oparty o ścianę z gracją baletmistrza. Jego limuzyna była w pobliżu, ale odprowadził mnie do mojego samochodu.

— I co? — zapytał.

Opowiedziałem mu wszystko. Słuchał, nie przerywając i nie zadając żadnych pytań.

— Następny krok? — spytał, kiedy skończyłem.

— Powiem Teresę.

— Jak twoim zdaniem zareaguje?

— Nie wiem.

- Mógłbyś poczekać. Dowiedzieć się więcej.
- Na temat czego?
 - Wziął fotografię.
- O tej dziewczynie.
- Dowiemy się. Jednak muszę powiedzieć Teresę teraz. Zaświergotała moja komórka. Wyświetlacz pokazywał „numer nieznan”. Przełączyłem aparat na tryb głośnomówiący.
- Halo?
- Tęsknisz za mną?
 - Berleand.
- Nie oddzwoniłeś — mruknąłem.
- Miałeś trzymać się od tego z daleka. Oddzwaniając, mógłbym zachęcić cię do wznowienia śledztwa.
- Więc dlaczego dzwonisz teraz?
- Ponieważ masz bardzo poważny problem.
- Słucham.
- Masz włączony tryb głośnomówiący?
- Tak.
- Czy Win jest z tobą?
- Jestem — powiedział Win.
- Przechwyciliśmy groźną rozmowę wychodzącą z Paterson w New Jersey. Wymieniono nazwisko Teresę.
- Teresę, ale nie moje?
- Może twoje też padło. To była rozmowa. Nie zawsze wszystko można wychwycić.
- Jednak uważasz, że o nas wiedzą?
- Wydaje się to możliwe, tak.
- Domyślasz się skąd?
- Nie. Agenci pracujący z Jonesem, ci, którzy cię przejęli, należą do najlepszych. Żaden z nich się nie wygadał.
- Któryś musiał.
- Jesteś pewien?
 - Odtworzyłem w myślach przebieg wydarzeń. Zastanawiałem się, kto jeszcze mógł być wtedy w Londynie i powiedzieć dżihadystom, że to ja zabiłem ich przywódcę Mohammada Matara. Zerknąłem na Wina. Pokazał mi fotografię Carrie i uniósł brew.
- Kiedy wykluczyć niemożliwe...
 - Zadzwoń do swoich rodziców — polecił Win. — Przewieziemy ich do posiadłości Lockwoodów w Palm Beach. Esperanzy przydzielimy najlepszą ochronę... może Zorra jest wolna albo ten Carl z Filadelfii. Czy twój brat nadal kopie w Peru?
 - Skinąłem głowę.
 - Tam powinien być bezpieczny.
 - Wiedziałem, że Win zostanie z Teresę i ze mną. Zaczął dzwonić. Podniosłem telefon do ucha, wyłączając głośnik.
 - Berleand?
 - Tak.
 - Jones sugerował, że mogłeś kłaniać na temat wyniku badania DNA.
 - Milczał.
 - Wiem, że mówiłeś prawdę — powiedziałem.
 - Skąd wiesz?

- I tak już za dużo powiedziałem.
- Muszę wykonać kilka telefonów. Oddzwonię do ciebie — rzuciłem.
Rozłączyłem się i zadzwoniłem do rodziców. Miałem nadzieję, że odbierze ojciec, więc oczywiście telefon odebrała mama.
- Mamo, to ja,
- Halo, kochanie. — Miała zmęczony głos. — Właśnie wróciłam od lekarza.
- Wszystko w porządku?
- Wieczorem możesz poczytać o tym w moim blogu.
- Chwileczkę, właśnie wróciłaś od lekarza, tak?
Mama westchnęła.
- Przecież powiedziałam, prawda?
- Racja, dlatego pytam, jak się czujesz.
- Napiszę o tym w blogu. Jeśli chcesz wiedzieć więcej, przeczytaj.
- Nie powiesz mi?
- Nie bierz tego do siebie, skarbie. W ten sposób nie muszę się powtarzać, kiedy ktoś mnie pyta.
- Dlatego piszesz o tym w blogu?
- To zwiększa ruch na mojej stronie. Widzisz, teraz gię zainteresowałeś, mam rację? Będę miała więcej odwiedzin.
- Nawet nie wiedziałem, że prowadzisz blog.
- Oczywiście, przecież jestem bardzo na czasie, nowoczesna. Jestem również w MyFace.
Usłyszałem głos ojca wołającego w tle:
- MySpace, Ellen!
- Co?
- Ta witryna nazywa się MySpace — sprostowałem.
- Myślałam, że MyFace.
- Pomyliło ci się. z Facebookiem. Tam też jesteś. I na MySpace.
- Jesteś pewny?
- Tak, jestem pewny.
- Posłuchaj pana Billy'ego Gatesa. Nagle wie wszystko o internecie — zakpiłem.
- Matka dobrze się czuje! — wrzasnął tata.
- Nie mów mu — jęknęła. — Teraz nie wejdzie na mój blog.
- Mamo, to ważne. Mogę przez chwilę porozmawiać z tatą?
Zgłosił się tata. Pospiesznie wyjaśniłem mu, w czym rzecz, podając jak najmniej szczegółów. Ojciec znów od razu załapał. O nic nie pytał i nie spierał się. Gdy tylko skończyłem wyjaśniać, że ktoś po nich przyjedzie i zawiezie do posiadłości Lockwoodów, komórka zgłosiła oczekujące połączenie. Dzwoniła Teresę.
- Zakończyłem rozmowę z ojcem i przełączyłem telefon.
- Jestem dwie minuty od ciebie — powiedziałem. — Nie wychodź, dopóki nie przyjadę.
Cisza.
- Teresę?
- Zadzwoniła do mnie.
W jej głosie usłyszałem szloch.
- Kto dzwonił?
- Miriam. Właśnie z nią rozmawiałam.

34

Czekała na mnie przy drzwiach.

— Powiedz mi, co się stało.

Drżała. Przywarła do mnie, a ja objąłem ją i zamknąłem oczy. Wiedziałem, że to będzie trudna rozmowa. Teraz już rozumiałem. Pojąłem, dlaczego Rick Collins kazał jej się przygotować. Wiedziałem, dlaczego ostrzegł ją, że po tym, co jej powie, całe jej życie się zmieni.

— Zadzwoił mój telefon i dziewczyna po drugiej stronie powiedziała „mamusiu”.

Próbowałem wyobrazić sobie ten moment, gdy Teresę usłyszała głos swojego dziecka, wiedząc, że kochała je bardziej niż kogokolwiek na świecie i była współwinna jego śmierci.

— Co jeszcze powiedziała?

— Przetrzymują ją jako zakładniczkę.

— Kto?

— Terroryci. Powiedziała, żebym nikomu o tym nie mówiła.

Milczałem.

— Potem wziął od niej telefon jakiś mężczyzna mówiący z cudzoziemskim akcentem.

Powiedział, że jeszcze zadzwoni i poda swoje żądania.

Stałem i trzymałem ją w objęciach.

— Myronie?

Jakoś znaleźliśmy się na kanapie. Patrzyła na mnie z nadzieją i — wiem, jak to zabrzmie — miłością w oczach. Serce mi pękało, gdy wręczałem jej fotografię.

— To jest ta jasnowłosa dziewczyna, którą widziałem w Paryżu — powiedziałem.

Przez długą chwilę w milczeniu przyglądała się zdjęciu.

— Nie rozumiem — powiedziała wreszcie.

Nie wiedziałem, co jej powiedzieć, Zastanawiałem się, czy zauważyła podobieństwo, czy ona też poukładała sobie fragmenty tej łamigłówki.

— Myronie?

— To jest ta dziewczyna, która widziałem — powtórzyłem.

Pokręciła głową.

Znałem odpowiedź, ale i tak musiałem zadać to pytanie.

— O co chodzi?

— To nie jest Miriam.

Spuściła wzrok i otarła oczy.

— Może, nie wiem, może jeśli Miriam przeszła operację plastyczną i minęło tyle lat... Wygląd może się zmienić, prawda? Kiedy ostatnio ją widziałam, miała siedem lat...

Znowu spojrzała mi w twarz, próbując znaleźć w niej jakąś pociechę. Nie znalazła. Zrozumiałem, że nadszedł czas, i rzuciłem się do głębokiej wody:

— Miriam nie żyje.

Krew powoli odpłynęła jej z twarzy. Z pękającym sercem chciałem wziąć ją w ramiona, ale wiedziałem, że to byłby błąd. Próbowala to zrozumieć, myśleć racjonalnie, wiedząc, jakie to ważne.

— A ten telefon...

— Twoje nazwisko padło w trakcie pewnej rozmowy. Domyślam się, że chcą wywabić cię z ukrycia.

Znowu popatrzyła na zdjęcie.

— A więc to wszystko oszustwo?

— Nie.

— Przecież dopiero co powiedziałaś... — Teresę próbowała zrozumieć. Ja starałem się znaleźć najlepszy sposób powiedzenia tego, ale wiedziałem, że go nie ma. Musiałem przekazać jej to tak, jak ja to widzę.

— Cofnijmy się o kilka miesięcy — zacząłem — kiedy Rick odkrył, że ma płasawicę Huntingtona.

Patrzyła na mnie.

— Co zrobiłby najpierw? — zapytałem.

— Kazał zbadać syna.

— Racja.

— I co?

— Tak więc też poszedł CryoHope. Sądziłem, że poszedł tam szukać lekarstwa.

— A nie? — zdziwiła się Teresę.

— Nie - powiedziałem. — Czy znasz doktora Everetta Sloana?

— Nie. Czekaj, widziałam to nazwisko na ulotce. On pracuje dla CryoHope.

— Zgadza się. Ponadto przejął praktykę doktora Aarona Coksa.

Nic nie powiedziała.

— Dopiero co się o tym dowiedziałem — ciągnąłem. — Doktor Cox był twoim ginekologiem, kiedy ty i Rick mieliście Miriam.

Teresę patrzyła na mnie bez słowa.

— Ty i Rick mieliście poważne problemy z płodnością. Mówiłaś mi, jaki mieliście problem z poczęciem, dopóki... no cóż... nie nastąpił ten medyczny cud, aczkolwiek dość powszechny. Zapłodnienie in vitro.

Wciąż nie chciała lub nie mogła nic powiedzieć.

— Z definicji in vitro *oznacza* zapłodnienie pozamaciczne, po którym embrión jest przenoszony do kobiecej macicy. Wspomniłaś, że zażywałaś pergonal, żeby pobudzić jajczkowanie. Stosuje się to niemal w każdym przypadku. I powstają dodatkowe embrióny. Przez ostatnie dwadzieścia lat z hakiem takie embrióny zamrażano. Czasem rozmrażano je, aby wykorzystać w badaniach komórek macierzystych. Niekiedy używano ich, gdy para chciała znowu spróbować. Czasem, gdy jedno z małżonków umarło, drugie chciało wykorzystać embrión, albo ktoś dowiedział się, że ma raka, i chciał mieć dziecko. Znasz takie przypadki. Jest wiele skomplikowanych kwestii prawnych związanych z rozwodem oraz prawami rodzicielskimi i wiele embriónów niszczy się lub przechowuje do czasu, aż rodzice podejmą decyzję. Przełknąłem ślinę, ponieważ teraz musiała już wiedzieć, do czego to zmierza.

— Co się stało z waszymi dodatkowymi embriónami?

— To była nasza czwarta próba — powiedziała Teresę. — Wcześniejsze embrióny obumarły. Nie wyobrażasz sobie, jakie to było przygnębiające. A kiedy w końcu się udało, była to taka cudowna, szczęśliwa niespodzianka... — Zamilkła na moment. — Mieliśmy jeszcze tylko dwa embrióny. Zamierzaliśmy zachować je na wypadek, gdybyśmy znowu chcieli spróbować, ale

potem wyszło to moje zwłóknowacenie i już nigdy nie mogłam zajść w ciążę. Doktor Cox powiedział mi, że embriony nie przetrwały procesu zamrażania.

— Skłamał.

Znowu popatrzyła na zdjęcie jasnowłosej dziewczyny.

— Jest taka organizacja dobroczynna, która nazywa się „Ratuj Aniołki”. Są przeciwni wszelkim formom badań nad embrionalnymi komórkami macierzystymi i niszczeniu zarodków. Przez prawie dwie dekady namawiali do adopcji takich zarodków. To ma sens. Są setki tysięcy zamrożonych embrionów i tyleż par, które mogą dzięki nim począć i obdarzyć je życiem. Kwestie prawne są skomplikowane. W większości stanów adopcja embrionów jest niedozwolona, ponieważ — w pewnym sensie — matka jest zaledwie nosicielką. Fundacja „Ratuj Aniołki” chce, by takie embriony wykorzystywano do zapładniania bezpłodnych kobiet.

Teraz zrozumiała.

— O mój Boże...

— Nie znam wszystkich szczegółów. Domyślam się, że jeden ze stażystów doktora Coksa był gorącym zwolennikiem „Ratuj Aniołki”. Pamiętasz doktora Jimeneza?

Teresę pokręciła głową.

— „Ratuj Aniołki” naciskała na Coksa, gdy zaczął pracować w CryoHope. Nie wiem, czy ustąpił pod naciskiem, czy mu zapłacili, czy może z nimi sympatyzował. W każdym razie wiedział zapewne, że są embriony, które nigdy nie zostaną wykorzystane, więc cóż, czemu nie? Dlaczego miałyby pozostać zamrożone lub ulec zniszczeniu? Tak więc oddał je do adopcji.

— Zatem ta dziewczyna — Teresę nie odrywała oczu od zdjęcia — to moja córka?

— Biologiczna, tak.

Spoglądała na zdjęcie, nie ruszając się.

— Kiedy doktor Sloan przejął praktykę przed kilkoma laty, odkrył, co się stało. Był w trudnej sytuacji. Przez jakiś czas zamierzał po prostu zachować to w tajemnicy, ale czuł, że to nielegalne i nieetyczne. Tak więc zdecydował się na pewien kompromis. Skontaktował się z Rickiem i poprosił o zezwolenie na adopcję embrionów. Nie wiem, co się działo wtedy w umyśle Ricka, ale domyślam się, że kiedy musiał wybierać między zniszczeniem embrionów a daniem im szansy przetrwania, wybrał to drugie.

— Czy nie powinien skontaktować się ze mną?

— Ty już kiedyś wyraziłaś na to zgodę. Rick nie. I nikt nie wiedział, gdzie jesteś. Tak więc Rick podpisał zgodę. Nie wiem, czy to upoważnienie miało moc prawną, czy nie. Jednak tak czy owak było już po fakcie. Doktor Sloan tylko próbował uporządkować bałagan, na wypadek gdyby doszło do jakichś komplikacji. I w tym przypadku tak było. Kiedy Rick odkrył, że jest chory na płasawicę Huntingtona, chciał mieć pewność, że rodzina, która adoptowała embriony, wie o tym dziedzicznym obciążeniu. Dlatego poszedł do Cryo-Hope, Doktor Sloan powiedział mu prawdę; że embriony zostały dawno temu adoptowane za pośrednictwem fundacji „Ratuj Aniołki”. Nie wiedział, kim są przybrani rodzice, więc powiedział Rickowi, że powinien poszukać tej informacji w fundacji. Domyślam się, że Rick nie chciał czekać.

— Myślisz, że włamał się do ich biura?

— Na to wygląda.

Teresę wreszcie oderwała wzrok od fotografii.

— Gdzie ona jest teraz?

— Nie wiem.

— To moja córka.

— Biologiczna.

Coś przyszło jej do głowy.

— Nie wciskaj mi tego kitu. Dowiedziałeś się o Jeremym, kiedy miał czternaście lat. Mimo to uważasz go za swojego syna.

Chciałem powiedzieć, że moja sytuacja była inna, ale Teresę miała rację. Jeremy był moim biologicznym synem, ale nie wiedział, że jestem jego ojcem. Dowiedziałem się o tym za późno, żeby mieć udział w jego wychowywaniu ale teraz jestem częścią jego życia. Czy sytuacja Teresę jest inna?

— Jak ma na imię? — pytała. — Kto ją wychował? Gdzie mieszka?

— Może na imię ma Carrie, ale nie jestem tego pewien. Nic więcej nie wiem.

Położyła fotografię na kolanach.

— Musimy powiedzieć o tym Jonesowi — nalegałem.

— Nie.

— Jeśli twoja córka została porwana...

— Nie wierzysz w to, prawda?

— Nie wiem.

— Daj spokój, bądź ze mną szczery. Uważasz, że jest współniczką tych potworów, jedną z tych dziewcząt, o których mówił Jones, mających problemy w relacjach z ojcami.

— Nie wiem. Jednak jeśli jest niewinna...

— Jest niewinna tak czy owak. Nie może mieć więcej niż siedemnaście lat. Jeżeli została w to wplątana, ponieważ była młoda i łatwo ulegała wpływom, Jones i jego kumple z Bezpieczeństwa Narodowego tego nie rozumieją. Jej życie będzie skończone. Sam wiesz, co robili z tobą.

Nic nie powiedziałem.

— Nie wiem, dlaczego z nimi jest — ciągnęła Teresę. — Może to syndrom sztokholmski? Może miała okropnych rodziców albo jest zbuntowaną nastolatką... Do diabła, ja taka byłam. Nieważne. To tylko dziecko. I jest moją córką, Myronie. Rozumiesz? To nie Miriam, ale to moja druga szansa. Nie mogę odwrócić się do niej plecami. Proszę.

Nadal milczałem.

— Mogę jej pomóc. To jak... jakby tak miało być. Rick zginął, próbując ją ocalić. Teraz moja kolej. Dzwoniący kazał nie mówić nikomu poza tobą. Proszę, Myronie. Błagam cię. Proszę, pomóż mi uratować moją córkę.

35

Stojąc obok Teresę, oddzwoniłem do Berleanda.

— Jones sugerował, że skłamałeś lub w jakiś sposób sfabrykowałeś wynik badania DNA — powiedziałem.

— Wiem.

— Ach tak?

— Chciał, żebyś zostawi tę sprawę. Ja również. Dlatego nie odpowiedziałem na twój telefon.

— Jednak dzwoniłeś wcześniej.

— Żeby cię ostrzec. To wszystko. Powinieneś trzymać od tego z daleka.

— Nie mogę.

Berleand westchnął. Pomyślałem o naszym pierwszym spotkaniu na lotnisku, o jego rzadziejących włosach, okularach w przydużych oprawkach, o tym, jak zabrał mnie na dach budynku przy 36 quai des Orfevres i o tym, jak bardzo go lubię.

— Myronie?

— Tak?

— Wcześniej powiedziałaś, że wiesz, iż nie skłamałem co do wyniku badania DNA.

— Zgadza się.

— Czy wydedukowałaś to z mojej budzącej zaufanie twarzy i niemal nadludzkiej charyzmy?

— Odpowiedź brzmi „nie”.

— Zatem proszę, oświeć mnie.

Spojrzałem na Teresę.

— Musisz mi coś obiecać.

— Oho.

— Mam informację, która jest dla ciebie wartościowa. Ty zapewne masz informację, która jest wartościowa dla mnie.

— I chciałbyś dokonać wymiany.

— Na początek.

— Na początek — powtórzył. — Zanim się zgodzę, może z grubsza powiesz, o co chodzi.

— Połączymy siły. Zajmiemy się tym razem. Bez Jonesa i jego ludzi.

— A co z moimi kontaktami z Mossadem?

— Tylko my.

— Rozumiem. Och, zaczekaj, nie, nie rozumiem. Teresę przysunęła się bliżej i słuchała, co mówił Barleand.

— Jeśli ten spisek Matara nadal trwa — powiedziałem — chcę, żebyśmy położyli mu kres. Nie oni. My.

— Ponieważ?

— Ponieważ nie chcę, żeby ta jasnowłosa dziewczyna była w to zamieszana.

Zapadła cisza.

— Jones mówił ci, że kazał zbadać próbkę kości pobraną z grobu Miriam Coliins — odezwał się wreszcie Berleand.

- Tak.
- I że to kości Miriam Coliins.
- Wiem.
- No to wybacz, ale nic nie rozumiem. Dlaczego miałbyś chronić tę prawdopodobnie fanatyczną terrorystkę?
- Nie mogę ci powiedzieć, dopóki nie zgodzisz się współpracować.
- I trzymać Jonesa z daleka?
- Tak.
- Ponieważ chcesz chronić tę blondynkę, która prawdopodobnie jest współwinna zamordowania Karen Tower i Maria Contuzziiego?
- Jak sam powiedziałaś, prawdopodobnie.
- Od tego mamy sądy.
- Nie chcę, żeby przed nim stanęła. Zrozumiesz dlaczego, kiedy powiem ci, co wiem.
Berleand znowu zamilkł.
- Umowa stoi? — zapytałem.
- Do pewnego stopnia.
- Czyli?
- Czyli, że znowu nie patrzysz szerzej. Martwisz się o jedną osobę. Rozumiem to. Zakładam, że powiesz mi, dlaczego w tym momencie ona jest dla ciebie taka ważna. Jednak to, z czym mamy do czynienia, może zagrażać życiu tysięcy. Ojców, matek, synów i córek. Podśluchana rozmowa sugeruje, że szykuje się coś dużego, nie jeden atak, lecz cała ich seria, przeprowadzona w ciągu kilku miesięcy. Naprawdę nie przejmowałbym się jedną dziewczyną, jeśli mogą zginąć tysiące.
- Cóż więc dokładnie obiecujesz?
- Nie pozwoliłeś mi skończyć. To, że nie obchodzi mnie ta dziewczyna, należy rozumieć dwójako. Nie obchodzi mnie, czy zostanie złapana, i nie obchodzi mnie, jeśli uniknie oskarżenia. Tak więc, owszem, jestem z tobą. Spróbujmy rozwiązać to sami. Właściwie i tak próbowałem to zrobić. Jeżeli jednak tamci będą mieli przewagę liczebną lub ogniową, zastrzegam sobie prawo do wezwania Jonesa. Dotrzymam słowa i pomogę ci ochronić tę dziewczynę, jednak priorytetem jest powstrzymanie dżihadystów przed realizacją ich planu. Jedno życie nie jest warte tysięcy.
Zastanowiłem się.
- Czy masz dzieci, Berleand?
- Nie. Tylko proszę, nie zagrywaj tą kartą ojcowskiego przywiązania. To mnie obraża. — I zaraz dodał: — Czekaj, chcesz mi powiedzieć, że ta jasnowłosa dziewczyna jest córką Teresę Collins?
- W pewnym sensie.
- Wyjaśnij to.
- Umowa stoi? — naciskałem.
- Tak. Z podanymi przeze mnie zastrzeżeniami. Powiedz, co wiesz.
Opowiedziałem mu o moich wizytach w „Ratuj Aniołki”, o zakładzie fotograficznym Albina Laramiego, o odkryciu adopcji embrionów i telefonie, który dopiero co odebrała Teresę. Przerwał mi, kilkakrotnie zadając pytania. Odpowiedziałem na nie najlepiej jak umiałem. Kiedy kończyłem, wpadł mi w słowo:
- Najpierw musimy zidentyfikować tę dziewczynę. Zrobimy odbitki jej fotografii. Prześlę jedną pocztą elektroniczną Lefebvre'owi, Jeśli to Amerykanka, może była w Paryżu w ramach jakiegoś programu wymiany. On może popytać.

- W porządku — powiedziałem.
- Mówiłeś, że zadzwoniła na komórkę Teresę?
- Tak.
- Zakładam, że numer dzwoniącego był zastrzeżony? Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby o to zapytać.
Spojrzałem na Teresę. Kiwnęła głową.
- Tak.
- Która to była godzina?
Popatrzyłem na Teresę. Sprawdziła i podała mi czas.
- Oddzwonię za kilka minut — powiedział Berleand. Rozłączył się.
Wszedł Win.
- Wszystko dobrze? — zapytał.
- Super.
- Twoi rodzice są pod dobrą opieką. Tak samo Esperanza i biuro.
Skinąłem głową. Znów zadzwonił telefon. Berleand.
- Może coś mam — powiedział.
- Mów.
- Do Teresę dzwoniło z taniego aparatu kupionego za gotówkę w Danbury w Connecticut.
- To bardzo duże miasto.
- No, to może trochęje zmniejszymy. Mówiłem ci, że przechwyciliśmy rozmowę prawdopodobnie z członkami komórki w Paterson w New Jersey.
- No tak.
- Większość przychodzących i wychodzących połączeń to rozmowy z zagranicą, ale widzieliśmy także trochę krajowych. Wiesz, że elementy przestępcze często kontaktują się za pośrednictwem poczty elektronicznej?
- To chyba ma sens.
- Ponieważ jest anonimowa. Zakładają konto u darmowego dostawcy i wykorzystują je do tego. Natomiast wielu ludzi nie wie, że możemy ustalić, gdzie takie konto e-mailowe zostało założone. Zwykle niewiele to pomaga. Najczęściej jest tworzone na powszechnie dostępnym komputerze, w bibliotece lub kawiarence internetowej lub podobnym miejscu.
- A w tym przypadku?
- W rozmowie korzystano z adresu pocztowego stworzonego osiem miesięcy temu w Bibliotece Marka Twaina w Redding w stanie Connecticut, niecałe dziesięć mil od Danbury.
Zastanowiłem się.
- To powiązanie.
- Tak. Co więcej, z tej biblioteki korzystają uczniowie miejscowej uczelni koedukacyjnej, Akademii Carvera. Może dopisze nam szczęście. Twoja „Carrie” może być jedną z tamtejszych studentek.
- Sprawdzisz to?
- Już próbują. Redding jest zaledwie półtorej godziny jazdy stąd. Moglibyśmy tam pojechać i pokazać ludziom fotografię.
- Chcesz, żebym prowadził?
 - Myślę, że tak będzie najlepiej — rzekł Berleand.

36

Nie było to łatwe, ale zdołałem namówić Teresę, żeby została u Wina na wypadek, gdybyśmy potrzebowali czegoś w mieście. Obiecałem jej, że zadzwonimy, gdy tylko zdobędziemy jakieś informacje. Niechętnie, ale się zgodziła. Nie było sensu, żebyśmy jechali tam we troje. Win też miał zostać, głównie po to, by chronić Teresę, ale we dwoje mogli zająć się badaniem innych ewentualności. Kluczem zapewne była fundacja „Ratuj Aniołki”. Gdybyśmy zlokalizowali ich rejestry, moglibyśmy poznać nazwisko oraz adres Carrie, wytropić jej przybranych, zastępczych czy jak ich tam zwać rodziców, i być może dzięki temu ją odnaleźć.

— Byłeś kiedyś żonaty? — zapytał mnie Berleand, kiedy jechaliśmy,

— Nie. A ty?

Uśmiechnął się.

— Cztery razy.

— O.

— Wszystkie cztery małżeństwa skończyły się rozwodem. Żadnego nie żałuję.

— Twoje były żony też?

— Wątpię. Jednak teraz jesteśmy przyjaciółmi. Nie umiem zatrzymywać przy sobie kobiet, tylko je zdobywać.

Uśmiechnąłem się.

— Nie spodziewałbym się tego po tobie.

— Ponieważ nie jestem przystojny?

Wzruszyłem ramionami.

— Przecenia się znaczenie wyglądu — rzekł. — Wiesz, co takiego mam?

— Nie mów. Ogromne poczucie humoru, tak? Według tego, co piszą w kobiecych czasopismach, poczucie humoru to najważniejsza zaleta u mężczyzny.

— Tak, oczywiście, a czek przyjdzie pocztą — mruknął Berleand.

— A więc to nie to.

— Jestem bardzo zabawnym facetem — zapewnił. — Ale to nie to.

— A więc co?

— Już ci mówiłem.

— Powiedz jeszcze raz.

— Charyzma — rzekł Berleand. — Mam niemal nadludzką charyzmę.

Uśmiechnąłem się.

— Z tym trudno się spierać.

Redding było bardziej prowincjonalne, niż się spodziewałem — senne, bezpretensjonalne miasteczko o architekturze typowej dla purytańskiej Nowej Anglii. Postmodernistyczne nowoczesne rezydencje, przydrożne antykwariaty, starzejące się ziemie uprawne. Nad zielonymi drzwiami skromnej biblioteki wisiała tabliczka z napisem:

a poniżej nieco mniejszymi literami:

DAR SAMUELA L. CLEMENSA

Uznałem to za dziwne, ale nie miałem czasu dociekać powodu. Skierowaliśmy się do biurka bibliotekarki.

Ponieważ Berleand miał odznakę, pozwoliłem mu pokierować rozmową, chociaż był daleko od swojego obwodu.

— Cześć — powiedział do bibliotekarki.

Tabliczka na biurku głosiła, że jest to Paige Wesson.

Spojrzała na niego szmaragdowymi oczami, jakby Berleand zwracał z opóźnieniem książkę z niezręczną wymówką, którą słyszała już milion razy.

— Szukamy tej zaginionej dziewczyny. Widziała ją pani? W jednej ręce trzymał odznakę, a w drugiej zdjęcie.

Bibliotekarka najpierw spojrzała na odznakę.

— Jest pan z Paryża — stwierdziła.

— Tak.

— Czy to wygląda na Paryż?

— W żadnym razie — przyznał Berleand. — Jednak ta sprawa ma międzynarodowe implikacje. Tę dziewczynę po raz ostatni widziano na obszarze mojej jurysdykcji. Uważamy, że mogła korzystać z komputerów w tej bibliotece.

Bibliotekarka wzięła zdjęcie.

— Nie sądzę, żebym ją widziała.

— Jest pani pewna?

— Nie, nie jestem pewna. Proszę się rozejrzeć. — Zrobiliśmy to. Prawie przy każdym stole siedziały nastolatki. — Codziennie przychodzi tu mnóstwo dzieciaków. Wcale nie twierdzę, że nigdy tu nie była, po prostu mówię, że jej nie znam.

— Czy mogłaby pani sprawdzić w swoim komputerze, czy ma pani zarejestrowaną kartę osoby, mającej na imię Carrie?

— Macie nakaz sądowy? — zapytała Paige.

— A moglibyśmy zobaczyć rejestry logowań sprzed ośmiu miesięcy?

— To samo pytanie.

Berleand się uśmiechnął.

— Miłego dnia.

— Panom również.

Odeszliśmy od biurka Paige Wesson i ruszyliśmy do drzwi. Zadzwoniał mój telefon. Esperanza.

— Udało mi się dotrzeć do kogoś z Akademii Carvera — powiedziała. — Nie mają żadnej studentki o imieniu Carrie.

— Kicha — prychnąłem, rozłączyłem się i przekazałem wiadomość Berleandowi.

— Masz jakieś propozycje? — zapytał.

— Rozdzielmy się i pokażmy zdjęcie tutejszym studentom — zaproponowałem.

Rozejrzałem się po sali i w kącie zobaczyłem stolik, przy którym siedzieli trzej nastoletni chłopcy. Dwaj nosili uczelniane kurtki, takie z imieniem wyszytym z przodu i rękawami ze sztucznej skóry, niemal takie same, jakie nosiłem, chodząc do liceum w Livingston. Trzeci wyglądał jak typowy uczeń prywatnej szkoły — mocno zarysowana szczęka, wyraziste rysy twarzy, koszulka polo, drogie spodnie khaki. Postanowiłem zacząć od nich.

Pokazałem im zdjęcie.

— Znacie ją?

Głos zabrał elegancik:

— Chyba ma na imię Carrie.

Złota żyła.

— Znacie jej nazwisko?

Wszyscy trzej pokręcili głowami.

— Chodzi do waszej szkoły?

— Nie — rzekł Elegancik. — Chyba jest z miasta. Widujemy ją tutaj.

Pierwsza Kurtka powiedział:

— Gorący towar.

Elegancik o męskiej szczęce pokiwał głową.

— I ma niesamowity tyłek.

Zmarszczyłem czoło. No proszę, Win w miniaturze, pomyślałem.

Berleand spojrział na mnie. Dałem mu znak, że chyba coś mam. Dołączył do nas.

— Wiecie, gdzie mieszka? — zapytałem.

— Nie, ale Kenbo ją miał.

— Kto?

— Ken Borman. Miał ją.

— Miał ją? — zdziwił się Berleand. Popatrzyłem na niego.

— Och — powiedział. — Miał ją.

— Gdzie możemy znaleźć Kenba? — zapytałem.

— Jest w szkolnej siłowni.

Powiedzieli nam, jak dojść, i poszliśmy.

37

Spodziewałem się, że Kenbo będzie większy.

Kiedy słyszysz taką ksywkę, jak Kenbo, dowiadujesz się, że miał gorącą blondynkę i jest w siłowni, oczami duszy widzisz muskularnego przystojniaka. Nie w tym przypadku. Kenbo miał włosy tak ciemne i proste, że chyba musiał je farbować i ondulować. Zastaniały mu jedno oko niczym gruba czarna kurtyna. Cerę miał bladą, ręce jak patyki, a paznokcie pomalowane na czarno. Za moich czasów nazywaliśmy takich gothami.

Kiedy pokazałem mu fotografię, zobaczyłem, jak jego oko — tylko jedno, ponieważ drugie było zasłonięte przez włosy — rozszerzyło się. Spojrzał na nas i na jego twarzy ujrzałem strach.

— Znasz ją — powiedziałem.

Kenbo wstał, cofnął się kilka kroków, odwrócił się i zaczął uciekać. Spojrzałem na Berleanda.

— Chyba nie spodziewasz się, że będę go gonił, co? — mruknął.

Pobiegłem za nim. Kenbo był już na dworze i pędził przez dość rozległy teren kampusu Akademii Carvera. Rana postrzałowa bolała mnie, ale nie aż tak, żeby mnie spowolnić. Wokół było niewielu uczniów i żadnych nauczycieli, ale z pewnością ktoś niebawem wezwie policję. To nie byłoby przyjemne.

— Zaczekaj! — krzyknąłem.

Nie posłuchał. Skręcił w lewo i znikł za budynkiem z cegły. Nosił modne za luźne spodnie i to mi pomogło. Wciąż musiał je podciągać. Biegłem za nim, zmniejszając dystans. Zakłuło mnie w kolanie — pamiątka po dawnej kontuzji — gdy przeskakiwałem przez płot z siatki. Przebiegł przez boisko ze sztuczną murawą. Nie fatygowałem się i nie wołałem go. Marnowałbym tylko siły i czas. Kierował się ku obrzeżom miasteczka, dalej od świadków, co uznałem za korzystne.

Kiedy dotarł na otwartą przestrzeń blisko skraju lasu, rzuciłem się na niego, złapałem za nogi w sposób, który wzbudziłby zazdrość obrońcy NFL, i przewróciłem na ziemię. Upadł z większym impetem, niż planowałem, i przetoczył się na bok, usiłując się wyrwać.

— Nie zrobię ci krzywdy! — krzyknąłem.

— Zostaw mnie w spokoju!

Usiadłem na jego klatce piersiowej i przytrzymałem mu ręce, jakbym był jego starszym bratem.

— Uspokój się.

— Złaż ze mnie!

— Ja tylko próbuję *znaleźć* tę dziewczynę.

— Ja nic nie wiem.

- Ken...
- Złaż ze mnie!
- Obiecujesz, że nie uciekniesz?
- Zejdź. Proszę!
Przytrzymałem bezradnego, wystraszonego dzieciaka z liceum. Co zrobię dla rozrywki? Będę topił kocięta? Puściłem go.
- Próbuję pomóc tej dziewczynie — powiedziałem. Usiadł.
Po jego twarzy spływały łzy. Otarł je i ukrył twarz w zgięciu łokcia.
- Ken?
- Co?
- Ta dziewczyna zaginęła i zapewne jest w poważnym niebezpieczeństwie — wyjaśniłem.
Popatrzył na mnie.
- Próbuję ją znaleźć.
- Nie znasz jej?
Pokręciłem głową. W polu widzenia wreszcie pojawił się Berleand.
- Jesteście z policji?
- On jest. Ja zajmuję się tym z powodów osobistych.
- Jakiego?
- Chcę pomóc... - - Nie wiedziałem, jak inaczej to wyjaśnić. — Chcę pomóc jej biologicznej matce ją odnaleźć. Carrie zaginęła i może mieć poważne kłopoty.
- Nie rozumiem. Dlaczego przyszście do mnie?
- Twój kolega mówił, że z nią chodziłeś.
Znow spuścił głowę.
- Prawdę mówiąc, powiedzieli, że nie tylko chodziłeś.
Wzruszył ramionami.
- I co?
- To, że chyba znasz jej nazwisko?
- Wy go nie znacie?
- Ona ma kłopoty, Ken.
Berleand dobiegł do nas. Sapał ciężko. Sięgnął do kieszeni. Myślałem, że po długopis, ale on wyjął papierosa. Taak, to powinno pomóc.
- Carrie Steward — powiedział Ken. Spojrzałem na Berleanda. Kiwnął głową i sapnął.
- Zadzwoń — zdołał wykrztusić.
Wyjął telefon i zaczął krążyć, trzymając go przed sobą, szukając zasięgu.
- Nie rozumiem, dlaczego uciekałeś — powiedziałem.
- Bo kłamałem — odparł. — Moim kolegom, no nie? Wcale z nią nie spałem. Tylko tak mówiłem.
Czekałem.
- Tak naprawdę poznaliśmy się w bibliotece. To znaczy, była taka piękna, wie pan. Zawsze towarzyszyły jej jeszcze dwie inne blondynki i wszystkie wyglądały jak z *Dzieci kukurydzy*. Niesamowicie. Obserwowałem ją przez trzy dni, a kiedy w końcu wyszła sama, podszedłem i powiedziałem „cześć”. Najpierw zupełnie mnie zignorowała. No, wie pan, dziewczyny nieraz mnie olewały, ale ta była jak z lodu. Jednak pomyślałem sobie, co mam do stracenia? Dlatego nawijałem dalej i miałem przy sobie iPod, więc zapytałem ją, jaką lubi muzykę, a ona na to, że nie lubi muzyki. Nie mogłem w to uwierzyć, więc puściłem jej kawałek Blue October. Zobaczyłem, że trochę odtajała. Siła muzyki, no nie?

Zamilkł. Popatrzyłem. Berleand rozmawiał przez telefon. Wysłał SMS-em nazwisko „Carrie Steward” do Esperanzy i Teresę. Niech one też złączą szperać. Nadal spodziewałem się, że zaraz podejdzie do nas ktoś ze szkoły, ale na razie nikt się nie pojawił. Obaj siedzieliśmy na trawie, twarzami do miasteczka. Słońce zaczęło zachodzić, malując niebo na kolor przypalonej pomarańczy.

— Co się stało? — zapytałem.

— Zaczęliśmy rozmawiać. Powiedziała mi, że ma na imię Carrie. Chciała posłuchać innych piosenek. Jednak wciąż się rozglądała, jakby się bała, że jej przyjaciółki zobaczą, że ze mną rozmawia. Czułem się jak frajer, ale może tak jest, kiedy dziewczyna z miasteczka rozmawia z chłopakiem ze szkoły, nie wiem. W każdym razie tak myślałem. Z początku. Potem spotkaliśmy się jeszcze kilka razy. Przychodziła z przyjaciółkami do biblioteki, a potem wymykaliśmy się za budynek, żeby pogadać i posłuchać muzyki. Któregoś dnia powiedziałem jej o koncercie w Norwalk. Zapytałem, czy chce pójść. Zbladła jak kreda. Wyglądała na przestraszoną. Powiedziałem, że jak nie, to nie ma sprawy, a Carrie na to, że może moglibyśmy spróbować. Powiedziałem, że zabiorę ją z domu. Przeraziła się. No, wie pan, naprawdę się przeraziła.

Robiło się chłodno. Berleand skończył rozmawiać przez telefon. Obejrzał się na mnie, zobaczył nasze miny i zrozumiał, że lepiej trzymać się z daleka.

— Co było potem?

— Kazała mi zaparkować na końcu Duck Run Road. Powiedziała, że tam się spotkamy o dziewiątej. Zaparkowałem tam kilka minut przed dziewiątą. Było ciemno. Siedziałem i czekałem. Na ulicy nie paliły się światła. Wciąż czekałem. Było już piętnaście po dziewiątej. Usłyszałem jakiś dźwięk, a potem nagle ktoś otworzył drzwi mojego samochodu i mnie wyciągnął.

Ken zamilkł. Znów zobaczyłem łzy na jego policzkach. Otarł je.

— Ktoś uderzył mnie w usta. Wybił mi dwa zęby. — Pokazał. — Wywlekli mnie z samochodu. Nie wiem, ilu ich było. Czterech, może pięciu. Kopali mnie. Ja tylko się osłaniałem, no, wie pan, zastaniałem rękami głowę i myślałem, że mnie zabiją. Potem obrócili mnie na plecy. I przytrzymali. Nadal nie widziałem ich twarzy, i wcale nie chciałem widzieć. Jeden z nich przyłożył mi nóż do szyi. Powiedział: „Ona nie chce, żebyś z nią rozmawiał. Jeśli komuś o tym powiesz, zabijemy twoją rodzinę”.

Siedzieliśmy tam przez chwilę i nic nie mówiliśmy. Spojrzałem na Berleanda. Pokręcił głową. Nic o Carrie Steward.

— To wszystko — powiedział Ken. — Więcej jej nie widziałem. Ani tych dwóch dziewczyn, z którymi przychodziła. Jakby znikły.

— Mówiłeś o tym komuś?

Pokręcił głową.

— Jak wytłumaczyłeś swoje obrażenia?

— Powiedziałem, że napadnięto mnie po koncercie. Nie powie pan nikomu, dobrze?

— Nikomu nie powiem — obiecałem. — Jednak musimy ją znaleźć, Ken. Czy nie domyślasz się, gdzie ona może być?

Nie odpowiedział.

— Ken?

— Pytałem ją, gdzie mieszka. Nie chciała mi powiedzieć.

Czekałem.

— Jednak pewnego dnia... — Urwał i nabrał tchu. — Poszedłem za nią, kiedy wyszła z biblioteki.

Ken odwrócił głowę i zamrugał.

— Więc wiesz, gdzie ona mieszka?

Wzruszył ramionami.

— Może. Nie wiem. Nie sędzę.

— A możesz mi pokazać, dokąd wtedy poszła? Pokręcił głową.

- Mogę wam powiedzieć, ale nie chcę tam z wami iść, w porządku? Teraz chcę tylko iść do domu.

38

Na łańcuchu zagrządzającym drogę wisiała tablica z napisem „Droga prywatna”.

Pojechaliśmy kawałek dalej i zaparkowaliśmy za rogiem. W polu widzenia nie było nic prócz pól uprawnych i lasów. Dotychczas nasze źródła nie dostarczyły żadnych informacji o Carrie Steward. To nazwisko mogło być pseudonimem, lecz mimo to poszukiwania trwały. Zadzwoiła do mnie Esperanza.

— Mam coś, co może cię zainteresować — oznajmiła.

— Mów.

— Wspomniałeś o doktorze Jimenezie, młodym rezydencie, który pracował z doktorem Coksem, gdy ten tworzył CryoHope?

— Zgadza się.

— Jitnenez jest także powiązany z „Ratuj Aniołki”. Pracował w ich przytułku, który sponsorowali przed szesnastoma laty. Zamierzam go sprawdzić i zobaczyć, czy dostarczy nam jakieś informacje o adopcji embrionów.

— W porządku, zrób to.

— Carrie to skrót od czego?

— Nie wiem. Może Caroline?

— Sprawdzę i znów zadzwonię, kiedy czegoś się dowiem.

— Jeszcze jedno. — Podałem jej nazwy ulic najbliższego skrzyżowania. — Możesz wprowadzić ten adres do Google'a i zobaczyć, co pokaże?

— Nie pojawiają się żadne informacje o tym, kto mieszka pod tym adresem. Wygląda na to, że to teren rolniczy lub coś takiego. Nie mam pojęcia, kto jest właścicielem. Mam to sprawdzić?

— Proszę.

— Oddzwonię najszybciej, jak będę mogła.

Rozłączyłem się.

— Popatrz na to — rzekł Berleand. Pokazał mi jedno z pobliskich drzew. Zobaczyłem kamerą skierowaną na wylot drogi.

— Dobrze chroniony teren, jak na farmę — zauważył.

— Ken mówił nam o tej prywatnej drodze. Powiedział, że Carrie nią poszła.

— Jeśli to zrobimy, prawie na pewno zostaniemy zauważeni.

— Jeżeli ta kamera jest włączona. Może to tylko atrapa?

— Nie — odparł Berleand. — Atrapa byłaby umieszczona w bardziej widocznym miejscu.

Miał rację.

— Mimo to możemy po prostu przejść się tą drogą — powiedziałem.

— To byłoby wtargnięcie.

— Wielkie rzeczy. Musimy coś zrobić, no nie? Na końcu tej drogi musi być farma lub coś takiego — Nagle coś mi się przypomniało. — Zaczekaj chwilkę. Znowu zadzwoniłem do Esperanzy.

— Siedzisz przy komputerze, prawda?

- Prawda —odparła.

- *Znajdź* w Google'u mapę tego miejsca, które ci podałem.

Szybki stukot klawiszy.

— W porządku, mam.

— Teraz wywołaj opcję „zdjęcie satelitarne” i powiększ.

— Poczekaj... w porządku, jest.

— Co jest na końcu tej małej bocznej drogi?

— Mnóstwo zieleni i coś, co wygląda z góry jak piękny duży budynek. Może dwieście jardów od miejsca, gdzie jesteście teraz, nie dalej.

— Dzięki.

Rozłączyłem się.

— Tam jest jakiś duży dom.

Berleand zdjął okulary, przetarł je, obejrzał pod światło i wyczyścił jeszcze raz.

— Jak myślisz, co się tam dzieje?

— Chcesz usłyszeć prawdę?

— Chciałbym.

— Nie mam pojęcia.

— Sądzisz, że Carrie Steward jest w tym domu? — zapytał.

— Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć — odparłem.

• • •

Ze względu na zagrażający drogę łańcuch, postanowiliśmy pójść pieszo. Zadzwoniłem do Wina i zreferowałem mu wszystko na wypadek, gdyby coś poszło bardzo źle. Postanowił przyjechać, gdy tylko jeszcze raz sprawdzi, czy Teresę jest bezpieczna. Ja z Berleandem po krótkiej naradzie postanowiliśmy spróbować podejść do drzwi i zadzwonić.

Jeszcze było jasno, lecz dzień dogorywał. Przeszliśmy przez łańcuch i ruszyliśmy środkiem drogi, mijając kamerę. Po obu stronach rosły drzewa. Wyglądało na to, że na przynajmniej co drugim z nich przybito tablicę z napisem „Wstęp wzbroniony”. Droga nie była brukowana, ale wydawało się, że jest w bardzo dobrym stanie. W kilku miejscach wysypano ją żwirem, lecz większa jej część nie była utwardzona. Berleand krzywił się, idąc jak na szpilkach. Wciąż ocierał dłonie o nogawki spodni i oblizywał wargi.

— Nie lubię tego —prychnął,

— Czego nie lubisz?

— Ziemi, lasów, owadów. Wszystko to jest takie brudne.

— Pewnie — mruknąłem. — A ten klub striptizowy był czysty.

— Hej, to był pierwszorzędny klub dla dżentelmenów. Nie czytałeś szyldu?

Przed nami zobaczyłem rząd krzaków, a za nim, w oddali, zarys szaroniebieskiego mansardowego dachu.

Coś zaczęło mi świtać. Przyspieszyłem kroku.

— Myronie?

Za nami usłyszałem szcęk opadającego łańcucha i warkot samochodu. Ruszyłem jeszcze szybciej, chcąc dobrze się przyjrzeć. Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem podjeżdżający samochód policji okręgowej. Berleand przystanął. Ja nie.

— Proszę pana? Wtargnął pan na prywatny teren.

Minąłem zakręt. Było tam ogrodzenie otaczające posiadłość. Kolejne zabezpieczenie. Teraz jednak, z tego miejsca, dobrze widziałem budynek.

— Proszę się zatrzymać. Dalej pan nie pójdzie.

Zatrzymałem się. Popatrzyłem na rezydencję. Potwierdziło się to, co podejrzewałem od chwili, gdy ujrzałem mansardowy dach. Budynek wyglądał jak pensjonat — malowniczy, niemal przesadnie wiktoriański dom, z basztami, wieżyczkami, witrażowymi oknami, rozległym gankiem i tak, niebieskoszarym mansardowym dachem.

Widziałem ten dom na stronie internetowej „Ratuj Aniołki”.

Był to jeden z dwóch przytułków dla niezamężnych matek.



Z radiowozu wysiedli dwaj policjanci.

Byli młodzi, napakowani i mieli zawadiacki chód. A także kapelusze z szerokim rondem. Pomyślałem, że te kapelusze głupio wyglądają i zapewne nie pomagają im w pracy, ale zatrzymałem to dla siebie.

— Czy możemy coś dla panów zrobić? — zapytał jeden z nich.

Był wyższy od kolegi i rękawy koszuli opinały rnu bicepsy jak opaski uciskowe. Jego identyfikator głosił: „Taylor”.

Berleand wyjął fotografię.

— Szukamy tej dziewczyny.

Policjant wziął zdjęcie, zerknął na nie i podał swojemu partnerowi, którego plakietka identyfikowała jako „Ericksona”.

— A panowie jesteście... — zapytał Taylor.

— Kapitan Berleand z Brygady Kryminalnej w Paryżu.

Berleand wręczył Taylorowi swoją odznakę i legitymację. Taylor wziął je w dwa palce, jakby Berleand dał mu papierową torebkę ze świeżą psią kupą. Przez moment oglądał legitymację, a potem ruchem brody wskazał na mnie.

— A kim jest pański przyjaciel?

Pomachałem mu.

— Myron Bolitar — przedstawiłem się. — Miło mi poznać.

— Jaka jest pana rola, panie Bolitar?

Już miałem powiedzieć, że to długa historia, ale pomyślałem, że może to wcale nie jest takie skomplikowane.

— Dziewczyna, której szukamy, może być córką mojej przyjaciółki.

— Może być? — Taylor odwrócił się do Berleanda. — No dobrze, inspektorze Clouseau, zechce mi pan wyjaśnić, co tu robicie?

— Inspektorze Clouseau — powtórzył Berleand. — Bardzo zabawne. Ponieważ jestem Francuzem, tak?

Taylor tylko na niego popatrzył.

- Pracuję nad sprawą związaną z międzynarodowym terroryzmem — powiedział Berleand.
- Naprawdę?
- Tak. Nazwisko tej dziewczyny właśnie wypłynęło. Uważamy, że ona tu mieszka.
- Macie nakaz?
- Czas odgrywa decydującą rolę.
- Uznam to za zaprzeczenie — westchnął Taylor, zerkając na swojego partnera. Erickson żuł gumę i się nie odzywał. Taylor spojrzał na mnie.
- To prawda, panie Bolitar?
- Owszem.
- A zatem przypuszczalna córka pańskiej przyjaciółki jest zamieszana w śledztwo dotyczące międzynarodowego terroryzmu?
- Tak.

Podrapał się po gładkim jak pupa niemowlaka policzku. Próbowałem odgadnąć ich wiek. Zapewne tuż po dwudziestce, chociaż wyglądali jak licealiści. Kiedy policjanci zaczęli wyglądać tak cholernie młodo?

- Wiecie co to za miejsce? — zapytał Taylor. Berleand chciał zaprzeczyć, ale go uprzedziłem.
- To dom dla niezamężnych matek.
- Taylor wycelował we mnie palec i skinął głową.
- To poufna informacja.
- Wiem — odparłem.
- Jednak ma pan rację. Rozumiecie więc, że mogą być przewrażliwieni na punkcie dyskrecji?
- Rozumiemy — zapewniłem.
- Jeśli w takim miejscu nie można znaleźć spokoju, to gdzie? Przybywają tutaj, żeby uniknąć wścibskich oczu.
- Wiem.
- I jest pan pewny, że córka pańskiej przyjaciółki nie znalazła się tutaj po prostu dlatego, że jest w ciąży?

Kiedy się nad tym zastanowiłem, uznałem, że to dobre pytanie.

- To nieistotne. Kapitan Berleand może to wyjaśnić. Chodzi o spisek terrorystyczny. Czy ona jest w ciąży, czy nie, to nie ma znaczenia.
- Ludzie, którzy prowadzą to miejsce, nigdy nie sprawiali żadnych kłopotów.
- Rozumiem.
- Ponadto to nadal są Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Jeśli nie chcą pana na swojej ziemi, nie ma pan prawa tu być bez nakazu.
- To również rozumiem — odparłem. I spoglądając na rezydencję, zapytałem: — Czy to oni was wezwali?

Taylor zmrużył oczy i spodziewałem się, że powie mi, że to nie mój interes. Zamiast tego spojrzał na dom i rzekł:

- To dziwne, ale nie. Zwykle to robią, kiedy przechodzą tędy jakieś dzieciaki albo ktoś. Dowiedzieliśmy o was od Paige Wesson z biblioteki, a potem ktoś widział, jak goniliście jakiegoś chłopaka po terenie Akademii Carvera.

Taylor wciąż patrzył na dom, jakby ten wyrósł tu spod ziemi.

- Proszę, posłuchajcie — rzekł Berleand. — To bardzo ważne.

—To nadal jest Ameryka — powtórzył Taylor. — Jeśli nie chcą z wami rozmawiać, musicie to uszanować. Mimo wszystko... — Taylor obejrzał się na Ericksona. — Widzisz jakiś powód, żeby nie zadzwonić do ich drzwi i nie pokazać im tego zdjęcia?

Erickson zastanawiał się przez chwilę, po czym pokręcił głową.

— Wy obaj zostańcie tutaj.

Przemaszerowali obok nas, otworzyli bramę i skierowali się do drzwi frontowych. W tle usłyszałem warkot samochodu. Odwróciłem się. Nic. Może jakiś pojazd przejechał główną drogą. Słońce już zaszło i niebo ciemniało. Popatrzyłem na dom. Cisza. Od kiedy tu przybyliśmy, nie dostrzegłem żadnego śladu życia.

Znowu usłyszałem warkot samochodu, tym razem dochodzący zza domu. Nadal nic nie widziałem. Berleand przysunął się do mnie.

— Czy masz złe przeczucia? — szepnąłem.

— Dobrych nie mam.

— Myślę, że powinniśmy zadzwonić po Jonesa. Moja komórka zabręczała w chwili, gdy Taylor i Erickson doszli do schodów ganku. Esperanza.

— Mam coś, co powinieneś zobaczyć.

— Ach tak?

— Pamiętasz, jak mówiłam, że doktor Jimenez pracował w przytułku „Ratuj Aniołki”?

— Tak.

— Znalazłam inne osoby, które to robiły. Weszłam na Facebooka. Jedna z tych osób umieściła tam całą galerię zdjęć. Jedno teraz ci prześlę. To grupowe zdjęcie, ale doktor Jimenez stoi z prawej strony.

— W porządku, daj mi się rozłączyć.

Zrobiłem to i mój blackberry zaczął pomrukiwać. Otworzyłem wiadomość e-mailową od Esperanzy i kliknąłem załącznik. Zdjęcie ładowało się powoli. Berleand zaglądał rni przez ramię.

Taylor i Erickson doszli do frontowych drzwi. Taylor zadzwonił. Otworzył mu jasnowłosy nastoletni chłopiec. Stałem za daleko, żeby usłyszeć ich rozmowę. Taylor coś powiedział. Chłopak coś odpowiedział.

Zdjęcie się załadowało. Ekranik był malutki, więc twarze również. Kliknąłem powiększenie, przesunąłem kursor w prawo i powiększyłem zdjęcie. Pojawiło się powiększenie, ale nieostre. Wcisnąłem wyostrzenie. Pokazała się klepsydra i zdjęcie zaczęło się wyostrzać.

Obejrzałem się na frontowe drzwi wiktoriańskiego domu. Taylor zrobił krok naprzód, jakby chciał wejść. Jasnowłosy chłopak podniósł rękę. Taylor spojrzał na Ericksona. Na jego twarzy zobaczyłem zdziwienie. Teraz usłyszałem głos Ericksona. Brzmiał gniewnie. Chłopak wyglądał na wystraszonego. Wciąż czekając, aż zdjęcie się wyostrzy, ruszyłem w tamtą stronę.

Zdjęcie stało się wyraźne. Spojrzałem, zobaczyłem twarz doktora Jimeneza i o mało nie upuściłem telefonu. To był dla mnie wstrząs, ale kiedy przypomniałem sobie, co powiedział mi Jones, wszystko zaczęło nabierać okropnego sensu.

Ciemnoskórym doktorem Jimenezem — który sprytnie posłużył się hiszpańskim nazwiskiem i zapewne tożsamością — był Mohammad Matar.

Zanim do końca pojąłem, co to oznacza, usłyszałem podniesiony głos nastolatka:

— Nie możecie tu wejść!

— Synu, odsuń się — powiedział Erickson.

— Nie!

Ericksonowi nie spodobała się ta odpowiedź. Uniósł ręce, jakby zamierzał odepchnąć jasnowłosego chłopaka. Nagle w rękę nastolatka pojawił się nóż. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, zamachnął się i wbił go w pierś Ericksona.

Och, nie...

Wepchnąłem telefon do kieszeni i rzuciłem się w kierunku drzwi. Zatrzymał mnie nagły huk.

Strzały.

Erickson oberwał. Obrócił się na pięcie, z nożem w piersi, i runął na ziemię. Taylor sięgnął po broń, ale za późno. Kolejne strzały przerwały nocną ciszę. Zadrżał konwulsyjnie i upadł.

Usłyszałem warkot samochodów. Jeden z rykiem pędził podjazdem, a drugi wyjeżdżał z domu. Poszukałem Berleanda. Pędził do mnie.

— Uciekaj do lasu! — krzyknąłem.

Pisk opon. Znowu wystrzały.

Pobiegłem w kierunku drzew, oddalając się od drogi i budynku. Las — pomyślałem. Jeśli dotrzemy do lasu, zdołamy się tam ukryć. Samochód pędził, szukając nas światłem reflektorów. Strzelali na oślep. Nie oglądałem się, by sprawdzić skąd. Znalazłem jakiś głąz i schowałem się za nim.

Znowu strzały. Berleand upadł.

Wstałem, ale był za daleko. Dwaj napastnicy już go dopadli. Trzej inni wyskoczyli z jeeпа, wszyscy uzbrojeni. Pobiegli w kierunku Berleanda, strzelając na oślep w las. Jedna z kul uderzyła w drzewo za moimi plecami. Schowałem się za głąz, gdy powietrze rozdarła kolejna salwa.

Przez moment było cicho. Potem usłyszałem wołanie:

— Wychodź!

Mężczyzna mówił z wyraźnym bliskowschodnim akcentem. Nie podnosząc się, wyrząłem z za głązu. Było ciemno i z każdą chwilą robiło się ciemniej, ale dostrzegłem, że co najmniej dwaj z mężczyzn mają ciemne włosy i cerę oraz długie brody. Niektórzy nosili na szyjach zielone chusty z rodzaju tych, którymi można zasłonić twarz. Pokrzykiwali do siebie w języku, którego nie znałem, ale domyśliłem, że to arabski.

Co się tam dzieje, do diabła?

— Pokaż się, albo zrobimy krzywdę twojemu przyjacielowi.

Mówiący to mężczyzna wyglądał na ich przywódcę.

Wyszcze kiwał rozkazy i pokazywał na prawo i lewo. Dwaj napastnicy zaczęli zachodzić mnie z boku. Jeden wrócił do samochodu i zaczął reflektorami oświetlać las. Nie podnosiłem się, przyciskając policzek do ziemi, serce waliło mi jak młotem.

Nie zabrałem broni. Głupota. Cholerna głupota. Sięgnąłem do kieszeni i spróbowałem wyjąć telefon.

— Ostatnia szansa! — krzyknął przywódca. — Na początek przestrelę mu kolana.

— Nie słuchaj go! — wrzasnął Berleand. Wymacałem w kieszeni telefon, gdy ciszę nocy rozdarł pojedynczy wystrzał. Berleand wrzasnął.

— Wychodź natychmiast! — zawołał przywódca. Wyjąłem telefon i w opcji szybkiego wybierania wcisnąłem numer Wina. Berleand jęczał. Zamknąłem oczy, usiłując o tym zapomnieć i się skupić.

— Nie słuchaj go! — znów zawołał Berleand, łamiącym się głosem.

Znów strzał.

Berleand krzyczał w męce. Ten krzyk przeszywał mnie na wskroś i szarpał wnętrzności. Wiedziałem, że nie mogę się poddać. Jeśli się pokażę, zabiją nas obu. Win z pewnością już usłyszał, co się dzieje. Zadzwoń po Jonesa i wsparcie. Wkrótce tu będą.

Usłyszałem szloch Berleanda.

A potem znowu, tym razem słabszy, jego głos:

— Nie... słuchaj... go...!

Słyszałem ludzi przeszukujących las w pobliżu. Nie miałem innego wyjścia. Musiałem coś zrobić. Popatrzyłem na wiktoriańską rezydencję po prawej. Moje palce zacisnęły się na dużym kamieniu, a w głowie zaczęło formować się coś w rodzaju planu.

Przywódca znowu krzyczał:

— Mam nóż! Teraz wyłupię mu oczy!

W budynku wybuchło zamieszanie. Zobaczyłem to przez okno. Nie było czasu do stracenia. Podniosłem się i stanąłem na ugiętych kolanach, gotowy do akcji.

Zamachnąłem się i z całej siły rzuciłem kamieniem w las. Z głuchym łoskotem uderzył w drzewo.

Przywódca odwrócił się w kierunku, z którego dobiegł dźwięk. Mężczyźni przeszukujący las również się tam skierowali i zaczęli strzelać. Jeep odjechał w kierunku miejsca, gdzie upadł kamień.

A przynajmniej taką miałem nadzieję.

Nie czekałem, żeby to zobaczyć. Gdy tylko rzuciłem kamieniem, pobiegłem między drzewami w kierunku domu. Oddalałem się od krzyków Berleanda i ludzi, którzy próbowali mnie zabić. Było jeszcze ciemniej i prawie nic nie widziałem, ale to mnie nie zatrzymało. Gałęzie chłostały moją twarz. Nie zważałem na to. Wiedziałem, że mam tylko kilka sekund. Czas był teraz wszystkim, a wydawało się, że tracę go zbyt dużo na dotarcie do domu.

W biegu podniosłem z ziemi następny kamień.

— Teraz wyłupię mu oko! — wrzasnął przywódca.

Usłyszałem krzyk, a potem przeraźliwy wrzask Berleanda.

Kończył mi się czas.

Wciąż biegnąc, z rozbiegu cisnąłem kamieniem w okno. Włożyłem w to wszystkie siły, o mało nie zrywając sobie ścięgna barku. Kamień łukiem poszybował przez mrok. W bocznej ścianie domu — naprzeciwko której się znalazłem — było piękne panoramiczne okno. Śledziłem lot kamienia, obawiając się, że nie doleci. Doleciał.

Kamień z trzaskiem rozbił szybę na drobne kawałki. Wybuchła panika. Właśnie na to liczyłem. Zawróciłem do lasu, gdy uzbrojeni napastnicy pobiegli w kierunku domu. W środku zobaczyłem dwoje nastolatków podchodzących do rozbitego okna. Przez sekundę zastanawiałem się, czy jednym z nich jest Carrie, ale nie miałem czasu się przyglądać. Tamci krzyczeli coś po arabsku. Nie widziałem, co robią. Wracalem najszybciej jak mogłem, wykorzystując zamieszanie, aby podejść do ich przywódcy.

Zobaczyłem, że kierowca zatrzymał jeepa i wysiadł. On też pobiegł do rozbitego okna. To było ich główne zadanie: pilnować domu. Wyrwałem się z okrążenia. Teraz rozproszyli się i chcieli przegrupować. Wybuchło zamieszanie. Nie pokazując się i nie tracąc czasu, zdołałem wrócić, mijając moją wcześniejszą kryjówkę. Przywódca stał plecami do mnie, twarzą w kierunku domu. Znajdowałem się około dwudziestu, dwudziestu pięciu metrów za nim. Kiedy pojawi się wsparcie? Za późno.

Przywódca znów wykrzykiwał rozkazy. Berleand leżał na ziemi u jego stóp. Bez ruchu. Jeszcze gorzej, bo zamilkł. Już nie krzyczał. Nawet nie jęczał.

Musiałem do niego dotrzeć.

Nie wiedziałem jak. Kiedy wyjdę zza drzewa, znajdę się na otwartej przestrzeni, bez żadnej osłony. Jednak nie miałem innego wyjścia.

Popędziłem w kierunku przywódcy.

Zrobiłem może trzy kroki, gdy usłyszałem czyjś ostrzegawczy krzyk. Przywódca odwrócił się do mnie. Szybko przebierałem nogami, ale wszystko inne zwolniło. Przywódca też miał na szyi zieloną chustę, niczym bandyta z Dzikiego Zachodu. I bujną brodę. Był wyższy od pozostałych i krępy. W jednej ręce trzymał nóż, a w drugiej pistolet. Wycelował we mnie. Rozważałem, czy upaść, czy uskoczyć, żeby uniknąć kuli, lecz mój umysł błyskawicznie ocenił sytuację i pojął, że nagły unik nic nie da. Owszem, pierwszy strzał może chybi, ale będę całkowicie odstonięty. Za drugim razem niemal na pewno trafi. Ponadto skończył mi się czas.

Inni napastnicy już biegli w naszą stronę. Oni też zaczęli strzelać.

Musiałem mieć nadzieję, że spanikuje i chybi.

Wycelował. Napotkałem jego spojrzenie i zobaczyłem w nim chłodną pewność płynącą z fanatycznej wiary. Nie mam szans. Teraz to zrozumiałem. Nie chybi. Nagle, gdy już miał nacisnąć spust, usłyszałem, jak ryczy z bólu i spogląda w dół.

Berleand ugryzł go w tydkę, zaciskając na niej zęby jak rozwścieczony rottweiler.

Przywódca opuścił rękę i wycelował w tył głowy Berleanda. W gwałtownym przypięciu adrenaliny rzuciłem się na niego, wyciągając ręce. Jednak zanim go dopadłem, usłyszałem huk i zobaczyłem, jak pistolet podskoczył w jego dłoni. Ciało Berleanda zadrgało. Dopadłem przywódcę. Załapałem sukinsyna, wykorzystując siłę rozpędu. Gdy padaliśmy na ziemię, oparłem przedramię o jego nos, rozgniatając go. Ekspłodował jak melon. Krew opryskała mi twarz. Była ciepła. Krzyknął, ale jeszcze nie stracił woli walki. Ja też nie. Uchyliłem się przed uderzeniem bykiem. Próbował złapać mnie w niedźwiedzi uścisk. Błąd. Pozwoliłem, by oplótł mnie rękami. Kiedy zaczął ścisnąć, gwałtownie poderwałem ręce w górę, uwalniając je. Teraz go miałem. Nie wahałem się. Pomyślałem o Berleandzie, o tym, jakie cierpienia zadał ten człowiek mojemu przyjacielowi.

Czas kończyć.

Zgiąłem palce prawej ręki jak szpony. Nie celowałem w oczy, nos czy inne wrażliwe miejsca, aby go obezwładnić lub okaleczyć. U nasady szyi, tuż nad klatką piersiową, znajduje się niewielkie wgłębienie, w którym krtań nie jest osłonięta. Wbiłem w to wgłębienie dwa palce i kciuk. Z krzykiem pociągnąłem do siebie, wrzeszcząc jak zwierzę, i zabiłem go.

Wyrwałem broń z jego bezwładnej ręki.

Jego ludzie biegli ku mnie. Jeszcze nie strzelali, bojąc się, że trafią swojego przywódcę.

Przetoczyłem się do ciała po prawej.

— Berleand?

Jednak on już nie żył. Wiedziałem. Śmieszne, za duże okulary przekrzywiły się na jego łagodnej, szerokiej twarzy. Chciało mi się płakać. Poddać się, trzymać go w objęciach i płakać. Tamci się zbliżali. Spojrzałem. Nie widzieli mnie, lecz światła w oknach domu za nimi czyniły ich sylwetki idealnym celem. Poniosłem broń i strzeliłem. Jeden padł. Przesunąłem broń w lewo. Znów wystrzeliłem. Drugi napastnik upadł. Zaczęli odpowiadać ogniem. Przetoczyłem się z powrotem do ich przywódcy i użyłem jego ciała jako tarczy. Strzeliłem jeszcze raz. Upadł kolejny.

Syreny.

Nisko pochylony, pobiegłem w kierunku domu. Podjazdem pędziły policyjne radiowozy. W górze usłyszałem helikopter, a może dwa. Znowu strzały. Pozwolę im zająć się resztą. Teraz chciałem dostać się do tego domu.

Przebiegłem obok Taylora. Nie żył. Drzwi nadal były otwarte. Ciało Ericksona leżało na ganku, z nożem wciąż wbitym głęboko w pierś. Przeszedłem nad nim i wskoczyłem do przedsionka.

Cisza.

Nie spodobało mi się to.

W ręku wciąż trzymałem pistolet przywódcy. Przyłgnąłem plecami do ściany. Dom w środku był koszmarnie zaniedbany. Tapety obfaziły ze ścian. Światła były zapalone. Kątem oka zobaczyłem, że ktoś przebiegł w pobliżu, usłyszałem kroki zbiegającego po schodach. Musi tu być niższy poziom. Piwnica.

Na zewnątrz słyszałem strzały. Ktoś wzywał przez megafon do poddania się. Mógł to być Jones. Powinienem teraz poczekać. I tak nie miałem szans, by wyciągnąć stąd Carrie. Powinienem zająć stanowisko, obstawić drzwi i nie pozwolić nikomu wejść ani wyjść. To byłoby mądre posunięcie.

Zaczekać.

Może bym to zrobił. Może zostałem tam i nie zszedł do tej piwnicy, gdyby jasnowłosy chłopiec nie pojawił się na schodach.

Nazwałem go chłopcem. To nie było właściwe określenie. Wyglądał na siedemnasto- lub osiemnastolatka niewiele młodszego od ciemnowłosych mężczyzn, których bez wahania zastrzeliłem. Kiedy jednak ten nastolatek o blond włosach, w spodniach khaki i bluzie od dresu zaczął zbiegać po schodach — z bronią w ręku — nie strzeliłem.

— Stój! — krzyknąłem. — Rzuć broń.

Jego twarz wykrzywił odrażający grymas nienawiści. Skierował we mnie broń, a ja skoczyłem, przetoczyłem się w lewo i poderwałem, strzelając. Nie zamierzałem go zabić tak jak tamtych. Mierzyłem w nogi. Nisko. Nastolatek wrzasnął i upadł. Wciąż jednak trzymał broń, z twarzą wykrzywioną okropnym grymasem. Znow próbował we mnie wycelować.

Wypadłem z przedsionka do holu, a tam stanąłem przed drzwiami do piwnicy.

Jasnowłosy nastolatek dostał w nogę. W żaden sposób nie mógł za mną pójść. Nabrałem powietrza, wolną ręką chwyciłem klamkę drzwi i je otworzyłem.

Nieprzenikniona ciemność.

Przyciskałem pistolet do piersi. Przywarłem do ściany, żeby być jak najmniejszym celem. Powoli zacząłem schodzić po schodach, wyczuwając stopami każdy kolejny stopień. W jednej ręce trzymałem pistolet, a drugą macałem w poszukiwaniu włącznika. Nie mogłem go znaleźć. Przyciskając się do ściany, schodziłem powoli, przystawiając jedną nogę do drugiej. Zastanawiałem się, ile jeszcze zostało mi kuł? Nie wiedziałem.

Usłyszałem na dole szepty.

Bez wątpienia. Światła były zgaszone, ale na dole ktoś był. Zapewne więcej niż jedna osoba. Znow rozważałem, czy wybrać rozsądne wyjście — przystanąć, po cichu wrócić na górę i poczekać na posiłki. Strzelanina na zewnątrz ucichła. Byłem pewien, że Jones i jego ludzie zabezpieczyli teren.

Jednak nie zrobiłem tego, co dyktował mi rozsądek.

Moja lewa stopa stanęła na ostatnim stopniu. Usłyszałem szmer i włosy na głowie stanęły mi dęba. Wolną ręką macałem ścianę, aż znalazłem włącznik. A ściślej mówiąc, włączniki. Było ich trzy. Podsunąłem pod nie dłoń, naszykowałem broń, nabrałem tchu i włączyłem wszystkie trzy jednocześnie.

Później miałem przypomnieć sobie inne szczegóły: arabskie napisy namazane sprayem na ścianach, zielone flagi z krwawym półksiężycem, plakaty przedstawiające męczenników w

mundurach i z bronią maszynową. Później miałem sobie przypomnieć portrety Mohammada Matara w różnych okresach jego życia, włącznie z tym, gdy pracował jako lekarz Jimenez.

Teraz jednak wszystko to było tylko tłem.

Ponieważ w odległym kącie piwnicy ujrzałem coś, co sprawiło, że serce przestało mi bić. Zamrugałem, spojrzałem jeszcze raz, nie wierząc własnym oczom, chociaż tworzyło to idealną całość.

Grupka jasnowłosych nastolatków i dzieci tuliła się do ciężarnej kobiety w czarnym stroju. Wszystkie miały niebieskie oczy i patrzyły na mnie z nienawiścią. Zaczęły warczeć i nagle uświadomiłem sobie, że to nie warczenie. Powtarzały jakieś słowa, raz po raz...

— *Al-sabr wal-sayf.*

Cofnąłem się, kręcąc głową.

— *Al-sabr wal-sayf.*

Mój mózg znów zaczął iskrzyć na synapsach: jasne włosy. Niebieskie oczy. CryoHope. Doktor Jimenez czyli Mohammad Matar. Cierpliwość. Miecz. Cierpliwość.

Powstrzymałem krzyk, gdy nagle pojąłem prawdę. „Ratuj Aniołki” nie wykorzystywała embrionów, aby pomóc bezpłodnym parom. Wykorzystywała je do tworzenia niebezpiecznej broni mającej siać terror, infiltrować, przygotowywać ogólnoswiatowy dżihad. Cierpliwość i miecz zwyciężą grzeszników. Jasnowłosi ruszyli na mnie, chociaż miałem w ręku broń. Jedni tylko powtarzali swoje motto. Inni wrzeszczeli. Niektórzy, przerażeni, schowali się za plecami kobiety w czarnym stroju. Zacząłem szybciej wycofywać się w górę schodów. Z korytarza dobiegł znajomy głos:

— Bolitar?! Bolitar?!

Odwróciłem się plecami do tych niebieskookich potworów na dole i popędziłem na górę, przemknąłem przez drzwi piwnicy i zatrzasnąłem je za sobą. Jakby to mogło coś pomóc. Jakby dzięki temu wszystko miało zniknąć.

Był tam Jones. I jego ludzie w kuloodpornych kamizelkach. Jones zobaczył mój wyraz twarzy.

— Co tam jest? — zapytał. — Co jest na dole?

Ja jednak nie byłem w stanie mówić. Zabrakło mi słów. Wybiegłem na zewnątrz, do Berleanda. Osunąłem się obok jego nieruchomego ciała. Miałem nadzieję, że może w całym tym zamieszaniu się pomyliłem. Nie. Berleand, ten biedny wspaniały drań, nie żył.

Trzymałem go w objęciach przez sekundę lub dwie. Nie dłużej.

To jeszcze nie koniec. Berleand pierwszy by mi to powiedział.

Gdy jego ludzie zaczęli wyprowadzać jeńców z budynku, Jones wpatrywał się we mnie ze zgrozą i niedowierzaniem. Popatrzyłem na niego i skinąłem głową. Te kobiety nie były matkami. Były żywymi inkubatorami, nosicielkami płodów.

Przetrzęsaliśmy cały dom, zajrzeliśmy do wszystkich kątów, znaleźliśmy podręczniki szkoleniowe i filmy, laptopy, okropność za okropnością. Jednak nie znaleźliśmy Carrie.

Wyjąłem telefon i znów spróbowałem zadzwonić do Teresę. Nadal nie odpowiadała. Ani jej komórka, ani stacjonarny telefon w apartamencie Wina.

Wytoczyłem się na zewnątrz. Przyjechał Win. Stał na ganku, czekając na mnie. Popatrzyliśmy na siebie.

— Teresę? — zapytałem.

Win pokręcił głową.

— Znikła.

Znowu.

39

PROWINCJA KABINDA, ANGOLA, AFRYKA, TRZY TYGODNIE PÓŹNIEJ

Już ponad osiem godzin jechaliśmy półciężarówką z otwartym tyłem przez zupełnie pustkowie. Od ponad sześciu dni nie widziałem żywej duszy ani nawet budynku. Bywałem już w odludnych miejscach, ale to było odludne do dziesiątej potęgi.

Gdy dotarliśmy do chaty, kierowca zatrzymał się i zgasił silnik. Otworzył mi drzwi i podał plecak. Pokazał ścieżkę. Powiedział, że w chacie jest telefon. Kiedy będę chciał wracać, mam do niego zadzwonić. Przyjedzie i mnie zabierze. Podziękowałem mu i ruszyłem ścieżką.

Po czterech milach zobaczyłem polanę.

I Teresę.

Pomachała do mnie. Kiedy tamtej nocy wróciłem do apartamentu Wina, tak jak powiedział, nie było jej. Zostawiła mi krótki list: *Tak bardzo Cię Kocham*.

To wszystko.

Teresę miała teraz włosy ufarbowane na czarno. Zapewne, żeby nie rzucać się w oczy. Blondynki budzą zainteresowanie, nawet tutaj. Podobał mi się ten kolor. Popatrzyłem, jak odchodzi, i mimo woli uśmiechnąłem się. Wysoko uniesiona głowa, wyprostowane plecy, idealna postawa. Przypomniało mi się tamto nagranie z lotniska. Carrie też miała tę idealną postawę i pewny siebie chód.

Teresę towarzyszyły trzy czarnoskóre kobiety w kolorowych strojach. Ruszyłem w ich stronę. Jedna mnie zauważyła i szepnęła coś. Teresę odwróciła się, zaintrygowana. Kiedy mnie zobaczyła, jej twarz się rozpromieniła. Zapewne moja również. Upuściła koszyk, który trzymała w ręku, i pobiegła ku mnie. Bez wahania. Ja też pobiegłem jej na spotkanie. Objęła mnie i mocno przytuliła.

— Boże, jak ja za tobą tęskniłam — szepnęła.

Odwzajemniłem uścisk. To wszystko. Nie chciałem nic mówić. Jeszcze nie. Chciałem roztopić się w jej objęciach. Zniknąć w nich i pozostać tam na zawsze. W głębi duszy wiedziałem, że tak powinno być, powinienem ją trzymać. Przez kilka chwil nie pragnąłem niczego prócz tego spokoju ducha.

— Gdzie jest Carrie? — zapytałem w końcu.

Wzięła mnie za rękę i poprowadziła na koniec polany. Wskazała poletko na kolejnej polance. Sto jardów dalej Carrie siedziała z dwiema czarnoskórymi dziewczynami mniej więcej w jej wieku. Wszystkie były czymś zajęte. Nie wiedziałem czym. Obierały coś lub zrywały. Czarnoskóre dziewczyny się śmiały, Carrie nie.

Ona też miała czarne włosy.

Odwróciłem się do Teresę. Spojrzałem w niebieskie oczy ze złotymi obwódkami. Jej córka miała takie same. Widziałem na zdjęciu. Pewny chód, złociste obwódki. Wyraźne genetyczne echo.

Zastanawiałem się, co jeszcze odziedziczyła.

— Proszę, musisz zrozumieć, dlaczego uciekłam — powiedziała Teresę. — Ona jest moją córką.

— Wiem.

— Musiałam ją uratować.

Skinąłem głową.

— Podąła ci swój numer telefonu, kiedy zadzwoniła pierwszy raz?

— Tak.

— Mogłaś mi powiedzieć.

— Wiem. Jednak słyszałam, co powiedział Berleand. Ona nie była warta tysiąca istnień dla nikogo prócz mnie.

Na wspomnienie Berleanda poczułem ból. Zastanawiałem się, co powiedzieć. Ostoniłem oczy dłońią i popatrzyłem na Carrie.

— Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jak wyglądało jej życie?

Teresę nie odwróciła oczu, nie mrugnęła.

— Wychowali ją terroryści.

— Gorzej. Mohammad Matar odbywał staż w szpitalu Columbia Presbyterian wtedy, gdy zapłodnienie in vitro i przechowywanie ploidów stało się popularne. Dostrzegł okazję do zadania druzgoczącego ciosu... cierpliwością i mieczem. Organizacja „Ratuj Aniołki” była ugrupowaniem radykalnych terrorystów udających chrześcijańską fundację charytatywną. Zdobywał embriony za pomocą oszustw i kłamstw. I nie przekazywał ich bezpłodnym parom. Wykorzystywał muzułmanki sympatyzujące z jego sprawą jako matki zastępcze, żywe inkubatory do noszenia zarodków. Następnie, razem ze swoimi zwolennikami, wychowywał dzieci na przyszłych terrorystów. Nic więcej. Carrie nie mogła się z nikim wiązać. Nie zaznała miłości, nawet jako dziecko. Nie wiedziała, co to czułość. Nikt nie trzymał jej w ramionach. Nikt nie pocieszał, kiedy płakała przez sen. Ona i pozostali każdego dnia swojego życia byli przygotowywani do zabijania niewiernych. To wszystko. Nic poza tym. Wychowywano te dzieci, żeby stały się niebezpieczną bronią, ukryte wśród nas i czekające na wybuch świętej wojny. Wyobraź to sobie. Matar wyszukiwał embriony rodziców o jasnych włosach i niebieskich oczach. Mogły się dostać wszędzie, bo kto by je podejrzewał?

Czekałem na reakcję Teresę, choćby grymas. Nie doczekałem się.

— Złapałeś je wszystkie?

— Nie ja. Ja tylko rozbiłem główne ugrupowanie w Connecticut. Jones znalazł w budynku więcej informacji i zakładam, że przesłuchano niektórych z pozostałych przy życiu terrorystów. — Wolałem o tym nie myśleć, a może jednak, sam nie wiem. — Zielona Śmierć miała drugi taki obóz pod Paryżem. Rozbito go kilka godzin później. A Mossad i izraelskie samoloty zrównały z ziemią największy obóz szkoleniowy na granicy syryjsko-irańskiej.

— Co się stało z dziećmi?

— Niektóre zginęły, inne aresztowano.

Zaczęła schodzić ze wzgórza.

— Myślisz, że ponieważ Carrie nigdy nie zaznała miłości, nie powinna jej zaznać?

— Nie to chciałem powiedzieć.

— Tak to zabrzmiało.

— Podaję ci fakty.

- Masz znajomych, którzy wychowują dzieci, prawda? — zapytała.
- Oczywiście.
- Co powiedzieliby ci przede wszystkim? To, że ich dzieci przebyły pewną drogę. Ukierunkowane. Wychowanie wbrew instynktom. Rodzice mogą pokierować dziećmi i starać się sprowadzić je na właściwą drogę, ale tak naprawdę są tylko opiekunami. Niektóre dzieci będą miłe, choćby nie wiem co. Inne będą psychotyczne. Na pewno masz przyjaciół, którzy jednakowo wychowywali swoje dzieci. Jedne są otwarte, inne ciche, jedne skąpe, inne hojne. Rodzice szybko odkrywają, że ich możliwości są ograniczone.
- Ona nigdy nie zaznała miłości, Teresę.
- Teraz zazna.
- Nie wiesz, do czego jest zdolna.
- Nigdy nie wiadomo, do czego ktoś jest zdolny.
- To nie jest odpowiedź.
- A czego innego po mnie oczekujesz? To moja córka. — Pilnuję jej. Ponieważ tak właśnie robią rodzice. I będę ją chroniła. A ty się mylisz. Poznałeś Kena Bonnana, prawda? Tego chłopca z prywatnej szkoły?
Skinąłem głową.
- Carrie coś do niego czuła. Pomimo piekła, jakim był każdy dzień jej życia, czuła się z nim związana. Próbowała się wyrwać. To dlatego była z Matarem w Paryżu. Miała przejść kolejne szkolenie.
- Czy była tam, kiedy zamordowano Ricka?
- Tak.
- Jej krew znaleziono na miejscu zbrodni.
- Powiedziała, że próbowała go bronić.
- Wierzysz w to?
Teresę się uśmiechnęła.
- Straciłam córkę. Zrobiłabym wszystko, absolutnie wszystko, żeby ją odzyskać. Rozumiesz? Mógłbyś mi powiedzieć, na przykład, że Miriam przeżyła wypadek i stała się potworem. To niczego by nie zmieniło.
- Carrie to nie Miriam.
- Jednak nadal jest moją córką. Nie zrezygnuję z niej. Za plecami Teresę jej córka wstała i zaczęła schodzić ze wzgórza. Przystanęła i spojrzała na nas. Teresę uśmiechnęła się i jej pomachała. Carrie pomachała w odpowiedzi. Może także się uśmiechnęła, ale nie jestem pewien. Tak jak nie mam pewności, czy Teresę myli się w tej sprawie. Jednak zastanawiam się. Myślę o tym jasnowłosym nastolatku, który zbiegał po schodach i chciał mnie zastrzelić, i o tym, dlaczego się zawahałem. Wychowanie wbrew instynktom.
Gdyby dziewczyna na tym wzgórzu miała geny Matara i została spółdzona oraz wychowana przez obłąkanych ekstremistów, zabilibyśmy ją bez namysłu. Czy geny robią taką różnicę? Te jasne włosy i niebieskie oczy?
- Nie wiem. Jestem zbyt zmęczony, żeby o tym myśleć.
- Carrie nigdy nie zaznała miłości. Teraz zazna. Załóżmy, że zostalibyśmy wychowani tak jak ona. Czy najlepiej byłoby nas zniszczyć jak uszkodzony towar? Czy może te podstawowe humanitarne odruchy jednak by zwyciężyły?
- Myronie?
Spojrzałem na piękną twarz Teresę.
- Ja nie odepchnęłabym twojego dziecka. Proszę, nie odpychaj mojego.

Nic nie powiedziałem. Ująłem w dłoń jej piękną twarz, pocałowałem w czoło i zatrzymałem tam wargi, zamykając oczy. Poczułem, jak mnie obejmuje.

— Uważaj na siebie — szepnąłem.

Odsunąłem się. Miała łzy w oczach. Ruszyłem w kierunku ścieżki.

— Nie musiałam wracać do Angoli — powiedziała. Przystanąłem i odwróciłem się do niej.

— Mogłam wyjechać do Birmy, Laosu lub w inne miejsce, gdzie nigdy byś mnie nie znalazł.

— Więc dlaczego wybrałaś Angolę?

— Ponieważ chciałam, żebyś mnie znalazł.

Teraz ja też miałem w oczach łzy.

— Proszę, nie odchodź — powiedziała.

Byłem taki zmęczony. Źle sypiam. Kiedy zamykam oczy, widzę twarze umarłych. I te lodowate niebieskie oczy. Mam koszmarne sny, a kiedy się budzę, jestem sam.

Teresę podeszła do mnie.

— Proszę, zostań ze mną. Tylko na tę jedną noc, dobrze?

Chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem. Łzy popłynęły szybciej. Przyciągnęła mnie do siebie, a ja bardzo starałem się nie wyrwać. Oparłem czoło na jej ramieniu. Pogładziła mnie po głowie.

— W porządku — szepnęła. — Już po wszystkim.

I dopóki trzyma mnie w ramionach, ja w to wierzę.

• • •

Jednak tego samego dnia, gdzieś w Stanach Zjednoczonych, wynajęty autobus podjeżdża do parku narodowego. Wiezie grupę szesnastolatków, którzy wybrali się na wycieczkę po kraju. Dzisiejszy dzień jest trzecim dniem ich podróży. Świeci słońce. Niebo jest bezchmurne. Drzwi autobusu się otwierają i wysypują się z niego rozchichotane, żujące gumę nastolatki.

Jako ostatni wysiada jasnowłosy chłopiec.

Ma niebieskie oczy ze złotymi obwódkami.

I chociaż niesie ciężki plecak, idzie z podniesioną głową, wyprostowany. Ma idealną postawę.

Podziękowania

No dobrze, zacznijmy od podziękowań dla funkcjonariuszy z 36 quai des Orfevres, ponieważ to przedstawiciele prawa i nie chcę, żeby któryś z nich się na mnie pogniewał: monsieur le Directeur de la Police Judiciaire, Christian Flaesch; monsieur Jean-Jacques Herlem, Directeur-Adjoint charge des Brigades Cent-rales; madame Nicole Tricart, Inspectrice Generale, conseiller aupres du Directeur General de la Police Nationale; monsieur Łoic Garnier, Commissaire Divi-sionaire, Chef de la Brigade Criminelle; mademoiselle Frederique Conri, Commissaire Principal, Chef-Adjoint de la Brigade Criminelle.

W przypadkowej kolejności, lecz z ogromną wdzięcznością: Marie-Annę Cantin, Eliane Benisti, Lisie Erbach Yance, Benowi Sevierowi, Melissie Miller, Francoise Triffaux, Jonowi Woodowi, Malcolmowi Edwardsowi, Susan Lamb, Angeli McMahon, Ali Nasseri, Davidowi Goldowi, Bobowi Haddenowi, Aaronowi Priestowi, Craigowi Cobenowi, Charlotte Coben, Annę Armstrong-Coben, Brianowi Tartowi, Monie Żaki i Dany'emu Chejowi.

Pewne postacie w tej książce pojawiają się jak oglądane przez różne pryzmaty. Stworzyłem je przed laty, inni zobaczyli je w innym świetle, a jeszcze inni zinterpretowali — a potem stworzyłem je powtórnie jako zupełnie inne osoby. Dlatego muszę także podziękować Guillaume*owi Canetowi, Philippe'owi Lefebvre'owi (dwukrotnie) i Francois Berleandowi.